

Nina Tinsley

Zapomniana miłość

Tytuł oryginału:
Yesterday's love

ROZDZIAŁ I

Stuart Raile czekał już przed domem. Zauważyłam, jak niecierpliwie spogląda na zegarek. Zaparkowałam służbowy wóz za jego kremowym jaguarem i wysiadłszy, stanęłam przed nim.

Stał na najniższym stopniu schodów w świetnie mi znanej pozie, jednej z tych, które składały się na jego image w popularnym, telewizyjnym programie "Ogród Railie'ego".

Zdumiałam się, gdy zauważyłam ten sam marzycielski wzrok, którym w swych programach obdarzał rośliny. Patrzył przed siebie, jakby przed jego oczami rozciągał się najczarowniejszy ogród. Przykro było przerywać tę zadumę, ale przyjechałam tu w interesach i musiałam wykonać powierzone mi zadanie.

- Dzień dobry, panie Railie. Jestem Carla Shaw z kancelarii prawnej Bridgera.

Opuścił wzrok i spojrzał na mnie. Miał błękitne (!) oczy i niepokojące spojrzenie. Odniosłam wrażenie, że bada moje złe i dobre strony tak, jakbym była krzewem do posadzenia. Dokładnie przyglądał się mojemu, bardziej niż szczupłemu ciału i normalnej dla gatunku ludzkiego ilości rak i nóg oraz cynamonowo-brązowym włosom, które w tej chwili były potargane przez wiatr.

Bez słowa skinął głową i rzekł szorstko:

- Gdzie Bridger? Wciąż to samo, zawsze nabijają mnie w butelkę i przysyłają podwładnych.

Poczułam się dotknięta do żywego. Odezwałam się zimno, bez cienia przeprosin.

- Pan Bridger nie mógł przyjechać. Czy życzy pan sobie obejrzeć dom? Bo jeśli nie...

Dziwne, jak nieprawdziwy może być z góry wyrobiony sąd. Lubiłam jego programy, wyobrażałam go sobie jako ciepłego, przemiłego człowieka, nie mogłam się doczekać tego spotkania, a teraz moja euforia gwałtownie spadła do zera.

Weszłam po schodach na ganek w kształcie podkowy chroniący drzwi frontowe przed deszczami i wichurami. Ganek był niewątpliwą ozdobą "Wysokich Drzew", co nie miało większego znaczenia z punktu widzenia pracownika pośrednictwa nieruchomości. Tylko, że ja nie

byłam zwykłym pracownikiem. Byłam jednym z dyrektorów kancelarii, a zdobycie tego stanowiska kosztowało mnie mnóstwo ciężkiej pracy.

Zadzwoniłam wielkim pękiem kluczy i otworzyłam drzwi. Z wnętrza wydobył się nieświeży, stęchły zapach. Weszliśmy. Nasze kroki na drewnianej podłodze niosły się echem, burzyły martwą ciszę, tę, która panuje w pustych domach, nim znów wróca do życia.

Znałam dobrze rozkład domu, nie dlatego, bym go już pokazywała swoim klientom, ale dlatego, że był on częścią mojej przeszłości, a był czas, kiedy sądziłam, że będzie również częścią przyszłości.

Drzwi do salonu były uchylone. Pchnęłam je i weszłam do środka. W mgnieniu oka przypomniałam sobie, jak kiedyś wyglądał; jego terazniejsza pustka była przykrym widokiem.

- "To jest salon. Biegnie przez całą długość domu..." - zaczęłam recytować mowę napisaną przez Adriana Bridgera, syna prezesa kancelarii.

- Proszę mi oszczędzić tych głupstw - przerwał Stuart Railie, podchodząc do okna i podwójnych drzwi prowadzących do ogrodu.

Przed nami rozciągał się soczyście zielony, świetnie utrzymany trawnik. Za nami stały szklarnie, popołudniowe słońce rozświetlało je tysiącem migotliwych plam. Dalej rosły wysokie drzewa, od których pochodziła nazwa całej posiadłości. Między drzewami wiała się połyskująca słońcem rzeka Maeling, znacząca granicę trzech akrów gruntu przynależnych do posiadłości.

- Od jak dawna dom stoi pusty? - spytał Railie.

- Około roku.

- Dlaczego? - patrzył na mnie przenikliwie, mając niewątpliwie nadzieję, że zabije mi tym pytaniem niezłego ćwieka.

- Przede wszystkim dlatego, że właściciel nie spieszył się ze sprzedażą. Poza tym za dużo tu gruntu. Nie wszyscy pasjonują się ogrodnictwem, a te olbrzymie szklarnie wymagają wiele zachodu. Było kilku zainteresowanych pobudowaniem się na ich miejscu, ale raczej nie ma szans, żeby otrzymać pozwolenie na budowę...

- Świetnie - rzekł energicznie i odwróciwszy się od okna, podszedł do kominka.

Zbliżyłam się do niego.

- Może chciałby pan zobaczyć resztę domu? Jadalnia i gabinet są po drugiej stronie hallu.

- Wiem - przerwał. - I wielka kuchnia, i kilka spiżarni. A na piętrze cztery sypialnie. Wymarzony dom dla kochającej się rodziny. Tylko że - ciągnął - ja nie mam rodziny, jak na razie. Proszę prowadzić panno Shaw. Pewnie zepsułbym pani zabawę, gdybym nie obszedł z panią tej trasy.

"Doprowadza mnie do furii" - myślałam, wbiegając po wąskich schodach, otwierając drzwi sypialni, dwóch łazienek i małe drzwiczki prowadzące na strych.

Kroczył za mną, nie mówiąc ani słowa, póki nie wróciliśmy do kuchni.

- Wystarczy - rzekł i wyciągnął rękę po klucz od tylnych drzwi. Otworzył je i wyszedł na zewnątrz.

- Uff, już lepiej - oddychał głęboko. - Puste domy mnie przyciębiają. Natomiast panią nie, jak przypuszczam.

Nie miał racji. Ale nie miałam zamiaru przyznawać się Stuartowi Railie do moich mrocznych lęków. No cóż, odczuwałam jakiś dziwny rodzaj odpowiedzialności i wydawało mi się, że jeśli nie znajdę kupca na dom, poniosę życiową klęskę.

Zeszliśmy ramię w ramię, ścieżką w dół, do szklarni. Przyglądałam mu się, spostrzegając silnie zarysowaną linię szczęki i dołeczki na policzkach, które nadawały mu niemal bezbronny wygląd. Poczuli chyba moje spojrzenie, bo odwrócił głowę i uśmiechnął się. Uderzyło mnie ciepło skryte w kącikach jego warg i wyraz rozbawienia w oczach.

- Jestem przyzwyczajony do tego, że mnie obserwują - powiedział z nieco zbyt dużym zadowoleniem. - Czasem na ulicy podchodzą do mnie zupełnie obcy ludzie, tak, jakbyśmy znali się od dawna i oczekują, że w jednej chwili, tu i teraz, rozwiążę ich ogrodnicze problemy. A ja nie jestem czarodziejem - przerwał i spojrzał na mnie.

- Czy pani ma jakieś problemy z ogrodem, panno Shaw?

- Świetnie daję sobie radę sama - jego poza wszechwiedzącej doskonałości ubodła mnie. Poza tym nie przyznałabym się, że mój ogród, który dawał mi tyle przyjemności, potrzebował oka fachowca.

- Ogląda pani moje programy? - spytał niespokojnie. - Mam nadzieję, że komuś są potrzebne?

- Jestem pewna, że niektórym tak.

- Ale nie pani - rzekł z żalem. - Widzę po pani twarzy, że zbaczam z tematu. Powinienem zadawać pani nudne pytania o wilgotność murów, o instalację elektryczną i inne tego typu sprawy.

Nagle się rozeżliłam. Zatrzymałam się i stanęłam naprzeciwko niego.

- Jeśli nie jest pan, panie Railie, zainteresowany posiadłością, tracę mój cenny czas.

Roześmiał się.

- Pod lodem płonie ogień! Świetnie. Lubię takie charakterki. Oczywiście, że interesuje mnie ten dom, ale mam wrażenie, że pani nie chce, abym go kupił.

- Niedorzeczność. Ogrody potrzebują... - przerwałam.

- Czulej troski? - rzucił.

Właśnie o to mi chodziło.

- Tak - powiedziałam wyzywająco. - Kiedyś to były najpiękniejsze ogrody w hrabstwie.

- I chciałaby pani, żeby wróciły do wcześniejszej glorii, prawda? Powinna pani znaleźć cudotwórcę.

- Ogrodnicy czynią cuda.

Parsknął śmiechem, podszedł do cieplarni i pchnął drzwi. Powietrze było gorące i nieruchome. Pachniało suchymi kwiatami; przeżyła tylko wielka winorośl.

- Ktoś utrzymywał tę piękną winorośl przy życiu - powiedział cicho. - Bardzo lubię winorośl.

Nie powiedziałam mu, że to ja przycinałam płożące się pędy i podlewałam krzew, że zbierałam owoce i robiłam wino. Było całkiem jasne, co go interesuje. Wypytał mnie szczegółowo o ogrzewanie, o pracę kotłów, o rodzaj opału i o koszt. Mierzył grunt pod szkłem, przechodził z jednej szklarni do drugiej. Sprawdzał rury, sufity i już wiedziałam, że połknął haczyk.

Przeszliśmy do sadu. Drzewa owocowe były obsypane kwieciami; buk, dąb i sykomora otoczone seledynem młodziutkich listków.

Zatrzymał się nad brzegiem rzeki.

- Ciekaw jestem, czy kiedyś ktoś myślał o tym, żeby zrobić ogród podwodny. Zawsze chciałem spróbować...

- Ja również.

Uśmiechnął się.

- Może moglibyśmy założyć podwodny ogród razem? Pewnie nie ma takiej klauzuli w kontrakcie?
- Byłoby to dla mnie przyjemnością, panie Railie.
- Naprawdę pani tak myśli? - w jego głosie znów zabrzmiał ton niepokoju. - To byłoby piękne. Czy mógłbym zadzwonić do pani do biura jutro rano? Zostanę w Merton Malling na parę dni. Bardzo mi pani pomogła, panno Shaw - powiedział.

Dlaczego mu wtedy, tam, nie powiedziałam, że mieszkam właśnie w Merton Malling w małym, niegdyś robotniczym domku, który dzieliłam z przyjaciółką.

Dom był wystawiony na sprzedaż ponad rok temu, w czasie gdy Jean i ja czułyśmy, że musimy w naszym życiu coś zmienić. Toteż dość szybko stwierdziłyśmy, że domek można przystosować do naszych potrzeb. Zbudowany był z czerwonej cegły, miał dach kryty szaro-zieloną dachówką. Pokoje nieduże, ale wygodne.

Miałyśmy mnóstwo uciechy mieszkając tam; każda z nas ma pokój dzienny i sypialnię. Wspólnie używamy kuchni i łazienki. Jean ma jeszcze swoją pracownię, a ja cieplarnię, dobudowaną po obu stronach domu. Długi ogród kończy się na rzece Maelling, tej samej, która skręca za wsią i stanowi granicę "Wysokich drzew".

Mój ojciec, wiejski lekarz, obejrzał dom, zanim z matką odlecieli do Etiopii.

Matka była zachwycona. "To będzie wielka frajda dla ciebie i Jean, urządzić ten dom" - powiedziała z radością.

Wcale nie miała ochoty jechać do Etiopii, ani nigdzie indziej. Urodziła się w środkowej Anglii i żyła tu szczęśliwie przez swoje pięćdziesiąt lat. Ale taką miała naturę; musiała być tam, gdzie ojciec.

Jean w owym czasie przeżywała trudny okres. Jej ojciec zmarł kilka tygodni przed wyjazdem moich rodziców. Odziedziczyła po nim "Wysokie Drzewa" i górującą nad wsią wytwórnię ceramiki Litchella. Początkowo nie chciała nawet myśleć o sprzedaży domu, ale zdarzyły się dwa przypadki, które ją do tego skłoniły. Wytwórnia miała mnóstwo długów; jej sytuacja finansowa była tak zawikłana, że Jean nie wiedziała, jak ma sobie z tym poradzić; przyjąć wspólnika czy przekształcić w spółkę. A Nicki Litchell zniknął.

Zniknięcie Nickiego przez parę tygodni po śmierci ojca Jean nie za bardzo nam przeszkadzało. Nicki zawsze zniknął, gdy wywołał jakąś awanturę; był nieokiełznany jeszcze za życia pana Litchella.

- Nigdy nie zniknął na tak długo - Jean broniła kuzyna.

- Zawsze zniknął na tak długo - mówiłam.

- Nic ci nie mówił, Carla? Byłaś z nim tak blisko - z trudem kryła łzy w oczach.

Nigdy nie chciałam powiedzieć Jean, że Nicki odszedł w dniu, w którym się zaręczyliśmy. Miałam nigdy nie powiedzieć jej o łzach goryczy, które wtedy wylałam, i o postanowieniu, że już nigdy żaden mężczyzna mnie nie upokorzy. Wyrzuciłam Nickiego Litchella z moich myśli i z serca, ale czasem...

Ronald Bridger, prezes spółki, a przy tym stary przyjaciel rodziny Jean i mojej odmienił bieg naszego życia.

- Co z tobą, Carla? - siedzieliśmy w jego biurze, dyskutując na temat domu, który właśnie sprzedawaliśmy. - Jesteś jakaś rozkojarzona. Czy to z powodu Nickiego Litchella?

- Nie, oczywiście, że nie - odparłam szybko. - Ale martwię się o Jean. Ma problemy.

- Powiedz mi wszystko - gdy Ronald Bridger każe, nie ma człowieka, który by odmówił. Zostało mu to po służbie w armii. Teraz poświęcił się całkowicie pracy w biurze, a jego sposób bycia zdobył serca wszystkich pracowników. Zapalił jedno ze swych małych cygar, wygładził nieduży wąsik, założył nogę na nogę i czekał.

- Potrzebuje pieniędzy - wyrzuciłam w końcu. - Wytwórnia jest zadłużona, a Jean nie może sprzedać ani jej, ani niczego innego. Przecież pan wie, że jest świetną projektantką.

- Jean może wynająć dom, a jeszcze lepiej - sprzedać go.

- Sprzedać "Wysokie Drzewa"? - osłupiałam.

- Może wybrać, prawda?

- Nie, Ronald, nie może. Ta wytwórnia to jej życie.

- Mogę jej dać pożyczkę, dopóki nie sprzeda domu.

- Jest pan pewien, że zgodzi się go sprzedać? A jeśli nie?

Ronald starannie strzepnął popiół.

- Myślę, że sprzeda. A teraz, chciałbym, żebyś pojechała na High Street w Merton Malling i zobaczyła dom numer siedemnaście. Powiedziałem twojemu ojcu, że to byłby dobry interes.

I tak oto mój ojciec kupił dom na High Street, Jean wystawiła "Wysokie Drzewa" na sprzedaż i któregoś ciepłego kwietniowego dnia wprowadziłyśmy się do nowego domu. Nasz nowy ogród zócił się od żonkili. Wokół powiększonych okien lśniła biała farba, pracownia i cieplarnia były już w trakcie budowy.

Merton Mallong jest małą wioską. Nie leży na żadnej trasie, a długa, prosta droga, która do niej prowadzi, kończy się niedużym placem przed siedemnastowiecznym kościołem. Przy dobrej pogodzie ze wzgórza po drugiej stronie rzeki widać iglicę kościoła Św. Małgorzaty i wysokie budynki Mertonbury, miasta leżącego osiem mil na północ.

Naszą wieś odwiedzają tylko goście przyjeżdżający, żeby zwiedzić kościół i wytwórnię Litchell. Czasem zdarzają się też letni przybysze, którzy nocują w Potters Arms i pozostawiają po sobie upstrzone napisami ściany - znaki przelotnych ptaków. Zimowej ciszy nie przerywa nic, prócz kroków idących po "High Street ludzi i odgłosów pogawędek na placu.

Gdy wyjeżdżałam z biura "Bridger, Lazonby i Shaw" w Mertonbury, żeby zobaczyć się ze Stuartem Railie, byłam pewna, że chciałabym, aby to on tam zamieszkał. Kiedy jechałam z powrotem, miałam coraz więcej wątpliwości, czy to on jest tą osobą, która powinna kupić "Wysokie Drzewa", dom, który tyle dla mnie znaczył.

ROZDZIAŁ II

Jean gotowała obiad, gdy wróciłam ze spotkania ze Stuartem Railie w "Wysokich Drzewach".

- Spóźniłaś się - powiedziała. - Bądź tak miła i nalej nam trochę sherry. Daleko byłaś?

- Nie - odpowiedziałam, chwytając butelkę i dwie szklanki. - Pokazałam klientowi "Wysokie Drzewa".

Znieruchomiała nagle. Przymknęła oczy i zacisnęła dłoń na rączce patelni.

- Co za człowiek! - siadłam na taborecie i pociągnęłam łyk sherry. - Pan Stuart Railie, wiesz, ten facet od programów o ogrodnictwie.

Nadal stała bez ruchu, naprężona jak struna. Czyżby sądziła, że gdyby przez parę tygodni nie zgłosił się żaden chętny, mogłaby odwołać sprzedaż?

- Wiesz, co powiedział? - przerwałam, ale nie odwróciła się, więc mówiłam dalej.

- "Dlaczego zawsze nabijają mnie w butelkę i przysyłają podwładnych?" - nieświadomie naśladowałam jego znany głos. - Chciał, żeby to Ronald pokazał mu posiadłość.

Jean odwróciła się i sięgnęła po szklanke.

- Nie powiedziałaś mu, że jesteś jednym z dyrektorów firmy?

- Pewnie, że nie. Jean, mam wrażenie, że on naprawdę chce kupić dom.

Znów odwróciła się do kuchenki. Widziałam tylko jej proste plecy i kasztanowe włosy opadające na ramiona. Spytała stłumionym głosem:

- Jaki on jest?

Zdziwiło mnie jej pytanie.

- Nie widziałaś go w telewizji? Ma bardzo niebieskie oczy, miły uśmiech i chyba jakieś 35 lat.

- Nie pytam cię, jak on wygląda, przecież wiem - powiedziała niecierpliwie.

- Jest trochę zarozumiały. Ale jego miłość do roślin uszlachetnia go. Jeszcze trochę, a miałby aureolę - przerwałam. - Był mile zaskoczony winoroślą..

- Winoroślą? - spytała.

- Opiekowałam się nią. Musiałam, Jean. Nie mogłam znieść myśli, że uschnie. Twój ojciec traktował ją jak dziecko.

- Och, dziękuję, Carla - spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. - Byłby bardzo szczęśliwy.

- Powinnam cię była spytać, czy mogę z niego zrywać owoce, ale byłaś wtedy bardzo załamana, więc pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę. Tego dnia, gdy owoce dojrzały do zbioru, miałaś ślady gliny na twarzy i byłaś zajęta umową z tym facetem z Holandii.

Odprężyla się, na jej policzkach pojawiły się dołki, a jej oczy rozjaśniły się.

- Peter! - Był taki zabawny. Szkoda, że żonaty...

- Ty stara oszustko! Przecież miałaś go w nosie. Chciałaś na nim zrobić wrażenie poważnej i porządnej młodej osoby.

Jean roześmiała się.

Odetchnęłam z ulgą. Weszliśmy na bardzo niebezpieczny teren, ale udało się jakoś zeń umknąć.

Jean miała rysy Mitchellów; i o ile u Nickiego były one wyraźne i widoczne na pierwszy rzut oka, Jean trzeba się było dobrze przyjrzeć, tym bardziej, że jej twarz zmieniała się w zależności od nastroju. Gdy była szczęśliwa, oczy jej lśniły, a gdy się czymś martwiła, rysy Jean się ściągały, a twarz bladła.

Miała silne dłonie i umiała robić z nich użytek. Wyroby firmy Litchell stawały się coraz bardziej poszukiwane przez znawców. Jej modele w jasnych, lśniących kolorach uznano za nowy trend w ceramice.

Niespodziewanie dla wszystkich Jean wzięła wytwórnę w swe ręce, tak, jakby robiła to przez całe życie. I pomimo, że świetnie sobie radziła z zarządzaniem firmy, marzyła tylko o jednym - o projektowaniu.

Jean znów obróciła się do patelni, a ja przebiegłam wzrokiem naszą kuchnię zrobioną z dwóch przylegających pokoiów. Ustawiłyśmy w niej jasne, sosnowe meble: kredens, stół i krzesła. Stół stał przy oknie i siedząc przy nim, miało się widok na cały ogród i na patio. Kredens był ozdobiony kolekcją kubków, misek i talerzy. Wzięłam ostatni model Jean, kubek do kawy i przyglądałam mu się uważnie.

- To jest - powiedziałam - jeden z najlepszych twoich projektów. Kubek do kawy, właśnie taki jaki powinien być. Idealna wielkość i kształt, zgrabne uszko, piękny kolor.

- Pochlebiasz mi - powiedziała uśmiechając się. Jej oczy lśniły z zadowolenia. Lubiała pochwały i cieszyła się nimi.

- Nie Jean, nie pochlebiam. Myślę, że masz wspaniałą przyszłość.

- Chodź, obiad już gotowy - odrzekła.

Urządziliśmy dom tak, jak to nam obu pasowało. Dzieliłyśmy się codziennymi obowiązkami, a poza tym wiodłyśmy życie wspólne lub osobne, zależnie od tego, jaki miałyśmy nastrój.

Kończyłyśmy jeść, gdy zadzwonił telefon.

- Odbierz - rzekła Jean, zbierając talerze. Podniosłam słuchawkę i usłyszałam głos Adriana Bridgera.

- Carla, kochanie. Co z obiadem jutro wieczorem?

- Jean i ja zamierzałyśmy... - zaczęłam.

- Jean też, oczywiście - dodał prędko.

To właśnie był Adrian. Co rusz zmieniał kurs; nigdy nie wiedziałyśmy, z którą z nas chce się umówić. Widywałam go niemal codziennie w biurze i wcale nie drżałam na myśl o spędzeniu z nim wieczoru, ale ze względu na Jean starałam się być uprzejma.

- Spytam ją. Zaczekaj chwilę.

Zawołałam Jean. Było zbyt ciemno, żebym mogła ujrzeć wyraz jej twarzy, ale wiedziałam, że się waha.

- Chce nam oszczędzić trudu gotowania - rzekłam.

- Och, Carla, przekraczasz granice przyzwoitości!

- Tak? - spytałam.

Skinęła głową, gdy wróciłam do telefonu.

- Dziękuję, Adrian. Chętnie gdzieś się z tobą wybierzemy. Umówimy się jutro w biurze - odłożyłam słuchawkę i poszłam do mojego pokoju. Jean podążyła za mną.

- Nie masz zbyt wielkiej ochoty na to spotkanie - stwierdziła.

- Istnieją miłsze sposoby spędzania wieczoru.

- Myślę, że jesteś bardzo niemiła dla Adriana. Zwodzisz go.

- Bzdura. To nie jest facet, który nie wie, czego chce. Jest uparty i wytrwały.

- Nie sądzę.

- To jaki jest? - spytałam zdziwiona.

Wzruszyła ramionami i poszła na górę.

Czy byłam niemiła dla Adriana? Poszłam za nią do jej pokoju urządzonego z artystycznym smakiem. Na wysokim stoliku, w dużej czarze stał wielki bukiet żonkili. Pokój był jasno-żółty, sprzęty brązowe.

- No? - usadowiłam się na szerokim, głębokim krześle. - Powiedz mi.

Odwrócona do mnie tyłem, przekładała kwiaty.

- Jest uprzejmy i rozważny.

- I głupi. Przyznaj szczerze, Jean, że czasami jest nudny.

- Nieprawda - odparła żywo. - Kocha się w tobie, a ty traktujesz go bardzo źle.

- Ja? Zaskakujesz mnie. Po prostu nie jest w moim typie.

- A ten okropny Stuart Railie pewnie jest. Silny, agresywny i zainteresowany "Wysokimi Drzewami" - zaczęła szlochać.

- Jeanie, to naprawdę nie jest tak. Przecież obie wiemy, że "Wysokie Drzewa" muszą być sprzedane. Pogodziłyśmy się z tym.

- Nie - odrzekła. - Ty tak, ale ja nie. Nie mogę o tym słuchać.

Spojrzała na mnie, jej ciemne oczy pełne były cierpienia, które tak rzadko okazywała.

- Rozumiem, Jean. Ale życie się toczy...

- To prawda, Carla. Życie się toczy, a ja jestem gdzieś na jego marginesie.

Ciężko jest wyrzucić z siebie gorycz. Żadne słowa nie przynoszą ukojenia, nie pomagają w przejściu tej granicy, gdy jakiś etap w życiu kończy się tak gwałtownie, że trudno zebrać się w garść i zacząć od nowa.

- Jeśli nie chcesz, żeby ten facet kupił "Wysokie Drzewa", powiedz. Mogę przekonać RONALDA BRIDGERA, ale wiesz, kochanie - to już trzeci kupiec.

Po chwili odezwała się.

- Masz rację, Carla. Nie uwolnię się od przeszłości, póki dom nie zostanie sprzedany. Może Nicki...

- On nie wróci - rzekłam pewnie.

- Jak możesz tak mówić. Dlaczego mówisz tak jak wszyscy?

Zapadła cisza. Wiedziałyśmy, że w nasze życie znów wkracza przeszłość, jak przez cały ten miniony rok.

- Sprzedajcie go - powiedziała ostro. - Masz rację, Carla. Skończone.

Każdego powszedniego ranka jadę osiem mil do Mertonbury. Wychodzę z domu tak, żeby być w biurze przed dziewiątą. Lubię stare miasto, jego brukowane place, ceglane domy, dwa wspaniałe kościoły i ruchliwy rynek.

Spokojna atmosfera miasta ma odbicie w zasadach działania naszej firmy, uczciwe transakcje, żadnych kombinacji, a wszystko pod przewodnictwem RONALDA BRIDGERA, byłego majora w pułku Gloucestershire.

Moje nazwisko dopiero od niedawna widnieje na szyldzie firmy. Propozycja RONALDA, którą złożył mi po śmierci pana Lazonby'ego, była dla mnie dużym zaskoczeniem.

- Nie chciałbym cię utracić - zażartował Ronald. - Ale poważnie, Carla, jesteś dobra. Myślę, że dobrze wiesz o tym, że sprzedawałaś więcej nieruchomości, niż my wszyscy razem wzięci.

Wiedziałam, owszem, ale mimo to czułam się zaszczycona uznaniem mnie za wartościowego pracownika.

Awans utwierdził naszą przyjaźń, istniejącą mimo różnicy wieku. Byliśmy ludźmi tego samego rodzaju. Oboje ambitni, lubiliśmy sukces i tę dziwną siłę, która zeń emanuje.

Adrian i jego ojciec nie zawsze zgadzają się ze sobą. Adrian interesuje się starymi budowlami, mówi, że to historia zapisana w kamieniach. Adrian ma duszę artysty. Maluje miniatury, co wcale mu nie przeszkadza świetnie prowadzić interesy; jest szefem działu reklamy. Jego ojciec poznał się na talencie syna w tej dziedzinie, tak samo, jak docenił moje profesjonalne podejście do sprzedaży nieruchomości.

Ronald i jego żona Paula zawsze zapraszają mnie do swojego domu, Staten Court, który Adrian doprowadził do stanu niegdysiejszej świetności. Bywałyśmy tam z Jean na niezliczonych przyjęciach i obiadach, a w letnie popołudnia grywałyśmy w tenisa.

Ambicją Ronalda było rozszerzenie działalności. Mieliśmy kilka biur na południu Anglii i zamierzaliśmy otworzyć przedstawicielstwo w Londynie.

Tego ranka, gdy przyjechałam do biura, Ronald siedział już przy biurku.

- Dzień dobry, Carla. Zrób sobie kawy i mnie też daj filiżankę. Dobrze ci wczoraj poszło - mówił, gdy postawiłam na blacie dwa kubki i usiadłam.

- Tak. Pan Railie zdawał się być zainteresowany.

- Dzwonił tu. Szklarnie mu się spodobały?

Skinęłam głową. Ronald patrzył na mnie z ciekawością.

- Zrobiłaś wrażenie. Nie mógł się nachwalić twojego fachowego podejścia. Dał mi do zrozumienia, że powinienem podwyższyć ci pensję.

Roześmialiśmy się.

- Mam nadzieję, że tym razem pójdzie gładko.

- Mówiłam Jean, że znaleźliśmy zainteresowanego kupca. Chyba się już pogodziła.

-Więc możemy to sfinalizować. Chciałbym się już pozbyć tej sprawy. Przeciaga się zbyt długo.

Nic nie rozumiał. Jak mógłby zrozumieć? Ronald był trzeźwym, praktycznym biznesmenem. Bardzo nie lubił spraw, które się przeciągały. Zresztą mawiał, że przy sprzedaży nieruchomości nie ma miejsca na sentymenty.

- Muszę jechać dziś do Londynu, Carla, więc umówiłem ciebie z panem Railie - spojrział do notesu. - Na jedenastą.

- On nie lubi robić interesów z podwładnymi - powiedziałam.

Ronald roześmiał się. Śmiał się cicho, ramiona mu się trzęsły, a oczy wyglądały jak małe, błyszczące szparki.

-To wcale nie jest śmieszne, a poza tym jestem już umówiona.

-Z kim?

Wymieniłam nazwisko nie istniejącego klienta.

- Odwołaj to. Chcę, żebyś, poprowadziła tę sprzedaż, rozumiesz?

Stuart Railie zjawił się w biurze punktualnie o jedenastej. Bez zaproszenia siadł na krześle i zaczął się rozglądać. Zaproponowałam mu filiżankę kawy. Skinął potakująco.

- Jak długo będę musiał czekać? Zdawało mi się, że dość jasno mówiłem Bridgerowi, że nie mam czasu.

Przeniosłam moją filiżankę z kawą na biurko.

-Pan Bridger został nagle wezwany do Londynu.

-Kto go zastępuje? - spoglądał złym wzrokiem na sprzęty w moim małym biurze. Potrzebował chyba właściwego tła: zielonych drzew, rozległego nieba i łopaty, na której mógłby się malowniczo oprzeć.

- Ja.

-Pani!? - jego niedowierzenie było denerwujące.

-Jestem dyrektorem i mam pełne kompetencje do prowadzenia sprzedaży.

Wysunął się naprzód i badawczo mi się przyglądał.

- Nie jest pani trochę za młoda jak na taką funkcję?

Moje dwadzieścia sześć lat nie odstraszyło Ronalda, gdy mnie awansował, czemuż więc tak zdziwiło pana Stuarta Railie? Postanowiłam zignorować jego uwagę. Z zabawnym błyskiem w oczach spytał:

- To pani jest Shaw? - wskazał palcem moje nazwisko na papierze firmowym. - Myślałem...

Przerwałam:

- Powinnam być mężczyzną. Przepraszam, że pana zawiodłam.

- Wcale mnie pani nie zawiodła. Z kobietami interesy idą łatwiej.

- Jeśli sady pan, że ze mną pójdzie panu łatwiej niż z panem Bridgerem, niech się pan nie ludzi. A teraz zajmijmy się interesami.

Myśle, że mnie wtedy nienawidził. Był nieznośny. Drwiącym głosem zaoferował cenę, której nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł przyjąć. Pomyślał chwilę i wymienił cenę bliższą proponowanej przez nas, więc poinformowałam go, że przekażę ofertę sprzedawcy. I wtedy, w najmniej właściwym momencie, do mojego biura wszedł Adrian. Przedstawiłam go Railiemu.

- Chciałbym, żeby pan poprowadził tę transakcję - powiedział.

Adrian spojrzał na mnie. Widział w mojej twarzy, co myślę na ten temat. Nic nie mogło mnie skłonić do rezygnacji ze sprzedaży "Wysokich Drzew".

- Przykro mi, panie Railie. Zajmuję się reklamą. Zapewniam pana, że panna Shaw jest osobą kompetentną.

Railie wstał.

- W porządku. Ale jeśli coś pójdzie nie tak - zagroził - pani będzie za to odpowiadać. - Rzucił na mnie wściekle spojrzenie i wyszedł z pokoju.

- To nieokrzesany gbur, Jean. I nienawidzi kobiet - skarżyłam się.

- Nie bądź głupia, Carla. W jednym z programów, jakaś śliczna dziewczyna wykopywała z nim dżdżownice czy coś takiego.

Roześmiałam się.

- Po co wykopywać dżdżownice? Jak wyglądała?

Jean uśmiechnęła się.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, po co wyciągała z ziemi to paskudztwo, ale była naprawdę ładna. Piękne blond włosy; miała na sobie sweter, który więcej odsłaniał niż zasłaniał. Niewątpliwie biedny Railie posiekał przez pomyłkę jedną ze swych cennych roślin.

- Bujasz. Nawet Wenus by go nie ruszyła.

- Słuchaj, czy on chce kupić dom?

- Złożył ofertę. Teraz wszystko zależy od ciebie, czy się zgodzisz.

Wymieniłam sumę. Zawahała się wyraźnie. Potrzebowała pieniędzy, i z tej sprzedaży chciała wyciągnąć jak najwięcej.

- A jeśli się nie zgodzę na tę kwotę?

- Możemy się targować, jeśli tego chcesz. Ale kiedy się zgodzisz nie będzie odwrotu.

- Muszę to przemyśleć.

- W porządku. Ale nie za długo. Stuart Railie jest niecierpliwy. Ziemia pali mu się pod stopami.

ROZDZIAŁ III

Adrian tak się upierał, żeby zjeść z nim obiad, że nie mogłam odmówić. Zanim wyszliśmy z biura, przedstawiłam mu sytuację.

- Myślę, że Jean poczuje się lepiej, gdy ta sprawa ruszy. Tym razem nie możemy pozwolić, żeby się wycofała.

- Nie martw się, Carla. Porozmawiam z nią.

Byłam mu wdzięczna, że przejął sprawę w swoje ręce. Wróciłam do domu, żeby wziąć prysznic i przebrać się.

Jean była już ubrana. Czasem spędza całe dni w wytwórni, czasem zostaje w pracowni i kręci się z kąta w kąt, rozmyślając nad nowymi pomysłami. Bałam się o nią w takie dni. Zamykała się w sobie i stawała się całkiem niekomunikatywna. Przypuszczałam, że zbliżająca się sprzedaż "Wysokich Drzew" bardzo ją porusza.

- Zrobiłam ci drinka. Co zakładasz? - krzyknęła przez szum prysznica.

- Zieloną jedwabną - odkrzyknęłam.

Gdy weszłam do sypialni, suknia leżała już na łóżku. Chwyciłam martini z lodem i pociągnęłam ze smakiem, po czym włożyłam suknię. Usiadłam na taborecie, żeby Jean zapięła mi zamek. Stała bez ruchu, z dłońmi na moich ramionach. Nasze odbicie w lustrze wyglądało jak pozowana fotografia z czasów królowej Wiktorii.

- Zawsze powinnaś ubierać się na zielono - poruszyła się niszcząc obraz. - Osoby o zielonych oczach...

- Moje oczy nie są zielone - chwyciłam szczotkę do włosów. - Są orzechowe - póki nie jestem zazdrosna.

- A jesteś?

- O ciebie i Adriana? Daj spokój.

- Nie wygląda na miłośnika trójkątów.

Przysunęłam się do lustra.

- Wiem. I dlatego chciałam, żebyście poszli na obiad, beze mnie. Masz z nim wspólny język, jesteście artystami.

- To nie ma nic do rzeczy - powiedziała.

Jean nie musiała mówić, że zainteresowanie Adriana było czysto fizyczne. Był dotykowcem, a ja bardzo tego nie lubiłam. Często brał mnie za rękę, gładził po ramieniu, raz nawet próbował podnieść moje włosy i pocałować mnie w kark. Przestraszyłam się, jakbym poczuła zimny dotyk lufy rewolweru. Nie próbował więcej.

Jean natomiast nie miała nic przeciwko jego pieszczotom. Lubiała trzymać go za rękę, czuć jego palce na ramieniu. Bliskość drugiej osoby uspokajała ją.

- Pospiesz się - rzekła - Adrian dzwonił. Zapomniał ci powiedzieć, że zarezerwował stolik na ósmą, a wiesz, jak o tej porze wygląda Potters Arms.

Odwrociłam się.

- Nie wiedziałam, że zabiera nas do Potters Arms. Tam jest okropnie!

- Tylko w barze. My będziemy w sali restauracyjnej.

- Gdybym wiedziała...

- Och, nie grymasz i chodź wreszcie. Nie lubię dawać na siebie czekać.

Adrian czekał przed drzwiami baru leżącego przy drodze, niedaleko od naszego domu. Wyglądał bardzo schludnie w jasnoszarym garniturze i żółto-szarym krawacie. Ciekawa byłam, czy dostał go od Jean.

- Chcecie wypić drinka w barze, czy iść od razu do restauracji? - spytał, gdy już obcałował nas obie.

- Jeść - powiedziałam. - Jestem głodna, nie jadłam lunchu.

- Głuptas - Adrian uśmiechnął się.

- Jesteś jak ojciec.

- To chyba nic złego.

- Przestańcie - Jean weszła na schody - sprzeczacie się jak dzieci.

Adrian zarezerwował stół. Miejsca Jean i moje zdobyły pojedyncze, czerwone róże. Z galanterią przypiął różę Jean, ale zanim zwrócił się w moją stronę, przyczepił swoją do sukienki, tak, że chłodne płatki dotykały skóry.

Studiowaliśmy menu, gdy usłyszeliśmy czyjś głęboki głos z tyłu. Podskoczyłam.

- Panna Shaw i pan Bridger. Cóż za niespodzianka!

Odwrociłam się szybko. Poznałam głos. Adrian wstał.

- Dobry wieczór, panie Railie. Jesteśmy tu prywatnie. Dziewczeta mieszkają we wsi, a ja o milę stąd.

- Staten Court - powiedział Railie. - Słyszałem o tym. Bardzo chciałem obejrzeć pańskie wodne ogrody.

- W każdej chwili jestem do pana dyspozycji - Adrian zawahał się. - Jest pan sam? Zechce pan dołączyć do nas?

Rozejrzałam się ukradkiem, ale nie dostrzegłam nikogo, kto mógłby odpowiadać opisowi czarującej blondynki, którą przedstawiła Jean.

Adrian spojrzał na Jean.

- Nie wszyscy się znamy.

- Pan Stuart Railie, Pani Jean Litchell.

Usiedli.

- Adrian, proszę cię, niech wreszcie przyniosą ten obiad. Umieram z głodu - powiedziałam.

Stuart Railie uparł się, że kupi butelkę wina i wkrótce zatopił się z Jean w rozmowie o ceramice. Adrian i ja zajmowaliśmy się jedzeniem. Zgadłam z jego ukradkowego uśmiechu, że on również nie jadł lunchu.

Tuż przed tym, jak zamówiliśmy kawę, Stuart spytał Jean:

- Jest pani spokrewniona z tymi Litchellami, którzy chcą sprzedać dom?

Zapadła nagła, napięta cisza. Jean zarumieniła się i przygryzła wargę.

- Obecnie - odezwał się - to Jean jest właścicielką "Wysokich Drzew".

- Jak pani może je sprzedawać? - spytał Stuart.

Gdybym tylko siedziała bliżej, kopnęłabym go z całej siły w łydkę.

- Potrzebuję pieniędzy - odrzekła prosto Jean. - Chcę rozbudować wytwórnię, postawić nowe budynki i zmodernizować

stare. Wie pan, mieszkamy z Carlą w jednym domu, we wsi. Musi nas pan odwiedzić. Carla jest genialną ogrodniczką.

- Naprawdę? - spytał Stuart.

- Nie ogląda pana programów tylko wtedy, gdy pracuje - wyrzuciła, a ja w tej chwili najchętniej bym ją zamordowała.

- Ale nie przynoszę jej żadnego pożytku - odparł z wisielczą miną.

Jean spojrzała zaskoczona.

- Być może mógłbym skorzystać z pani zaproszenia, obejrzyć pani ogród - Stuart spojrzał na mnie z ukosa. - Musi być perfekcyjny.

- Jest pan w błędzie, panie Railie - odpowiedziałam. - Perfekcja w ogrodzie jest niemożliwa; zawsze znajdzie się robaczek w pączku.

Zaśmiał się, w jego oczach zaślniła życzliwość.

- Ma pani całkowitą rację. Trzeba być bardzo inteligentną osobą, żeby to zrozumieć. Proszę nazywać mnie Stuart. Mam nadzieję, że wszyscy zostaniemy przyjaciółmi.

- Podoba mi się ten twój Railie - powiedziała Jean, gdy po powrocie do domu siedziałyśmy w kuchni nad herbatą.

- Nie mój - odparowałam. - Jak tam, kupi "Wysokie Drzewa"?

Trzymała kubek w obu dłoniach i patrzyła na mnie z nad jego brzegu.

- Nie jestem pewna - rzekła poważnie. - Nie mówiłaś mu, że dom jest mój?

- Niezbyt wyraźnie. Na pewno myślał, że w tle czai się męski potomek Litchellów.

Ledwo wypowiedziałam te słowa, ugryzłam się w język. Policzki Jean były czerwone, a w oczach lśniły łzy.

- Jestem głupia. Przepraszam, Jeanie.

Potrząsnęła głową.

- Nie powinnam się tak przejmować. To głupie, żeby tak się martwić, że nie ma żadnego mężczyzny w rodzinie Litchellów - chyba, że Nicki gdzieś żyje...

- Jeśli żyje, jest gdzieś niedaleko - rzekłam z przekonaniem.

- Nie uwierzę, że zginął - powiedziała gwałtownie. - Nie mogę o nim zapomnieć nawet na chwilę. A ty?

Potrząsnęłam głową. "Nicki, zdrajca" - pomyślałam z zawziętością. Zmusiłam się do tego, żeby wyrzucić go z mojego serca i umysłu. Ale

Jean jest inna. Nicki jest jej kuzynem, a moja kochana, sentymentalna Jean, gdy kochała, to już na zawsze.

Tej nocy śnił mi się Nicki. Przerazający sen: stał na szczycie wysokiego urwiska. Niżej szalało morze, a ja wspinałam się do niego po skałach. Wyciągał ręce, kiwał na mnie, żebym się pośpieszyła. Mówił coś, ale go nie słyszałam, wiatr i morze ryczały, a woda podchodziła coraz bliżej.

Obudziłam się. Deszcz bił w okna, w oddali grzmiała burza. Miałam mokre policzki. Otarłam je prześcieradłem, ale łzy dalej płynęły. Dawno już nie płakałam z powodu Nickiego. Czemu teraz?

Jean zapukała do drzwi i weszła z herbatą na tacy.

- Krzyczałaś - powiedziała. - Pewnie homary ci zaszkodziły i przyśnił ci się zły sen.

- To nie homary - odrzekłam - śnił mi się Nicki. - Usiadłam i zadrzałam. Jean postawiła tacę z kubkami na stoliku i okryła mnie szlafrokiem.

- Mnie też czasem się śni - podała mi kubek i usiadła na łóżku. - Śnię, że wraca i wybacza mi.

- Ty głuptasie. Nie ma czego ci wybaczać. To ty mogłabyś jemu wybaczyć. Pokłócił się z twoim ojcem, i on go pewnie wyrzucił.

Zacisnęła usta w wąską, prostą linię i odwróciła głowę.

- Nicki nie wróci - stwierdziłam.

- Dlaczego jesteś taka pewna? Jeśli wróci, wróci do ciebie.

- Nie, Jean. Tak czy owak, jest już za późno dla nas obojga.

Widać było w jej oczach, że nie wierzy. Wiedziałam, że wciąż ma nadzieję, że Nicki przyjdzie któregoś dnia. I dlatego - pomyślałam - waha się, czy sprzedać "Wysokie Drzewa".

- Nie mogę tego znieść, Carla. Gdy sprzedamy dom, to będzie już koniec wszystkiego.

Wiedziałam co ma na myśli. Dom był miejscem, gdzie wszyscy byliśmy szczęśliwi, gdzie chroniliśmy się przed wydarzeniami, które chciały nas zdruzgotać.

- Teraz tu jest nasz dom, Jean. Musiałaś wybrać; wybrałaś wytwórnię. A poza tym, nie chciałybyś chyba mieszkać w "Wysokich Drzewach" sama - prawda?

Dziwne, ale nic nie powiedziała, nie powiedziała gwałtownie "nigdy", jak to czyniła tyle razy przedtem. Podeszła do okna i wyjrzała. Kominy "Wysokich Drzew", wyższe od rosnących nad rzeką dębów, były dla niej wyzwaniem. Nigdy nie będziemy mogli zapomnieć domu i wszystkiego, cośmy tam przeżyły.

Jean wyszła z pokoju. Ubrałam się i zesłam do kuchni. Pokroiłam chleb, zrobiłam grzanki i zaparzyłam dzbanek mocnej herbaty.

Nicki zawsze wprowadzał między mnie a Jean niezgodę. Nie dawał mi spokoju jego zuchwały uśmiech pełen obietnic, których nigdy nie spełni. A gdy już wtargnął ponownie do mej jaźni, kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby go stamtąd wyrzucić.

Posmarowałam tosty masłem i marmoladą, wypijałam herbatę i próbowałam się uspokoić. Miałam w biurze trudną sprawę do załatwienia. Ronald Bridger chciał, żebym naprawiła nieudaną transakcję. Były takie przypadki, gdy większą niechęcią darzyłam sprzedających niż kupujących, gdyż byli owładnięci potworną chciwością.

Wciąż padało. Samochód zapalił bez problemu, ruszyłam w drogę. Ruch był niewielki, więc spodziewałam się dojechać do Mertonbury bardzo szybko.

Po mili jazdy musiałam nagle zahamować. Na środku drogi stał mężczyzna, machając ramionami jak wiatrak.

To był Stuart Railie. Pochylił się do otwartego okna wozu.

- Wypadek. Potrzebna pomoc.

Natychmiast wysiadłam, na skraju drogi leżała kobieta, z dziwnego sposobu ułożenia ciała można było wnosić, że ma złamaną nogę. Niedaleko leżał rower.

- Ona chyba jest nieprzytomna. Gdzie jest najbliższy telefon? - Stuart był rozpanikowany.

- We wsi.

- Musimy sprowadzić ambulans. Mam jechać?

- Nie. Ja pojedę. Jeśli budka będzie zepsuta, zadzwonię z domu.

Zawróciłam wóz na bocznej drodze i pojechałam do wsi. Telefon w budce był oczywiście znowu zdemolowany, musiałam więc pojechać aż do domu. Zadzwoniłam po pogotowie i policję i wróciłam do Stuarta.

Kłęcząc na drodze, usiłując wsunąć pod głowę kobiety zwinięty pled i okryć ją nieprzemakalnym płaszczem.

- Znasz ją?

Przyjrzałam się jej i skinęłam głową.

- To Ellen Smith. Mieszka we wsi sama. Pracowała kiedyś u Litchellów w "Wysokich Drzewach".

Nadjechał ambulans na sygnale. Sanitariusze umiejętnie podnieśli Ellen Smith i ułożyli ją na noszach. W chwilę później zjawiła się policja. Stuart opowiedział, jak znaleźli leżącą na drodze kobietę, policjanci spisali nasze nazwiska i adresy i odjechali.

- Spieszysz się? - spytał Stuart.

- Spieszyłam się.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Carla. To znaczy muszę z tobą porozmawiać.

Zaczęliśmy mówić do siebie po imieniu dopiero wczoraj. Jego poruszenie zaskoczyło mnie. Zdawało mi się, że jest człowiekiem chłodnym, spokojnym i opanowanym.

Podjęłam błyskawiczną decyzję.

- W porządku, może wrócimy do domu? Filiżanka kawy dobrze nam zrobi.

Uśmiechnął się z wdzięcznością. Zawróciliśmy wozy i pojechaliśmy do wsi.

- Gdyby ci to nie sprawiło kłopotu - wszedł za mną do domu, a potem do kuchni - wolałbym mocną herbatę.

- Nie ma sprawy. Na kredensie stoi whisky - nalej po kieliszku na uspokojenie.

Zadzwoiłam do biura, zabraliśmy drinki i przenieśliśmy się do pokoju. W pochmurne dni bywa on ciemny i nieco ponury. Deszcz przestał padać, ale po szarym niebie wciąż przelatywały nisko ciemne chmury.

- Mówiłaś, że ta kobieta pracowała w "Wysokich Drzewach"? - powiedział, sadowiac się wygodnie na krześle.

- Tak. Czemu pytasz?

- Gdy pojechałaś dzwonić po pogotowie, na parę chwil odzyskała przytomność. Powiedziała parę słów. Myślę, że mnie rozpoznała.

Milczałam.

Wypił herbatę, wstał i podszedł do okna.

- Powtarzała wciąż: "Tylko nie "Wysokie Drzewa". Tak mi się przynajmniej wydaje. To było niesamowite. Potem wymamrotała jakieś imię, którego nie zrozumiałem i straciła przytomność.

Poczułam, że po ciele przechodzi mi gęsia skórka. To już drugie ostrzeżenie.

- Mogę prosić jeszcze herbaty?

Wzięłam filiżankę i napełniłam gorącym, pachnącym płynem.

- O co tu chodzi, Carla? Zdaje mi się, że ludzie nie chcą, abym kupił dom. Dlaczego?

Wiedziałam dlaczego, oczywiście, że wiedziałam. Mieszkańcy wsi wierzyli, że Nicki wróci. Butny, uśmiechnięty Nicki. Samozwańczy lord Manor. Facet, którego wyczyny podniecały wyobraźnię wieśniaków, i który był zawsze aktualnym tematem rozmów w całym hrabstwie. I on, i oni wszyscy wierzyli w to, że jest pełnoprawnym właścicielem domu. Nicki błyskawicznie stawał się legendą. Należał - tak jak cała jego rodzina - do tego małego skrawka ziemi. A ja musiałam teraz wierzyć, że nie ma możliwości, aby kiedykolwiek wrócił.

Byłam jedyną osobą, która tak sądziła. Ale też nikt nie znał Nickiego Litchella tak jak ja - nikt prócz Jean.

- Wiesz, jacy są wieśniacy. Nienawidzą wszelkiej zmiany. Litchellowie żyli w "Wysokich Drzewach" przez wieki. Ścisłe mówiąc od trzystu lat. Gdy się już osiedlisz, zaakceptują cię.

- Nie wiem, czy mnie przyjmą, gdy kupię dom.

- Muszą - powiedziałam, ale nie miałam racji. Nicki musi zostać wywłaszczony, bo jeśli to ludzie mają rację, jeśli Nicki wróci, wiedziałam doskonale, że sięgnie po "Wysokie Drzewa" i po nas.

Nasze oczy spotkały się na chwilę, ale odwróciłam wzrok.

- Jean mówiła mi - powiedziałam - że chce zmodernizować wytwórnię. Nowe budynki, nowe piece, nowe miejsca pracy... - zawiesiłam głos.

- Rozumiem, że potrzebuje pieniędzy - przerwał niecierpliwie. - Rozumiem, że nie chce wziąć wspólnika albo założyć spółki. Ale pomimo wszystko wydaje mi się, że jest jeszcze jakaś inna przyczyna.

- Zapewniam cię...

- Nie. Carla, czego lub kogo ty i Jean się boicie?

Utkwiłam w nim zdumione oczy:

- Ależ co ty mówisz?

- Dokładnie to co powiedziałem. W tym domu od zawsze mieszkali Litchellowie. A teraz ostatnia z rodu chce go sprzedać. Ona jest ostatnia?

- Odziedziczyła dom po ojcu - odrzekłam.

- Wiem o tym. Przypuszczam, że istnieją jeszcze jacyś dalecy kuzyni - czegoś się domyślał.

"Nie tacy dalecy" - pomyślałam.

- Szkoda, że nie może zyskać pieniędzy na modernizację inaczej niż przez sprzedaż domu. Próbowałaś jej to wyperswadować?

- Nie - powiedziałam ostro. - To była jej decyzja. Pan Bridger proponował jej pożyczkę.

- Dlaczego się nie zgodziła?

- To chyba oczywiste.

- Nie dla mnie. Zostałem narażony na różne, osobliwe uwagi.

- Z czyjej strony?

- Ludzi - rzekł wymijająco.

- Myślę, że z tych wszystkich pólówek wyczytałeś więcej, niż one znaczą. A oczywistą przyczyną, dla której Jean nie chce się zapożyczać jest to, że nie chce popaść w długi.

Wzdrygnął się; przez jego twarz przebiegło niedowierzanie.

- Naciągasz mnie - rzekł niezadowolony. - Każdy ma długi.

Nie chciałam go przekonywać, jako że sama nie byłam pewna motywów Jean. Rozumiałam, że konieczność spłacania pożyczki jest jak kamień u szyi, szczególnie, gdy interes padnie. Następne słowa Stuarta jeszcze bardziej mnie zmartwiły.

- Chciałbym z nią porozmawiać. Zamierzam dziś jeszcze wrócić do Londynu. Czy byłoby możliwe zobaczyć się z nią w wytwórni?

Pogodziłam się z myślą, że Stuart chce się wycofać, i że Jean odetchnie z ulgą. Zresztą, jeśli transakcja miałaby upaść, lepiej, żeby padła teraz, póki nie podpisaliśmy kontraktu.

Wytwórnia ceramiki "Litchell" była głównym zakładem wsi. Mieszkańcy pracowali w fabryce od pokoleń, stąd panowała tu iście rodzinna atmosfera, doskonale stosunki między pracownikami.

Do budynku wytwórni przylegał dom, do którego dochodziła wysypana żużlem ścieżka oddzielająca posiadłości. Ziemię kupił dziadek Jean i rozpoczął działalność od niewielkiej budy. W miarę jak potrzeby rosły, dostawiano nowe budynki, rozbudowywano stare.

Przejechaliśmy - każde w swoim wozie - pół mili, minęliśmy dom i wjechaliśmy przez bramę wytwórni. Parking był wypełniony, więc zostawiliśmy auta przed głównym budynkiem.

- Rozumiem, o co ci chodzi - powiedział Railie, gdy wysiedliśmy, a jego wzrok padł na kompleks budynków, z których parę potrzebowało szybkiego remontu. - Dostała w swe ręce duży i drogi interes.

Poprowadziłam do recepcji, gdzie młoda dziewczyna pisała na maszynie. Rozpoznała mnie od razu, zadzwoniła do Jean spytać, czy jest wolna i wprowadziła nas do ciasnego, nie sprzątanego od dawna biura.

Jean była zaskoczona.

- O, cześć, nie spodziewałam się was. Czy coś się stało? - rozejrzała się bezradnie. - Znajdźcie sobie coś do siedzenia.

- Trudno będzie - zsunęłam z krzesła jakieś papiery. - Mogłabyś mi w końcu pozwolić zorganizować twoje biuro, Jean.

- Nienawidzę organizacji. Podoba mi się tak jak jest. Usiądź, Stuart.

Przysiadł na brzeżku nadłamanego krzesła, z którego przed chwilą starłam grubą warstwę kurzu. Ja zaś usadowiłam się naprzeciw szafki wypełnionej segregatorami.

Jean patrzyła na nas podejrzliwie - nie można było tego nazwać inaczej - miała wręcz wypisane na twarzy, że nam nie ufa. Płakała przed chwilą - miała zaczerwienione oczy i wilgotne policzki.

Natychmiast ogarnęło mnie współczucie; szorstkie słowa, które sobie przygotowałam, uwięzły mi w gardle.

- Czy coś się stało, Jean? - spytałam.

Potrząsnęła głową przecząco i z wielkim wysiłkiem rozszerzyła usta w nieśmiałym uśmiechu.

- Nie. Chcesz o czymś porozmawiać, Stuart?

- Chcę być pewny, że na serio chcesz sprzedać dom.

- Zupełnie na serio - i dodała dobitnie. - Muszę; im wcześniej sprzedaż będzie załatwiona, tym lepiej.

- Czyżby sytuacja się zmieniła? - spytał Stuart.

Dawałam mu rozpaczliwe znaki, żeby się zamknął.

Jean potrząsnęła głową.

- Nie. Mówiłam ci już, Stuart, no i chyba widzisz to sam, że muszę w to miejsce zainwestować mnóstwo pieniędzy, jeśli ma nadal cokolwiek produkować. Nie pożyczę ich, nie chcę przyjąć współnika i nie chcę założyć spółki akcyjnej, więc nie mam żadnych wątpliwości; chcę sprzedać dom.

Chyba uspokoiła go, bo wstał.

- Świetnie, więc idźmy dalej. Ale jeśli w przyszłym tygodniu dostanę ostrzeżenia, zrezygnuję.

- Ostrzeżenia? - spytała Jean, gdy drzwi za Stuartem już się zamknęły. - O czym on mówi?

Opowiedziałam jej o wypadku Ellen Smith i o niejasnych aluzjach, które napotkał we wsi Stuart Railie.

- Jak oni śmia? - była zła. - Nie znoszę wtrącania się w moje sprawy.

- Spokojnie, Jean. Wiesz, przecież, że Litchellowie cieszą się w Merton Malling dużą estymą. Twój ojciec był dobrym szefem i do tego filantropem. Twoja matka miała złote serce, a ciotka Luiza była sympatyczną dziwaczką. Wieśniacy nie mogą znieść myśli, że zamiast nich, będzie się tu panoszyć jakiś telewizyjny bubek.

- Ależ to wszystko przeszłość. Czemu nie wymieniałaś Nickiego? On też jest Litchellem.

Usiadłam na twardym krześle, dopiero co zwolnionym przez Stuarta Railiego.

- On się nie liczy - rzekłam.

- Nie masz racji, Carla. Jak najbardziej się liczy.

- Ależ Jean, przecież on nigdy nie wróci - gdy wymawiałam te słowa, zdjął mnie nagły dreszcz niepokoju.

W oczach Jean znów pojawiły się łzy; zaczęły powoli spływać po policzkach. Niecierpliwym ruchem starła je chusteczką do nosa.

- Jean, kochanie. Co się z tobą dzieje? Proszę cię, powiedz mi. Czy chodzi o Nickiego? - moje serce nagle zatrzepotało.

Usiadła, oparła łokcie na biurku i schowała twarz w dłoniach.

- Wiesz, że między moim ojcem a Nickim doszło do kłótni. Wiesz, o co poszło?

- Nie, ale prawdopodobnie o pieniądze. - Ekstrawagancje Nickiego były już przysłowiowe.

Jean przerwała:

- Czemu tak mówisz?
 - Och, przestań, Jean. Wszyscy wiedzieli, że Nicki był strasznym rozrzutnikiem.
 - To prawda - rzekła z goryczą.
 - No właśnie. Więc dlaczego dopiero teraz tak się tym przejąłeś?
 - Bo dowiedziałam się właśnie od pana Marksa, mojego księgowego, że gdy Nicki pracował dla ojca, wziął z kasy dużą sumę pieniędzy. Dlatego się pokłócili. Nicki nie chciał albo nie mógł zwrócić tych pieniędzy, więc tatuś musiał zaciągnąć dużą pożyczkę, żeby uratować wytwórnię od finansowej ruiny. Teraz trzeba spłacić tę pożyczkę.
 - O mój Boże! Och, Jean, to okropne. Dlaczego wcześniej o tym nie wiedziałaś?
 - Bo pan Marks myślał, że ojciec mi powiedział.
 - I ty musisz to spłacić?
 - Oczywiście. Nie wiem, jak ta sprawa wyglądała prawnie, ale uważam, że to dług honorowy.
 - Jeśli Nicki kiedykolwiek się tu pokaże... - zaczęłam.
 - Proszę cię, Carla, nie. Wiesz, że nie mogę przestać go kochać. Myślałam, że to rozumiesz.
- Tak, starałam się zrozumieć. W żyłach Nickiego i Jean płynęła ta sama krew. Ale ja byłam inna.

ROZDZIAŁ IV

Stuart wrócił do Londynu najwyraźniej przekonany, że Jean nie ma zamiaru wycofać się ze sprzedaży domu. Podczas następnych dwóch czy trzech tygodni często dzwonił do Jean, pytając czy nie mógłby w niedzielę powłóczyć się po jej posiadłości. Jean zgadzała się, i zaczęłam już myśleć, że pogodziła się całkowicie ze sprzedażą domu.

Miałyśmy w zwyczaju jadać niedzielny lunch w Potters Arms, szczególnie, gdy obie miałyśmy pracowity tydzień, było więc nieuniknione, że prędzej czy później spotkamy tam Stuarta. Siedziałyśmy przy tym samym stoliku, co zwykle, gdy Jean pochyliła się do mnie i szepnęła:

- Jest Stuart i ona.
- Kto? - siedziałam plecami do drzwi, więc musiałam się odwrócić.

- Ta dziewczyna z jego programu. Co o niej myślisz?

- Nigdy bym nie pomyślała...

Jean przerwała:

- Nigdy byś nie pomyślała, że ona jest w jego typie. Ja też nie sądziłam, że może lubić takie dziewczyny.

Nie wiem dlaczego, ale poczułam się znieważona. Musiałam jednak przyznać, że jest efektowna. Miała jasne włosy i twarz pokrytą delikatnym puszkciem. Wzrostem dorównywała Stuartowi, była szczupła i wysportowana.

Stuart zauważył nas i zaczął zbliżać się w naszym kierunku, dziewczyna podążała za nim.

- Cześć! Jak to miło znów was zobaczyć. Wszystko w porządku? - spojrzał na mnie badawczo, marszcząc brwi.

- Czynimy zadowolające postępy - odrzekłam.

- Świetnie. Miałem nadzieję, że cię zobaczę, Jean. Chciałem cię spytać o ten kawałek przy rzece. Czy macie coś przeciwko temu, żebyśmy się do was przyłączyli?

- Ależ skąd - powiedziała Jean.

Odsunął dziewczynie krzesło.

- Tansy, to jest Jean Litchell i Carla Shaw. Carla jest agentem majątkowym, a Jean sprzedaje dom, który chce kupić.

- Och, naprawdę! - powiedziała dziewczyna rozciągając słowa - myślę Stu, że będziemy przeszkadzać. Pamiętaj, w niedzielę ani słowa o interesach.

Było jasne, że dziewczyna nie chce się z nami dzielić Stuartem. Moim zdaniem nie musiała się obawiać konkurencji, a mimo to jej błada, nieskazitelną cerę pokrył lekki rumieniec.

- Będzie nam miło, jeśli zechcecie nam towarzyszyć - powiedziała Jean z leciutko złośliwym uśmiechem. - Proszę siadać panno...?

- Parker. Tansy Parker - miała dziwny akcent, nie mogłam go w żaden sposób umiejscowić. Wciąż się wahała - spojrzała na Railiego.

- Siadaj, Tansy - rzekł z lekka zirytowany. - Jean i Carla mieszkają na wsi. Mam nadzieję, że wszyscy zostaniemy przyjaciółmi.

Z wyrazu jasnobrażowych, złoto nakrapianych oczu Tansy wyczytałam, że nici z tej nadziei. Usiadła; dobiegła nas woń orientalnych perfum. Miała na sobie falbaniastą bluzkę i bardzo obcisłą różową spódnicę. Pomyślałam, że chyba to nie jest jej strój do pracy w ogrodzie.

Stuart usiadł.

- Tansy czasem pomaga mi w moich programach.

- Wiem - Jean uśmiechnęła się. - Bardzo zachęcający dodatek, nie da się ukryć.

Tansy roześmiała się, uradowana.

- Stuart ma odmienne zdanie. Musiał się zgodzić na mój udział w programie, inaczej "Ogród Railie'ego" poszedłby pod topór - przerwała i posłała Stuartowi powłóczyście spojrzenie. - Nieprawdaz?

- Oczywiście, że nie. To był tylko eksperyment.

- I to udany. Tak naprawdę, to producent mówi, że program jest już mój - zaśmiała się. - Stu, kochanie, zamów drinka. Nie pozwoliliby mi siedzieć przy barze - znów zachichotała. - Strasznie dużo tu facetów.

Stuart zmarszczył brwi i kiwnął na kelnerkę.

- Czego się napijecie? - spytał.

- Dziękujemy ci bardzo, zamówimy sobie - odrzekła Jean.

Tansy nie chciała wina, zamówiła Bloody Mary i znów zwróciła na nas uwagę.

- Przypuszczam, że to z waszego powodu Stu nie był zachwycony, że chcę tu przyjechać razem z nim - powiedziała. - Ale oświadczyłam mu, że najwyższy czas, żebym zobaczyła to miejsce, przy którego kupnie tak się upiera. Nigdy nie zrozumieć, czemu chce się zagrzebać na wsi. Najciekawsze rzeczy dzieją się w wielkim mieście.

- Wiesz doskonale, że muszę mieć duży ogród i kilka szklarni. Życie w Londynie tobie odpowiada, ale mnie nie.

Ta rozbieżność celów przyniosła mi lekką ulgę. Odezwałam się:

- Nie widziałam pani w telewizji, ale Jean mówiła mi, że zna się pani świetnie na ogrodnictwie.

- Jakżeby mogło być inaczej? Wbijano mi to do głowy, odkąd stanęłam na nogach. Mój tata miał świra na tym punkcie. Był głównym ogrodnikiem w Smollets, w hrabstwie Essex, póki nie odszedł na emeryturę. Mieszkaliśmy w majątku i jedynym tematem rozmów w

naszym domu było ogrodnictwo. Mama nie mogła tego znieść. Uciekła ze stajennym. Ona kocha konie.

Stuart nie wytrzymał.

- Doprawdy, Tansy - nikogo to nie interesuje.

- Ależ nieprawda! - w oczach Jean pojawiły się błyski. -
Przypuszczam, że nowy nabytek Stuarta nie przypadł pani do gustu?

- Ależ nie - Tansy pociągnęła drinka. - Podoba mi się wszystko co
robi Stu - obdarzyła go uśmiechem tak pełnym uczucia, że mógł
zastąpić wszystkie wyznania miłosne.

Nie odpowiedział. Uśmiech jej zbladł, oczy pociemniały, złote
plamki zmatowiały.

- Stu jest w złym nastroju - oznajmiła.

Stuart zignorował ją i zwrócił się do Jean:

- Czemu fragment gruntu przy rzece leży odłogiem?

Mogłabym mu powiedzieć, ale Jean puściła pytanie mimo uszu.

Tansy powiedziała do mnie:

- Pewnie grunt jest podmokły.

- Właśnie tak. Trzeba by go osuszyć, a to dużo kosztuje.

- Stu mówił, że jest pani agentem majątkowym?

Skinęłam głową.

- Więc sprzedaje pani cudze domy. Ja nigdy nie miałam własnego.
Nie chcę dużo posiadać. Posiadanie przedmiotów bardzo wciąga.

- Nie wszyscy tak sądzą.

- Wie pani co się dzieje z ludźmi ogarniętymi manią posiadania?
Strasznie się nudzą. Ciagle chcieliby mieć coś nowego, a to to, a to
tamto.

- Ale trudno obyć się bez niektórych rzeczy. Jak pani to sobie
wyobraża?

- Oczywiście nie mam na myśli ubrań i tego typu przedmiotów.
Chodzi mi o posiadanie ludzi - innych ludzi - i domów, samochodów,
dzieci.

- Rozumiem - powiedziałam ostrożnie. - Ale przypuszczam, że chce
pani wyjść za mąż?

Wzruszyła ramionami.

- Zobaczę. To będzie zależało od faceta, nieprawdaż?

Nie sądziłam, aby Stuart Railie był typem faceta, który się zgadza
z jej ideami. Wydawał mi się być człowiekiem przywiązanym do

posiadania dużą wagę. A w tej chwili był napięty do granic możliwości. Tansy z kolei na odwrót - rozluźniła się zupełnie. Jej długie monologi były męczące. Czekałam z niecierpliwością, kiedy wreszcie uda nam się pozbyć towarzystwa Tansy Parker.

Lunch się skończył. Jean zwróciła się do Tansy:

- Może chciałaby pani zobaczyć wnętrze domu? Mam jeszcze moje klucze. Moglibyśmy tam pójść.

- Nie możemy cię kłopotać w niedzielę - odparł Stuart.

- Ależ to żaden problem - powiedziała Jean.

- To świetny pomysł, Stu. Obiecałeś mi, że go obejrzymy. Jest pewnie piękny, prawda? - zwróciła się do nas.

- Tak - Jean wstała. - Chodźmy. Będzie pani zaskoczona, jak pięknie wygląda w słońcu.

Myszę, że wszyscy słyszeliśmy tęsknotę w jej głosie. Naprawdę chciała przemierzyć korytarze pustego domu. Pokazać go, jakby zamierzała na zawsze pozostać jego dumna posiadaczką.

Pojechaliśmy jaguarem Stuarta; zatrzymaliśmy się przed frontowymi drzwiami. Dom wyglądał inaczej niż kiedyś: nie był pełen życia i ruchu, lecz opuszczony i smutny.

Jean weszła po schodach na ganek i otworzyła drzwi frontowe.

- Wejdz, Tansy. Pokażę ci wnętrze.

Dziewczyna rzuciła Stuartowi rozpaczliwe spojrzenie i podażyła za Jean.

- Może obejrzymy winorośl, co Stuart? Rodzi wspaniałe owoce.

W wilgotnym powietrzu szklarni poczułam się bezpieczna. Dyskutowaliśmy na temat uprawy winorośli, a później weszliśmy na ścieżkę biegnącą skrajem tego kawałka ziemi, którego pan Litchell nigdy nie uprawiał.

- Jeśli myślisz poważnie o wodnym ogrodzie - odezwałam się - to jest właściwe miejsce.

Po kilku deszczowych dniach grunt całkiem rozmókł, zapadaliśmy się niemal po kostki.

- Kiedyś był tu odpływ wody. Mam nadzieję, że go naprawisz.

Zeszliśmy w dół, nad rzekę i usiedliśmy na drewnianej ławce.

- Carla - wyciągnął przed siebie długie nogi. - Czy to możliwe, no wiesz - czy mógłbym teraz zrezygnować? Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale ten dom jakoś mi nie leży.

Patrzyłam na niego przerażona.

- Nie rozumiem. Przecież to dom jak każdy inny - przez chwilę milczałam. - Stuart, domy są jak psy: akceptują każdego właściciela, pod warunkiem, że będzie je kochał.

- On nigdy nie będzie mój, dobrze o tym wiesz. Duch Litchellów jest zbyt silny. Ziarno ich osobowości zapadło tak głęboko, że dom wciąż jest ich pełen, czuję to.

- To nonsens - przerwałam ostro.

Potrząsnął głową.

- Kilka tygodni temu Jean byłaby zadowolona, gdybym się wycofał. Dlaczego zmieniła zdanie?

- Mówiła ci przecież. Chce rozbudować wytwórnię. Słuchaj, Stuart, proszę cię, nie rób tego. Jeśli będzie ci źle w tym domu, obiecuję ci, że sprzedam go korzystnie - na pewno nie stracisz.

Rzucił na mnie dziwne spojrzenie.

- Jesteś bardzo lojalna. Lubię lojalność, ale nie taką. Bo ty nie jesteś lojalna wobec Jean, ale wobec jakiejś sprawy, jakiegoś sekretu, który wspólnie trzymacie.

- Doprawdy, Stuart, powinieneś pisywać powieści, a nie poradniki ogrodnicze - wstałam. - Spójrz, to tędy biegną stare dreny odpływowe i tu wpadają do rzeki.

Podszedł ze mną do brzegu. Rzeka niefrasobliwie toczyła swe wody, mocząc kije, gałęzie, gnijące rośliny - a wszystko płynęło ku nieznanemu przeznaczeniu.

Sięgnął po moją rękę.

- Czy możemy zostać przyjaciółmi, Carla? - mówił z jakimś przynagleniem, a jego palce zacisnęły się mocno na moich. Staliśmy bez ruchu, patrząc na siebie nawzajem.

- Tak - powiedziałam.

Nie puścił mojej ręki. Pokiwał głową, jakbyśmy zawarli pakt.

Po chwili ciszę przerwał odgłos spieszących kroków Tansy i jej nawoływanie.

- Stu, gdzie jesteś? - wyłoniła się spomiędzy krzewów i stanęła jak wryta. - Mam po uszy tych twoich sztuczek, Stu - jednak nie na Stuarta, a na mnie patrzyła z niezmierną niechęcią.

Stuart wypuścił moją dłoń.

- Niestety, moja droga, nie jestem na tyle pomysłowy, żeby cię na cokolwiek nabrać. Gdzie Jean?

- Boli ją głowa, poszła do siebie. Dom jest zamknięty.

Podeszła do Stuarta i chwyciła go za ramię.

- Jesteś szalony, jeśli chcesz kupić taką zabita deskami posiadłość. I na pewno oszalejesz do reszty. Nie ma klubów, nie ma dansingów - nic nie ma! Czy już jest za późno? - spojrzała na mnie. - Czy Stu może jeszcze zmienić decyzję?

- Moja droga Tansy, nie mam najmniejszego zamiaru zmieniać decyzji. Jeśli ci to nie pasuje...? - niedokończone pytanie zawisło w powietrzu.

Na jasnej twarzy Tansy pojawił się lekki rumieniec.

- Co pasuje tobie, pasuje i mnie - wyzywająco uniosła podbródek. - Czy nie powinniśmy wracać już do Londynu?

Przyznał jej rację i zaproponował mi podwiezienie.

- Nie, dziękuję. Chętnie przejdę się piechotą - skierowałam się ku drewnianemu mostkowi łączącemu łukiem brzegi rzeki.

- Na skróty do wsi jest bardzo blisko.

Patrzyłam na nich, jak odchodzili. Z niespokojną twarzą wpatrywała się w Stuarta. Moja dłoń wciąż była ciepła od jego uścisku.

- Co Tansy powiedziała o domu? - spytałam Jean.

- Że jest okropny.

Weszłyśmy na patio.

- Jak twoja głowa, boli cię jeszcze?

Roześmiała się:

- Nie mogłam wytrzymać z tą dziewczyną ani chwili dłużej. Wróciłam do domu, zrobiłam herbatę i przyniosłam tutaj na tacy.

Słońce dobywało zapach ze staroświeckich róż rosnących na pobliskim klombie.

- Dlaczego jej się nie podobał?

- Ciemny, duży, brzydki. Chciałaby baru i żeby zedrzcę dębową boazerię. Carla, co mam robić? - w jej głosie brzmiała desperacja. - Nie mogę znieść myśli, że ona...

- Nie myśl o niej - starałam się ją uspokoić. - Moim zdaniem, Stuart zostawi ją w Londynie jak niepotrzebny sprzęt.

- Ale ona go nie zostawi. Nie widziałaś, jak na niego patrzy?
- A czy ty nie widziałaś, jak on patrzy na nią? - odparowałam. -

Nie mów hop, póki nie przeskoczysz, Jeanie.

Mówiłam tak, ale sama też się martwiłam. Postanowiłam podzielić się swoim niepokojem z Ronaldem Bridgerem. Zrobiłam to następnego ranka.

- Stuart Railie był tu wczoraj - odezwałam się.
- Słyszałam - usiadł po drugiej stronie biurka. - Jakieś problemy, Carla?

- Nie wiem. Przywiózł swoją dziewczynę, a Jean uparła się, żeby jej pokazać dom.

- Czarująca blondyna spowodowała niezłe zamieszanie w Potters Arms. Czyżby próbowała na niego wpłynąć?

- Tak, dom jej się nie podoba, wcale a wcale. A i on ma pewne wątpliwości - przerwałam na chwilę. - Ronald, wiem, że to głupie, ale czy odwiedzałeś ostatnio "Wysokie Drzewa"?

Skinał głową.

- Czy nie miałeś wrażenia, że Litchellowie stamtąd nie odeszli?

- To naturalne - powiedział po długim milczeniu. - Ich ślady są wszędzie, są tam, odkąd stoi ich dom i pozostaną.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Tak.

- No więc - czy Jean powinna go sprzedać? Czy nie byłoby lepiej, gdyby spróbowała zdobyć pieniądze w inny sposób?

- Carla, znałem Litchellowów prawie całe moje życie. Ojciec Jean był moim najlepszym przyjacielem. Kiedy jego brat wyjechał za granicę, zostawiając Nickiego z Branem, obaj mieli nadzieję, że chłopiec poprowadzi interes. Bran nie powiedział mi, o co pokłócił się z Nickiem, ale myślę, że Jean wie i boi się.

- Czego?

- Przeszłości, przyszłości. Ona wie, że jedynym wyjściem jest wyrwać się z tej klatki.

- Ale ona nie chce... - zaczęłam.

- Carla, moje drogie dziecko, posłuchaj mojej rady i nie wtrącaj się w sprawę Litchellowów. Oni muszą to załatwić sami.

- Oni?

- Chyba nie sądzisz, że Nicki zamierza zniknąć na zawsze?

- Może już nie żyje?

- Daj spokój, Carla! Jesteś inteligentną dziewczyną. Nicki Litchell nie żyje?

W parę dni później Ronald Bridger wpadł do mojego biura.

- W przyszłym tygodniu jest wyprzedaż w Random Place - powiedział. - Jestem licytатorem, a Willis pracuje dla mnie. Jeśli dobrze pamiętam, pani Random kupiła parę antyków z "Wysokich Drzew", więc zastanawiam się czy nie zechciałabyś zainteresować nimi Railie'ego. Znasz większość tych rzeczy. Myślę, że Jean byłoby miło, gdyby niektóre meble wróciły do domu.

Wspomniałam o tej sprzedaży Jean. Zesztywniała, ale po paru minutach namysłu rzekła:

- Czemu nie?

- Przyjedziesz?

- Nie, nie, nie - zadrżała. - To było okropne, gdy musiałam sprzedać meble, które się tutaj nie nadawały. Nie chcę przeżyć tego raz jeszcze. Ty idź Carla. Przynies mi katalog. Jest parę rzeczy, które chciałabym odkupić i wstawić na przechowanie do magazynu.

Nie wiem o co jej chodziło. Nasz dom był kompletnie umeblowany. Pomyślałam, że pewnie przyjdzie czas, gdy nie będziemy chciały dłużej mieszkać pod jednym dachem. Tego wieczoru zadzwoniłam do Stuarta, do jego londyńskiego mieszkania. Zgodził się towarzyszyć mi w Random Place.

Gdy tylko dostałam katalog, przyniosłam go do domu, dla Jean. Zaznaczyła mnóstwo egzemplarzy mebli, które chciałyby odkupić; ustaliśmy ceny, na które może przystać.

Przejrzałam wyposażenie domu wcześniej, w tygodniu. Gdy Stuart zadzwonił do mnie, wspomniał, że on również zrobił to samo i pozaznaczał pewne przedmioty. Porównaliśmy notatki, nie chcąc licytować na swoją niekorzyść.

W czasie podróży do Random Place, które leży dwadzieścia mil na północ od Mertonbury, opowiedziałam Stuartowi trochę o historii rodziny Randomów. Pan Random, znany archeolog, zginął tragicznie. Rodzina była zmuszona sprzedać posiadłość, ponieważ nie była w stanie jej utrzymać.

Po przyjeździe Stuart zaparkował wóz i poszliśmy do wielkiego, rozpiętego na trawie namiotu, w którym miała się odbyć licytacja. Namiot był już pełen i mieliśmy problem ze znalezieniem dobrych miejsc.

Ronald Bridger był urodzonym licytатorem. Miał czysty, donośny głos, a jego drobne żarty wprowadzały obecnych w pogodny nastrój. Zauważyłam mnóstwo kupujących, sądziłam jednak, że większość z nich będzie zainteresowana obrazami.

Wkrótce przyszła kolej na rzeczy Jean. Licytowałam je, zwracając uwagę, żeby nie przekroczyć cen podanych przez nią. Stuart również był bardzo zadowolony. Kupił kilka przedmiotów, za każdym razem spoglądając na mnie w poszukiwaniu aprobaty.

Wszystko szło dobrze, dopóki nie zaczęła się sprzedaż obrazów. Zostawiono je na koniec jako rzeczy najbardziej wartościowe. Tłum w namiocie zafalował; atmosfera stała się gorąca, a podniecenie nie opadło nawet po tym, jak przebrzmiały ostatnie uderzenia młotka.

Pan Random był kolekcjonerem sztuki; oczekiwano, że dużo obrazów osiągnie wysoką cenę. Ekscytacja kupujących rosła, i kiedy portier podniósł do góry pierwsze dzieło, rozległo się tłumione westchnienie.

Jeden z obrazów pochodził z "Wysokich Drzew". Nosił tytuł "Letnia słodycz" i przedstawiał pole kukurydzy upstrzone makami i kwitnącą wyką. W centrum widać było młodą dziewczynę odzianą w muślinową suknię i trzymającą w ręku słomkowy kapelusz. Ten obraz zawsze kojarzył mi się z rozgrzanym, upalnym letnim dniem; bardzo go lubiłam. Wisiał w "Wysokich Drzewach" w jadalni; był barwnym punktem wśród dębowej boazerii.

- Podoba mi się - szepnął Stuart. Czy Jean chce go kupić?

Potrząsnęłam głową.

Licytacja zaczęła się powoli, cena rosła funt po funcie. Za każdym razem, gdy padała nowa kwota, Stuart podnosił rękę z katalogiem. Gdy wszyscy licytatorzy zrezygnowali, na sali rozległ się nowy glos.

Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że go znam. Odwróciłam się, żeby spojrzeć w stronę wyjścia, ale ludzie byli tak stłoczeni, że zobaczyłam tylko wyciągnięte ramię z katalogiem oznaczające podwyższenie ceny.

- Cholera - mruknął Stuart. - Będę miał ten obraz.

Głos wypowiadał pojedyncze słowa:

- Czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt...

Oczywiście był nie do rozpoznania, dlaczego więc nagle serce zaczęło mi bić jak oszalałe, aż nie mogłam chwycić tchu?

Fala wspomnień, bolesnych wspomnień. Głos Nickiego Lichtella, cichy, przekonujący, wypowiadający słowa, których nie mogłam zapomnieć. "Będiesz zawsze moją letnią słodyczą, Carla. Dziewczyna na obrazie to ty. Nigdy cię nie opuszczę..."

Nieoczekiwanie, równie nagle, jak się pojawił, głos znikł i właścicielem obrazu został Stuart. Spojrzałam na niego. Promieniał z satysfakcji, ale gdy jego wzrok spotkał się z moim, ujrzałam nagle zaniepokojenie.

- Dobrze się czujesz, Carla? Jesteś bardzo blada.

- To z gorąca - wymamrotałam. - Muszę wyjść, ale ty zostań.

Przepychałam się do wyjścia. Ronald zaczął już licytację następnego obrazu. Ale mnie to nie zajmowało; uważnie obserwowałam twarze ludzi niechętnie ustępujących mi przejścia. Twarze obce - jak mogło być inaczej? Nicki Litchell nie mógł tu być. To niemożliwe. W końcu udało mi się wydostać z namiotu. Oddychając głęboko opadłam na wygodne krzesło. Nogi mi drżały, chciałam dziko krzyknąć, w mojej głowie rosły przerażające myśli.

W końcu chwiejącym krokiem udałam się do namiotu barowego, który na szczęście był pusty, kupiłam filiżankę herbaty i wyszłam z nią na zewnątrz. Świat wokół mnie robił wrażenie, jakby był pokryty lekką mgiełką, tylko głos brzmiał wciąż w moich uszach, jasno i czysto jak dzwon. Zdawało mi się, wiedziałam o tym. Obraz miał w moim sercu całkiem wyjątkowe miejsce, miejsce związane z Nickim, i dlatego wywołałam z otchłani pamięci jego głos, wkładając go w usta jakiegoś obcego człowieka.

Siedziałam chwilę, czekając, aż gorąca, słodka herbata uspokoi mi nerwy, po czym wybrałam się na poszukiwanie Stuarta.

Zobaczyłam, że stoi przy namiocie. Podeszłam do niego od tyłu i dotknęłam go w ramię. Odwrócił się i chwycił moją dłoń.

- Okropnie mnie przestraszyłaś, Carla. Myślałem, że zobaczyłaś ducha.

O tak, w gruncie rzeczy tak właśnie było; zobaczyłam ducha przeszłości, sponiewieranej miłości, która nigdy nie powinna była zaistnieć.

- Było tak gorąco, że zrobiło mi się słabo, ale teraz już czuję się świetnie.

Wydawał się nie być przekonany, ale nie upierał się. Poczułam, że widzi więcej, niż mi się wydaje, jego słowa potwierdziły to:

- Wszyscy mamy takie duchy przeszłości, które nie dają nam spokoju. Wydaje mi się, że to fakt, że znowu sprzedaje się rzeczy Litchellów, tak cię zasmucił. Na przykład ten obraz.

- Dlaczego tak chciałeś go kupić?

Szliśmy w kierunku wozu.

- Później ci powiem. Może byśmy zjedli obiad? - spojrzał na zegarek. - Mój przyjaciel ma tu niedaleko bardzo miłą restaurację, "Błękitną Różę" - znasz ją?

- Yhm... bardzo droga. To po drugiej stronie Cheltenham, prawda?

- No właśnie. Jeśli tam nie byłaś, to czas najwyższy, myślę, że będzie ci odpowiadać.

Odnaleźliśmy samochód i z ulgą zapadłam się w siedzenie obok kierowcy. To, że przyjął jego zaproszenie, potraktował jako rzecz całkiem naturalną.

Nigdy przedtem nie jadłam w "Błękitnej Róży". Ronald był oczarowany tą restauracją i zawsze przyrzekał, że nas tam zabierze, ale kończyło się na obietnicach.

O tej porze na parkingu stało tylko parę wozów. Weszliśmy do hallu wyłożonego grubym niebieskim dywanem. Poszłam do toalety, żeby się odświeżyć i dołączyłam do Stuarta w cocktail-barze.

Gawędził z barmanem, który wyglądał na cudzoziemca i rzeczywiście: Stuart przedstawił mi go jako Pierre'a. Spojrzał na mnie dziwnie, wywnioskowałam więc, że pewnie zazwyczaj Stuartowi towarzyszyła Tansy.

Stuart zamówił drinki. Po chwili przyniesiono je nam do stolika. Wnętrze tworzyło atmosferę intymności: stoliki ukryte były w alkowach, z głośników płynęła cicha muzyka, wszędzie stały wazony pełne róż.

- Podoba ci się? - spytał Stuart.

Skinęłam głową. Nie chciałam powiedzieć, że moim zdaniem wewnątrz jest strasznie nienaturalne, jak inscenizacja do kiepskiego przedstawienia operowego. Jednak wspaniałość jedzenia i wina nie miała w sobie żadnej sztuczności.

Rozluźniłam się, odpowiadało mi towarzystwo Stuarta i ciągle oznaki jego troski. Przez chwilę mówił o swoich nowych nabytkach z aukcji.

- Znasz chyba historię tego obrazu? - spytał.

Byłam zaskoczona.

- On ma jakąś historię? Nic o tym nie wiedziałam.

- Ale na pewno wiesz, kto go namalował?

Potrząsnęłam głową.

- Jest podpisany tylko inicjałami. Nie mam pojęcia.

- Hm, to dzieło Adama Litchella, dziadka Jean.

- Wiedziałam, że był artystą, jak wszyscy zresztą Litchellowie.

- A wiesz, kto był modelką dla dziewczyny z obrazu?

Potrząsnęłam głową.

- Będziesz wstrząśnięta - Stuarta bawiło powolne odkrywanie tajemnicy. - Do obrazu pozowała twoja matka.

- Nie wyglupiaj się, Stuart.

- To prawda. Przyjrzałem się nieco historii Litchellów. Twoja matka jako panna nazywała się Caroline Mercer. Tak?

- Tak.

- A twoja rodzina mieszkała w West Malling. Adam Litchell uczył tam malarstwa; twoja matka była jego uczennicą.

- Nie wierzę. Mama nigdy w życiu nie namalowała żadnego obrazu.

- Może i nie, ale za to Adam bardzo lubił ją malować.

- Skąd wiesz?

Uśmiechnął się szeroko.

- Czytałem zdeponowane w bibliotece dzienniki Adama Litchella. Znalazłem tam opis czarującej Caroline Mercer, wiedziałem więc już, kto to jest. Kiedy ujrzałem obraz, uświadomiłem sobie podobieństwo tej dziewczyny do ciebie.

- Nie rozumiem jednak...

- Dlaczego tak bardzo chciałem go kupić? - Nie mogłem znieść myśli, że kupi go ktoś obcy.

Kto był tym obcym, który licytował obraz przeciwko Stuartowi? Może ktoś z przeszłości matki? Jakiś mężczyzna, który ją kochał nim poślubiła ojca. Czy to dlatego ów głos wydawał mi się tak natarczywy, a nawet znajomy?

- Jesteś zadowolona?

- Oczywiście, Stuart. Wisiał zwykle w jadalni "Wysokich Drzew".

- Jean będzie miło widzieć, jak meble wracają do domu.

"Tak - pomyślałam. - Będzie jej miło, dopóki Tansy nie pozmienia wszystkiego".

- Mam nadzieję, że ty i Jean będzie go uważały za swój drugi dom - powiedział poważnie. - Nie będę się czuł jak obcy, jeśli wy dwie mnie zaakceptujecie.

- Obcy! - odpowiedziałam ironicznie. - Nie minie tydzień jak staniesz się częścią krajobrazu.

Potrząsnął głową.

- Wątpię - przerwał, pochylił się nad stołem i ujął moją rękę. - Jeśli chodzi o obraz, Carla, czy nie obrazisz się, jeśli ci go podaruję? Naprawdę wydaje mi się, że powinien należeć do ciebie.

Ogarnęła mnie panika. Jak mogłabym znosić ciągłą pamiątkę przysięg miłosnych Nickiego? To był nasz obraz i nic nie mogło tego zmienić.

- Twoja matka byłaby zadowolona - rzekł Stuart cicho.

- To bardzo miłe z twojej strony, Stuart, ale myślałam, że chcesz go dla siebie.

- Chciałem dać go tobie - odrzekł.

ROZDZIAŁ V

Obraz przywieziono następnego dnia. Powiesiłam go na ścianie w moim pokoju.

- Moja matka - wyjaśniłam Jean. - Stuart odkrył, że pozowała do tego obrazu. Wiedziałaś o tym?

Potrząsnęła głową.

- Gdybym wiedziała, dałabym ci go. Kupiłaś ten obraz?

- Nie, Stuart kupił. Pomyślał, że powinnam mieć portret mojej matki.

Rzuciła mi dziwne, pogardliwe spojrzenie.

- I ty się zgodziłaś?

- Uparł się. Lepiej wyglądałby na swoim starym miejscu, w "Wysokich Drzewach".

- Dlaczego nie powiedziałaś mu prawdy? Przecież nie chcesz tego obrazu, bo przypomina ci o Nickim. Nazywał cię swoją "Letnią słodyczą".

- Skąd wiesz?

- Mówił mi. Zawsze mówił mi wszystko.

Wątpiłam w to ostatnie, ale uznałam, że nie ma sensu dyskutować. Nicki i ja mieliśmy swoje sekrety, o których Jean nie wiedziała, byłam pewna.

- To - wskazałam na obraz - jest portret mojej matki. Uważam, że to bardzo miło ze strony Stuarta, że mi go podarował. A Nicki i jego "Letnia słodycz" niech idą do diabła.

- Boisz się, że wróci! - krzyknęła, wychodząc z pokoju i trzaskając drzwiami.

Bałam się, ale nie o siebie. Bałam się o Jean, o jej obsesję na punkcie kuzyna i urazę, która się w niej odzywała, ile razy wypowiedziałam jego imię. Dobrze wiedziałam, że była zadowolona, gdy Randomowie kupili obraz, i że nigdy nie miała najmniejszego zamiaru mi go dać. Nie mogła zapomnieć, że był częścią mojej i Nicka miłości. Widzieć go na ścianie mojego pokoju znaczyło dla niej - dla niej również - mieć wciąż przed oczyma pamiątkę jego niewierności.

Zadzwoeniłam do Stuarta, żeby podziękować mu za obraz. Spytał mnie, czy nie zechciałabym mu towarzyszyć na wystawie kwiatów.

- Moglibyśmy potem zjeść obiad w "Błękitnej Róży" - powiedział.

- To bardzo kusząca propozycja, kto wie, może nawet przekupstwo...

Lubię wystawy kwiatów, ta miała być szczególnie okazała. Najważniejsza wystawa w środkowej Anglii, w obu klasach: profesjonalnej i amatorskiej. Doskonale wiem, ile trzeba mozołu, aby wyhodować piękne kwiaty, owoce i warzywa; dlatego podziwem napawało mnie poświęcenie amatorskich ogrodników. Stuart zgadzał się ze mną.

Dziwne, ale gdy przyjechaliśmy na tereny wystawowe, zdawał się być nerwowy.

- Znów na scenie - zażartował. - Wszystko w porządku, boję się tylko, żebym nie sfuszerował roli.

- Jak mógłbyś? Przecież nikt nie wie, co chcesz powiedzieć, a poza tym jesteś osobowością telewizyjną. Nie będzie ci wisiał nad głową żaden narwany autor, trzęsąc się, żebyś mu nie zepsuł tekstu.

Weszłam w tłum otaczający drewnianą platformę, na której miała się odbyć ceremonia otwarcia. Stuart stał między burmistrzem pobliskiego miasta, a prezydentem lokalnego Towarzystwa Ogrodniczego. Burmistrz miał ponad sześć stop, na jego cienkiej szyi smętnie wisiały insygnia urzędu. Był przeraźliwie chudy i co chwile przyglądał dłonią tłuste, przeredzone włosy. Prezydent Towarzystwa był dla odmiany okrągłym, niskim jegomościem o czerwonych policzkach i błyszczących, małych oczkach.

Mowa Stuarta była krótka i ścisła; przyjęto ją burzliwymi oklaskami. Nie można było mieć najmniejszej wątpliwości co do jego popularności, a gdy uklonił się z czarującym uśmiechem, oklaski rozbrzmiały na nowo.

- Jak wyszło? - spytał, gdy wrócił.

- Wspaniale!

- Jesteś stronnicza.

- Naprawdę nie. To było profesjonalne, a przy tym bardzo ciepłe, wystąpienie.

- Oto, czym się staję, Carla - rzekł poważnie. - Zawodowy mówca, wykładowca, autor książek. A tymczasem jedyną rzeczą, której pragnę, jest móc zagrzebać się w ogrodzie, patrzeć na rosnące rośliny i pielęgnować je.

- Okazję masz pod ręką. Ogrody "Wysokich Drzew" czekają na twoją opiekę. Może pójdziemy obejrzeć dekoracje na stołach? Jean zawsze sama je robi, gdy zdarza się nam mieć gości. Ja niestety nie mam pojęcia o układaniu kwiatów.

Spędziliśmy na wystawie cudowne popołudnie. Każdy namiot wypełniały oazy zapachów i kolorów. Stuart bardzo chciał obejrzeć ostróżki; miał w planach uprawiać je na skrajach "Wysokich Drzew". Potem udaliśmy się do namiotu, w którym wystawiano róże.

- Nie dziwię się poetom, że to ich ulubiony kwiat - powiedział Stuart, gdy oglądaliśmy ekspozycję. - Są po prostu doskonałe.

W namiocie udzielano wielu fachowych porad; wkrótce mieliśmy pokazną kupkę prospektów i oboje zamówiliśmy po kilka różanych krzewów.

- Chodź, wypijemy filiżankę herbaty - zaproponował Stuart - zanim będę musiał podpisywać książkę na stoisku.

- Cena sławy - drażniłam go.

Potrząsnął głową.

- Przyszła zbyt łatwo.

Stuart poszedł podpisywać książkę, ja zaś podziwiałam cudowną symetrię ekspozycji warzyw. W jaki sposób hodowcy osiągnęli cebule równe wielkością i kształtem o skórkach jednakowej barwy słomy palonej i ziemniaki wyglądające jak groszki w strączku? Zdecydowałam, że muszę poświęcić mojemu warzywnikowi dużo więcej uwagi i stwierdziłam, że czas wracać do Stuarta.

Stos jego książek zniknął; właściciel księgarni, który zorganizował sprzedaż, był bardzo zadowolony.

Uciekliśmy stamtąd niemal z ulgą - byliśmy już zmęczeni i z radością powitaliśmy Pierre'a w "Błękitnej Róży". Obiad był wspaniały, po ostatnim daniu przeniesiliśmy się z kawą na wygodną kanapę.

Zauważyłam, że Stuart stawał się coraz bardziej niespokojny. Spytałam go, czy się czymś martwi.

- Tak. Martwię się. Dostałem to.

Wyciągnął kartkę papieru. W nierównych liniach ustawione były wycięte z gazety litery. Powoli odczytałam zdanie: "Jeśli ośmielisz się wtargnąć do "Wysokich Drzew", skończysz kiepsko".

- O mój Boże - jęknęłam. - Stuart to nedorzeczne. Jean też dostała anonim.

- Jean?! Nie rozumiem - powiedział zaskoczony.

- Proste. Odwrotny niż twój. Tylko bardziej groźny.

- Co w nim jest?

Powtórzyłam zdanie, które doprowadziło Jean do ataku hysterii: "Zabierz "Wysokie Drzewa" z powrotem, bo inaczej..."

- Kto mógł przysłać tak głupie pogróżki?

- Nie mam pojęcia.

Sięgnął po moją dłoń i mocno ją ścisnął.

- I tak dobrze, że tobie nie grożą.

- No cóż, zdaje się, że mnie uważają za trzeci bok trójkąta. Mój był bardziej zwięzły. Tylko trzy słowa: "Smutek i ból".

- Nie mogę w to uwierzyć. Czy nie powinniśmy iść na policję?

- Myślę, że tak. Czy twój był wysłany pocztą? Nasze przyszły w otwartych kopertach, wsunięto je do skrzynki na listy.

- Mój wysłano w Londynie. Idźmy stąd - rzekł nagle.

Szczęście tego dnia straciło blask. Nienawiść rzuciła długi cień na naszą prostą radość przebywania razem. Moje serce napełnił dziecięcy lęk i dręczące poczucie winy.

Przez parę mil Stuart prowadził w milczeniu; potem nagle zjechał na pobocze i zgasił silnik. Objął mnie ramieniem, co dodało mi otuchy.

- Boję się o ciebie i Jean. Może lepiej odwołamy sprzedaż?

- Nie dam się zastraszyć! - powiedziałam porywczo. - Żadne ohydne anonimy mnie nie przestraszą.

- Ale, Carla, może...

- Może co? Autorzy anonimów to śmierdzący tchórze, a ja ich się nie boję.

- A Jean?

- Nie wiem. Nie chce o tym rozmawiać.

- Och, Carla, byłem głupi, gdy mówiłem, że życie jest za łatwe.

Komplikacje...

- Są po to, żeby je przezwyciężyć. Nie boisz się, prawda, Stuart?

- Boję się tylko o ciebie i Jean - nie podobał mi się nacisk, jaki położył na jej imieniu.

Ujrzałam jego twarz w świetle przejeżdżającego auta - była przepełniona troską. Ale o którą z nas? I nagle zapragnęłam, żeby mnie pocałował, rozwiał wątpliwości, uspokoił. Ale zamiast tego cofnął ramię i zapuścił motor.

Jak zwykle podzieliłam się moimi zmartwieniami z Ronaldem Bridgerem. Bardzo ceniłam sobie nasze poranne pogawędki nad filiżanką kawy.

- Ronald, komu sprzedaż "Wysokich Drzew" może się nie podobać do tego stopnia, że wysyła anonimy?

- Nickiemu Litchellowi - odpowiedział z wahaniem.

- Ale to niemożliwe - zaprotestowałam.

- Ani niemożliwe, ani nieprawdopodobne. Kto dostał anonim?

- Jean, Stuart Railie i ja.

- Groźby?

- Owszem, też - powtórzyłam mu treść listów.

- Nie podoba mi się to - rzekł Ronald. - Chyba porozmawiam z inspektorem policji.

- A co potem? To nie może być Nicki, to na pewno ktoś inny. Sprawdzę wszystkich kupców na dom, których mieliśmy w zeszłym roku. Może ktoś chciał go kupić tak bardzo, że teraz usiłuje tu za wszelką cenę powstrzymać sprzedaż.

Szybki rzut oka na listę przekonał mnie, że wszyscy chętni kończyli na początkowym oglądzie domu.

A więc została Tansy. Boże mój, czemu nie pomyślałam o niej wcześniej? Przecież to ona najbardziej nie chciała, żeby Stuart kupił dom i wiedziała o sytuacji wystarczająco dużo, aby napisać listy.

Myślałam o Tansy intensywnie. Rozpaczliwie kochała Stuarta. Była inteligentna, i z pewnością nie poprzestanie na drobnych świństewkach. Gdy tego wieczoru wróciłam do domu, byłam już do końca przekonana do mojego pomysłu.

Jean w kuchni gotowała obiad.

- Cudownie pachnie, Jean. Chodź wypijemy drinka - chwyciłam butelkę, dwie szklanki i nalałam.

Jean odwróciła się od kuchenki i wzięła szklankę, którą jej podałam.

- Zdrowie, Jean! Zdaje mi się, że już wiem, kto napisał te anonimy.

- Skąd możesz wiedzieć - była zła i zmieszana.

- No, nie mam żadnych dowodów. Ale to musi być Tansy. Nie chce, żeby Stuart tu zamieszkał i nie lubi nas.

Skinęła głową i uśmiechnęła się, jakby spadł jej z ramion wielki ciężar.

- Biedna Jean - napełniłam jej szklankę. Ty się naprawdę martwisz. Co z tym zrobimy?

- Nic. Nie sędzę, żeby przyszły następne.

Nie miała racji. Następnego dnia przyszedł list adresowany do Jean. Był wysłany pocztą, wśród innych listów, które otrzymała w wytwórni.

- Musimy iść na policję - powiedziałam, gdy mi go pokazała.
- Nie. Nie pozwolę na to. Jeśli zignorujemy listy, autor się zniechęci.

Miałam nadzieję, że ma rację, ale bardzo w to wątpiłam.

Następnego dnia musiałam jechać do Londynu na spotkanie z klientem. Było ono umówione na wczesny wieczór, Ronald zaproponował więc, żebym została w Londynie na noc i pojechała następnego ranka do Boumemouth. Takie podróże były w mojej pracy normalne, ale zanim wyjechałam, poprosiłam Adriana, żeby wieczorem zajrzał do Jean.

W samą porę dotarłam do małego hotelu w Kensington i odruchowo zadzwoniłam do Stuarta.

- Carla, to cudownie! O której będziesz wolna?

Nie wiedziałam, ile czasu zajmie mi spotkanie z klientem, więc zgodziłam się przyjechać do Stuarta, do jego mieszkania.

- Możemy zjeść u mnie albo gdzieś iść. Zdecydujemy, jak już tu będziesz - powiedział.

Rozmowa służbowa skończyła się tuż przed dziewiątą, na szczęście do mieszkania Stuarta było bardzo blisko.

Powitał mnie wylewnie; wprowadził do pokoju i wziął żakiet.

Pokój był duży i wygodnie urządzone. Przepelniona biblioteczka zapełniała prawie całą ścianę; w rogu stał stół przygotowany do kolacji.

Jedzenie było zwykłe, ale Stuart otworzył butelkę świetnego wina. Siedzieliśmy za stołem jak starzy przyjaciele. Zaczynał właśnie nową serię swoich programów, zbierał materiały, a w przyszłym tygodniu jechał w plener kręcić zdjęcia.

Piliśmy właśnie kawę, gdy u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. Stuart przez moment zawahał się, spojrzął na zegar. Drugi, niecierpliwý dzwonek. Wstał i wyszedł do przedpokoju.

Rozpoznałam głos Tansy, już po chwili wepchnęła Stuarta z powrotem do pokoju. Spojrzała na mnie, na resztki jedzenia i dwie parujące filiżanki kawy. Udało mi się w tym czasie zewrzeć szyki i przygotować na gwałtowny atak.

- No tak, tego się można było spodziewać. Wyjeżdżam na parę dni, a ona już tutaj jest.

- Cześć, Tansy - odezwałam się. - Przerwałaś nam rozmowę o interesach.

- Interesach! - wycodziła. - Interesy załatwia się w biurze.

- Nie zawsze. Stuart jest drugim klientem, z którym rozmawiam tego wieczoru.

- Z pierwszym też jadłaś kolację? - spytała drwiąco.

- Było za wcześnie - odpowiedziałam chłodno.

Zwróciłam się do Stuarta:

- Skończę tylko kawę i pójdę.

Był zły. Jego policzki pałały, oczy zwięzły się.

- Przepróż Carlę uprzejmie za niegrzeczność.

Przeszyła go pełnym wściekłości wzrokiem.

- Niby dlaczego? - przerwała na chwilę. - To ty mnie do tego doprowadziłaś. Musiałaś ją tu zaprosić?

- Tak się składa, że to moje mieszkanie i zapraszam kogo chcę. A teraz proponuję, żebyś poszła do domu i zostawiła Carlę i mnie samych, żebyśmy mogli skończyć rozmowę.

- Nie, proszę - powiedziałam, wstając i odstawiając pustą filizankę po kawie. - Muszę już iść, rano ruszam w drogę.

Bez słowa chwycił mój żakiet i zszedł ze mną po schodach na ulicę.

- Carla, przepraszam cię...

- Zapomnij o tym - powiedziałam szorstko. - Tansy nie lubi, gdy ktoś kłusuje w jej rezerwacie.

- Mylisz się, bardzo się mylisz - rzekł idąc ze mną do samochodu.

- Dziękuję za kolację - otworzyłam drzwi i wsiadłam. - Miło było z tobą porozmawiać.

Odjeżdżając spojrzałam we wsteczne lustro. Stał na chodniku; wyglądał tak smutno, że serce mi zmiękło.

Zadzwoił następnego ranka, gdy zbierałam się do wyjścia.

- Carla, zmieniłem plany. Spędzę weekend w Merton Malling.

- To świetnie. Odplacę ci za gościnność; przyjedź do nas na kolację, Jean się ucieszy.

Byłam w Boumemouth do piątku. Dyrektor biura zachorował i Ronald Bridger zasugerował, żebym została na cały tydzień. Biuro miało mnóstwo pracy i przebywałam tam całymi dniami. Współpraca z personelem układała mi się niezłe, ale bez wątplenia nie podobało im

się, że ktoś obcy nimi rządzi - woleliby, żeby kierownictwo objął ktoś z nich.

Podróż do domu przebiegła bez zakłóceń. Na początku lipca korki zdarzają się tylko na drogach wiodących nad morze. Główna ulica Merton Malling była zupełnie wyludniona. Zawsze zresztą taka jest od zmroku do świtu. Ustawiłam mój wóz przy aucie Jean, na parkingu. Musiałyśmy, niestety, przeznaczyć na ten cel kawałek frontowego ogrodu. Garaże były na wsi rzadkością; tylko nowe domy, pobudowane tam, gdzie główna ulica Merton Malling łączyła się z szosa, mogły się pochwalić posiadaniem tego udogodnienia.

Czułam się wyczerpana. Miałam ciężki tydzień, a długa droga do domu też była nie lada wysiłkiem. Zamknęłam samochód i szłam ścieżką, zauważając, że trzeba podlać pelargonie. W pokoju Jean, sypialni i w hallu paliło się światło.

Włożyłam klucz do zamka. Obróciłam go, ale drzwi nie ustąpiły. Zaintrygowana obeszłam dom dookoła, ale tylne drzwi też były zamknięte. Pobiegłam od frontu i zjrzałam do oświetlonego pokoju. Był pusty.

Walcząc z paniką, obiegałam dom raz jeszcze, próbując po drodze otworzyć oszklone drzwi w moim pokoju, ale tak jak się spodziewałam, były zamknięte. Stałam bez ruchu i nadśluchiwałam. Nagle zaszczekał pies i z ciemności wyłoniło się wielkie, czarne zwierzę, warcząc i szczerząc zęby.

Zacisnęłam pięści. Zwierzę zbliżało się ostrożnie. Wydałam z siebie dziwny odgłos, który w moim pojęciu miał je uspokoić. Powąchało moje ręce i cofnęło się, wciąż warcząc w głębi gardła.

- Jean! - wrzasnęłam. - Gdzie jesteś?

Zobaczyłam, jak powłócząc nogami, idzie ścieżką.

- Jean, na miłość boską, co się stało?

Ruszyłam w jej kierunku, ale pies zastąpił mi drogę. Poczułam się tak, jakby nie było mnie tu pięć miesięcy, a nie pięć dni.

- Wróciłaś - chwyciła psa za obrozę. - Przyjaciel - powiedziała, robiąc krok naprzód. - Przyjaciel.

- Oczywiście, że przyjaciel. Jakby nie patrzeć, mieszkam tutaj.

Ruszyła przodem, jedną ręką ciągnąc psa za obrozę i otworzyła tylne drzwi. W kuchni paliło się światło, gdy weszłam tam za nią, przeraziłam się zmianą jej wyglądu. Cera miała szarawą barwę, włosy

były nie uczesane, wyglądała, jakby dopiero co wstała po ciężkiej chorobie.

Puściła psa - rzucił się do miski z wodą, chleptał łapczywie, po czym wyciągnął się w olbrzymim koszu i leżał tam, patrząc na nas bez zmrużenia powiek.

Usiadłam, całkowicie wytracona z równowagi. Jean przekreśliła klucz w zamku i zasunęła dwie olbrzymie zasuwę.

- Co się stało, Jean? Odnoszę wrażenie, że dom zmienił się w fort obronny. A skąd się wziął pies?

- Jest nasz. Nazywa się Oskar. Wzięłam go ze schroniska.

- Chcemy mieć psa? - spytałam słabo.

- Chcemy Oskara. To bardzo dobry pies obronny. Tresowany. Jego poprzednia właścicielka, starsza pani, zmarła, a rodzina go nie chciała.

- Czy jest w tym domu butelka dżinu? Czuję, że kręci mi się w głowie.

Nie uśmiechnęła się. Z poważną miną wlała dżin do szklanek, dopełniła je tonikiem i ustawivszy je na tacy, zaproponowała, żebyśmy przeszły do jej pokoju. Rzuciłam torbę w hallu, żakiet powiesiłam na krześle i poszłam za nią, chwytając szklankę z tacy.

- Jean, wyglądasz okropnie. - Było włamanie czy co?

Potrząsnęła głową i zaciągnęła zasłony.

- Śledzą nas - powiedziała.

- Śledzą? O czym ty, u diabła, mówisz? - pośpiesznie opróżniłam szklankę, ale nie miałam siły, żeby ją na nowo napełnić.

- Ten człowiek. Jest gdzieś na zewnątrz. Widziałam go w przelocie i słyszałam późno w nocy. On czeka...

- O Boże, czemu nie zadzwoniłaś? Wróciłabym do domu.

- Adrian zostawał ze mną - powiedziała.

- Chcesz powiedzieć, że zostawał tutaj na całą noc?

- Tak, każdą noc, kiedy ciebie nie było. Spał w twoim pokoju. Był bardzo miły. Zamontował dodatkowe zamki i zamówił alarm przeciwwłamaniowy. Będziemy teraz całkiem bezpieczne.

- Zawsze byliśmy bezpieczne. Jak myślisz, kim jest ten człowiek?

Potrząsnęła głową bezradnie. Miałam wrażenie, że zaraz się rozplacze, więc nie miałam serca zamęczać jej dalszymi pytaniami.

- Jeśli go zobaczysz, powiedz mi natychmiast. Obiecay - powiedziała nagle.

- W porządku, ale to wszystko wydaje mi się nieco naciągane.

- Cieszę się, że jesteś w domu, Carla. Zrobiłam trochę kanapek, pomyślałam, że może będziesz głodna. Zrobić ci herbaty?

- Dzięki Jean. Jestem strasznie głodna, nigdzie się nie zatrzymywałam. Zrobię herbatę.

Oskar podniósł łeb i obserwował, jak kręcę się po kuchni. Ruszał czubkiem ogona - zostałam zaakceptowana. Zaparzyłam dzbanek mocnej herbaty i zawołałam Jean. Podeszła do drzwi, ale nie chciała pić, powiedziała, że pójdzie się położyć.

Jadłam kanapki, siedząc przy stole kuchennym. Oskar wylał z kosza, przysiadł na zadzie i położył mi łeb na kolanie. Miał bardzo rozumne oczy, byłam nim urzeczona.

Podzieliłam się z nim kanapką i poszłam do góry do łóżka, ale długo nie mogłam zasnąć. Gdy już zasnęłam głęboko, obudziło mnie nagle głośne szczekanie psa. Nie zapalając światła, wstałam z łóżka i wysunęłam głowę przez otwarte okno.

Cisza była wręcz namacalna, rozciągała się jak płaszcz nad ogrodem, osikami nad brzegiem rzeki, i polami. Księżyc był okrągły i żółty jak masło. Nic się nie ruszało. Przeszłam przez pokój do okna, z którego był widok na High Street. Wszystko pogrążone było w ciemnościach: pub, domy, ulica i tylko czyjś cień wynurzył się z mroku; światło księżycza zaśniło na policyjnym hełmie. Zniknął z pola widzenia, wiedziałam, że szedł do domu. O północy zamykano posterunek policji, opiekę nad wsią przejmowała komenda w Mertonbury.

Uspokojona, zapaliłam światło, przeszłam przez przedpokój i zapukałam do Jean. Siedziała na łóżku, ramionami obejmując kolana.

- Musi być północ, Jean. Oskar usłyszał, jak Ted Everall wraca do domu. Idź spać, kochanie. Jesteśmy bezpieczne.

Skinęła głową i skuliła się w łóżku jak dziecko. Wróciłam do mojego pokoju i spojrzałam na zegar. Była druga w nocy, więc czemu, zastanawiałam się, Ted szwenda się po ulicy?

Gdy się obudziłam, świeciło słońce. Ubrałam szybko koszulkę i dżinsy. Podlałam w ogrodzie pelargonie i wyrwałam kilka chwastów. Gdy wróciłam do kuchni, Jean jadła śniadanie.

- Przepraszam, że nie czekałam na ciebie - powiedziała - ale spieszę się do wytwórni. Muszę przestudiować parę szkiców, a tylko w sobotnie poranki jest wystarczająco spokojnie. Wezmę Oskara. Zrobiłam listę zakupów, Carla. Mogłabyś skoczyć do Mertonbury?

Gdy zrobiłam zakupy, postanowiłam pojechać do Staten Court. Musiałam porozmawiać z Adrianem. Był właśnie na basenie.

- Chodź, Carla, do wody. Jest naprawdę cudowna!

- Nie wzięłam kostiumu - odrzekłam ze smutkiem.

Woda migotała, a ja kocham pływać.

- W altanie jest jeden zapasowy.

Rozebrałam się i skoczyłam do wody. Była chłodna i orzeźwiająca. Przepłynęłam siedem lub osiem długości, wyszłam i siadłam na posadzce otaczającej basen. Adrian chwycił ręczniki i przysiadł się do mnie.

- Co się dzieje? - spytałam.

- Chodź, popływamy jeszcze trochę, a potem pójdziemy na taras i porozmawiamy przy kawie.

Wskoczyliśmy znów do wody, po czym przebrałam się w moje rzeczy i poszłam na taras.

Kawa była gorąca i mocna; dodałam do niej śmietanki.

- Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że założyłem te wszystkie zasuwę i alarmy, kiedy cię nie było. Jean się uparła.

- Czy naprawdę ktoś śledzi dom, Adrian? Czy to wytwór wyobraźni Jean?

- Ja nikogo nie widziałem.

- Pytales sąsiadów? Nikt obcy nie może postawić stopy we wsi, nie będąc zauważonym i obgadany.

- Pytałem.

- No i?

- Nie widziano nikogo obcego, ale krąży dziwna pogłoska o duchu.

- O duchu?!?! Chyba żartujesz!

- Carla, muszę to powiedzieć. Wieśniacy nie chcą, żeby "Wysokie Drzewa" trafiły w cudze ręce. Wierzą, że Litchellowie przynoszą im szczęście. Wiesz przecież, że dzięki wytwórni nie ma we wsi bezrobocia. Ludzie myślą, że dom to pierwszy krok Jean, i że po nim przyjdzie kolej na fabrykę.

- To bzdura. Jean tylko dlatego chce sprzedać dom, żeby móc zainwestować w wytwórnię, a poza tym okazało się, że potrzebuje więcej pieniędzy, niż jej się na początku zdawało.

- Dlaczego?
- Spytaj ją.

Byłam pewna, że nie powiedziałyby ani Adrianowi, ani nikomu innemu. Nigdy nie zdradziłyby Nickiego, nawet gdyby jej życie było w niebezpieczeństwie. I nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym ja zdradziła jego sekret. Nie było między nami żadnego paktu, ale Jean mi ufała.

- Spytam - wstał i objął mnie ramionami, zmuszając mnie do powstania na nogi. - Nie podoba mi się to, co się dzieje. Być może jestem za bardzo podejrzliwy, ale Jean się boi, a ja chcę wiedzieć dlaczego.

Wydostałam się z jego ramion. Anonimy, duchy, dom pod obserwacją - czyja? To wszystko nie miało sensu.

- Myślę, że ja też zacznę się bać - powiedziałam.

ROZDZIAŁ VI

Im więcej myślałam o duchu, tym bardziej byłam zaintrygowana. Nie ma dymu bez ognia - postanowiłam zatem pobawić się w detektywa.

Źródłem wielu krążących po wsi plotek był niejaki Milton, zwany przez wszystkich Oczkiem. Jeśli kiedykolwiek istniał człowiek bez nazwiska, był to właśnie Milton. Prostak, nie miał żadnego wykształcenia, rzucił grubymi nićmi szyte aluzje; ale przyznać trzeba, że spostrzegawczości mu nie brakowało.

Jego tryb życia od lat się nie zmieniał, wiedziałam więc, że na pewno znajdę go wieczorem w Potters Arms, gdzie zwykł był naciagać na drinki coraz to innych głupców. Postanowiłam tego wieczoru odegrać rolę głupca.

- Cześć Milton - postawiłam przed nim półkwartowy kufel mocnego piwa. Spojrzał na mnie; pod ciężkimi, pomarszczonymi jak u zółwia powiekami zaśniły małe, brązowe oczka.

- To panna Shaw - prawda? Dziewczyna od doktora.

Usiadłam na krześle przy jego stoliku, jak najdalej od niego.

- Myślałem właśnie o twoim ojcu. Nie zjedli go jeszcze?

- Zjedli? - patrzyłam na niego zdziwiona.

- Kanibale na pewno mają chętkę na doktora. Nie powinien był tam jechać. A nam przysłali nowego - ale facet nas nie rozumie. Widzisz, twój ojciec to był tutejszy człowiek.

- I pewnie w dodatku sądzi pan, że panna Litchell nie powinna sprzedawać "Wysokich Drzew"?

- Oczywiście, panienko. Nic dobrego z tego nie będzie - podniósł pełne szkło do ust i przechylił; przez parę chwil jego grdyka wędrowała w górę i w dół. Poziom płynu w kuflu obniżył się dramatycznie.

- Słyszałam, Milton, że widziałeś duchy. Musiałeś trafić na bogatych klientów.

- Bogatych! - skrzywił się. - Byli tacy skapi, że nie podzieliliby się nawet brudem z za paznokci. A poza tym nie potrzebuję piwa, żeby widzieć duchy. Spotkałem je, zanim jeszcze przekroczyłem próg baru - spojrział na mnie ukosem, z lekkim triumfem.

- A gdzie widziałeś duchy?

Zmarszczył się, wyglądał na zakłopotanego.

- Duch, Milton, duch!

- E tam, nie ma o czym gadać.

- Powiedzmy, że zgadnę. Gdybyś ujrzał go we wsi, na pewno nie byłbyś jedynym, któremu się to zdarzyło. Myślę więc, że spotkałeś go w "Wysokich Drzewach".

Na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

- Kto mówi, że tam byłem?

- Ja - nauczyłam się od ojca, jak rozmawiać z Miltonem. - No więc, co robiłeś na terenie prywatnej posiadłości?

- Nie zrobiłem żadnej szkody, panienko. Po prostu przechodziłem tamtędy. Pomyślałem, że sprawdzę, czy wszystko w porządku. Aż tu patrzę - idzie jakaś zjawą. Zanim zdążyłem krzyknąć, zniknęła. Pobiegłem za nią, ale zapadła się pod ziemię.

Wątpiłam w odwagę Milтона, ale on mówił dalej:

- To jest ostrzeżenie, panienko, naprawdę. My tu nie chcemy żadnych zmian. I nie chcemy żadnych lalusiów z BBC. To jest ziemia Litchellów i zawsze pozostanie ich ziemią.

Nie wypytywałam więcej Milтона, co robił w "Wysokich Drzewach", gdyż łatwo się było domyślić, że patrzył, co można by stamtąd wynieść. Z ulgą przypominałam sobie, że dokładnie zamknęłam cieplarnię. Nie wątpiłam też, że rośliny, które latami rosły szczęśliwie w "Wysokich Drzewach", w przyszłym roku będą się męczyć w zaniedbanym ogródku Milтона. Miałam nadzieję, że wiara w duchy powstrzyma w przyszłości jego złodziejskie ręce, i że będzie się trzymał z daleka od ziemi Litchellów.

Moja ciekawość wzrosła tak bardzo, że następnego wieczora wzięłam do towarzystwa Oskara i wybrałam się na przechadzkę do "Wysokich Drzew". Oczywiście nie wierzyłam w duchy, a Oskar miał mnie chronić przed atakiem ze strony istoty jak najbardziej ludzkiej.

Pola o zmierzchu stają się ponure. Zamazane linie wzgórz, drzewa w oddali, mgła wstająca znad rzeki - wszystko to zmienia wygląd doskonale znanych miejsc, sprawiając, że zwykła przechadzka staje się wyprawą w nieznaną, nowy świat, w którym rządzą demony ciemności.

Trzymałam Oskara krótko przy nodze. Nie podobało mu się to wyraźnie, szarpał się i powarkiwiał w głębi gardła, ale nie miałam najmniejszego zamiaru spuścić go ze smyczy i trząść się ze strachu przed "duchem Milтона".

Z drewnianego mostka widać było całą okolicę. Szklarnie wciąż jeszcze lśniły jaśniejszym blaskiem resztek słonecznego światła. Między drzewami rozścielał się już mrok; kształty stawały się nierozpoznawalne, wtapiały się w ciemniejące tło.

Zbyt dobrze znałam to miejsce, żeby się bać, ale w pewnym momencie zdałam sobie sprawę z istnienia dźwięków, które potęgowała zupełna cisza - tajemniczych szmerów, szumów i plusków wody na płycznach, wirów wciągających i obracających niesione nurtem pniaki, czy też wody uderzającej w podpory mostka.

Czekałam, oparta o żelazną poręcz, ciesząc się tym nagle odczutyim spokojem chwili. Nagle, całkiem niespodzianie, Oskar zjeżył się i zawarczał - w tym momencie zauważyłam postać, która wyłoniła się z ciemnych zarośli i zatrzymała się przy cieplarni. Poczulałam, jak

serce zaczęło mi bić, a puls przyspieszył. Postać ta jednak, równie szybko jak się pojawiła, cofnęła się za szklarnię i zniknęła.

Musiałam wiedzieć.

Furtka do ogrodu była przymknięta, ale nie zamknięta na klucz. Szybko pobiegłam ścieżką do cieplarni. Byłam tak podekscytowana, że się nie bałam, a poza tym tuż przy mnie biegł Oskar.

Obeszłam szklarnię i skierowałam się do domu. Spoglądałam w czarne okna pustych pokojów, ale nigdzie nikogo nie dostrzegłam. Czy naprawdę widziałam kogoś przy cieplarni? Czy to może tylko moja wyobraźnia pobudzona opowieścią Miltona?

I wtedy usłyszałam od strony alei czyjeś szybkie kroki. Zapomniałam o strachu i pobiegłam w tamtą stronę. Ale i podjazd, i aleja były puste. Zaczęłam więc iść w stronę wsi. Nagle z tyłu podjechał samochód i zatrzymał się, oświetlając mnie światłami.

- Co ty tu robisz o tej porze? - Stuart otworzył drzwiczki wozu i wysiadł. - Czy ty oszalałaś, Carla? Mogłaś wpaść pod samochód, albo gorzej!

- Stuart - wyszeptałam poruszona. - Czy to ty się kręciłeś koło "Wysokich Drzew"?

- Po ciemku? - spytał z niedowierzaniem przyglądając mi się uważnie. - Wsiadaj do wozu - zarządził, wepchnął Oskara na tylne siedzenie i otworzył przede mną przednie drzwi.

Przez krótki odcinek od tamtego miejsca do domu nie zamieniliśmy nawet słowa. Stuart zaparkował auto.

- Żądam wyjaśnień - odezwał się w końcu srogim głosem, wchodząc za mną do hallu.

Jean otworzyła drzwi swego pokoju.

- Gdzie ty, do diabła, byłaś? Niepokoiłam się o ciebie - przerwała, widząc za mną Stuartha.

- Cześć, Jean - przywitał się. - Znalazłem Carłę na drodze. To niebezpieczne w nocy.

- Miałam ze sobą Oskara - tłumaczyłam się głupawo. Jean wprowadziła nas do swojego pokoju i spojrzała na mnie:

- Mój Boże, Carla, nic ci się nie stało? Wyglądasz, jakbyś spotkała ducha albo inną niezmierną istotę.

Odwrociłam się do niej gwałtownie.

- Czemu tak mówisz?

Nie odpowiedziała na pytanie.

- Siadajcie, proszę. Zrobię drinki.

Zajęła się nalewaniem drinków, a gdy wróciła na krzesło i spojrzała na nas, miała na twarzy ten sam tajemniczy wyraz, który tyle razy widziałam u jej kuzyna Nickiego.

- Nie jesteś jedyną, która słyszała tę wioskową plotkę. Zdaje mi się, że byłaś na polowaniu na duchy.

Poczułam się jak kompletna idiotka.

- Myślałam... - zaczęłam.

- Wiem. Poszłaś na mostek i zobaczyłaś jakaś postać, która wyłoniła się z krzewów i zatrzymała się przy cieplarni. Ja też to widziałam.

Stuart przerwał:

- Co to za bzdury o tym duchu?

- Nie sadzę, żeby to były bzdury. Boisz się duchów, Stuart? - spytała Jean.

- Dobry Boże, nie.

- Nawet duchów moich przodków, którzy wstają z grobów, żeby zaprotestować przeciwko zdradzie, którą popełniam?

- Nie wygłupiaj się, Jean. To wybryk jakiegoś głupiego wieśniaka - odpowiedział.

- Możesz nie wierzyć, jeśli nie chcesz. Ja wierzę - rzekła Jean.

Stuart zeszywniał i odezwał się chłodno:

- Nie jestem strachliwy, Jean. Myślę, że twoi przodkowie byliby zadowoleni, że jestem w stanie wybawić cię z kłopotów finansowych, oczywiście, gdyby mogli coś z tego zrozumieć.

Rzuciła mu dziwne spojrzenie. Trudno byłoby je określić, ale uderzyło mnie, że góruje nad nim, jak jastrząb krążący nad ofiarą. Naszło mnie dziwne pragnienie. Miałam ochotę rzucić się między nich, krzycząc do Jean, żeby go nie raniła. - Ale zamiast tego siadłam ciężko na krześle i obserwowałam ich sprzeczkę.

- Co ty wiesz o moich kłopotach finansowych? - spojrzała na mnie.

- To łatwo zgadnąć, więc nie oskarżaj Carli, jest stuprocentowo lojalna - odpowiedział. - Nagle zaczęłaś nalegać, żeby sfinalizować sprzedaż, a to wyraźnie wskazuje, że potrzebujesz pieniędzy. Zresztą, nawet obcy usłyszy czasem jakąś pogłoskę. W pubie, jakiś półgłówek opowiadał o duchu, więc pojechałem zbadać sprawę. Chyba jeszcze

nie zapomniałaś, że poprzedniego wieczora wzięłam Oskara na spacer. Obeszliśmy posiadłość kilka razy i zaskoczyliśmy twojego ducha. Uciekł, ale stary Oskar pobiegł za nim i wrócił bardzo zadowolony, z tym - pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął kopertę, a z niej skrawek tkaniny. - Nie wyobrażam sobie duchów odzianych w białe nylonowe koszule i rozdających kopniaki. Biedny Oskar aż zawył, ale byłbym zaskoczony, gdyby ów duch nie musiał leczyć poważnego ugryzienia w tyłek. Pobiegłem za nim, ale dobrze znał teren i zniknął w zaroślach.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Wiedzieliście, że Oskar szaleje wprost za lodami? - spytał Stuart.

Napięcie nagle opadło, roześmiałam się.

- Tak. Myślę, że jego poprzednia właścicielka wynagradzała mu jak mogła jego poświęcenie.

Jean się nie śmiała. Odwróciła się do Stuarta, a w jej oczach załśnił gniew.

- Powinieneś mi być powiedzieć.

- Dlaczego? Nie sądziłem, że wierzysz w te głupoty. Teraz, gdy już wiemy, że intruz jest człowiekiem, a nie duchem, czy nie sądzisz, że dobrze by było, gdybyśmy założyli dodatkowe zamki w drzwiach i zabezpieczyli jakoś szklarnie?

- Nie - odrzekła Jean. - Nie, bo... - zawahała się i zaczerwieńiała.

- No, Jean. Nic bądź nierozsądna. To byłoby z pożytkiem i dla ciebie, i dla mnie.

- Ja nie sądzę, żeby coś się mogło stać. Przedtem też często kręcili się tam ludzie.

- Jacy ludzie, Jean? Nie przypominam sobie, żeby przedtem wieśniacy wynosili własność Litchellów. Myślę, że Stuart ma rację. I myślę, że trzeba założyć łańcuchy na bramach. Jutro rano porozmawiam o tym z Ronaldem Bridgerem.

Ronald się zgodził, posiadłość została zabezpieczona, ale plotki nie ustały. W czasie wieczornych spacerów z Oskarem ciekawość zawsze wiodła mnie na mostek. Jeszcze dwa razy widziałam intruza.

Ponadto, gdy wcześniej rano chodziłam podlewać winorośl, znajdowałam czasem odciski w miękkiej ziemi ślady stóp, ale w żaden sposób nie można było określić, do kogo należą.

Stuart był znów w Londynie. Data podpisania umowy została wyznaczona na środek lipca, czyli za dwa tygodnie.

Ronald Bridger był również zaniepokojony, i gdy podczas jednej z naszych porannych rozmów przy kawie powiedziałam, że znów wiedziałam intruza, nagle spowaźniał.

- Mam teorię na ten temat - powiedział. - Jest tylko jedna osoba, która za wszelką cenę chce wstrzymać sprzedaż - oczywiście nie mam tu na myśli wieśniaków - i która nie cofnie się przed niczym, żeby wystraszyć Railie'ego.

Powiedziałam, zmieszana:

- Nikt nie przychodzi mi na myśl.
- Widzisz, Carla, ty nie chcesz, żeby ci przyszła na myśl osoba, o której mówię. Jeśli sprzedaż dojdzie do skutku, Jean na tym zyska. Ale jeśli odwoła sprzedaż i pozostanie właścicielką posiadłości, to co wtedy?

- Będzie chyba w tej samej sytuacji?
- Nie całkiem. Mogłaby sporządzić akt darowizny albo wyznaczyć spadkobiercę i wtedy byłaby w podwójnym niebezpieczeństwie.

Napotkałam jego spojrzenie, niezdolna ukryć strachu, który tak starannie od paru tygodni spychałam na peryferie świadomości.

- Więc myślisz, że Jean może być w niebezpieczeństwie?

Skinał głową.

- Dziś rano dzwonił do mnie inspektor Rush. Zdaje się, że pomimo wszystkich środków zaradczych, do "Wysokich Drzew" wdarli się wandalę. Wybili szyby w oknach i uszkodzili kilka szklarni.

Patrzyłam na niego skonsternowana.

- Dlaczego? - krzyknęłam. - Dlaczego? - jestem pewna, że nikt z Merton Malling nie zrobiłby tego!

- Masz rację. I znów jesteśmy przy osobie zainteresowanej zatrzymaniem sprzedaży...

- Ronald, nie myślisz chyba...

- Właśnie tak myślę - przerwał. - Tak myślę. Czy on kontaktował się z Jean?

- Kto? - spytałam, mimo że wiedziałam aż za dobrze, o kim mowa. Przeszedł mnie dreszcz lęku, ale i ekscytacji.

- Nicki Litchell, oczywiście - odrzekł Ronald.

- Nie. Nie uwierzę, że wrócił, ani że robi takie obrzydliwe rzeczy. Gdyby wrócił, przyszedłby do nas otwarcie.

- Naprawdę? Przypuśćmy, że odkrył, że ojciec Jean nie żyje, i że Jean jest właścicielką domu i wytwórni. Ale nie wie, czy Jean dowiedziała się, dlaczego on i jej ojciec się pokłócili.

- Ależ Ronald, w czym problem? Przecież z Jean się nie pokłócili.

- Ale może boi się spotkać z tobą, Carla.

- Ze mną?

- Moja droga, przecież wiedziałem, co się święci. Chodziliście ze sobą. Nigdy nie miałem zamiaru o tym mówić, ale teraz muszę. Bran Litchell nagle potrzebował pieniędzy i przyszedł do mnie.

- Więc wiesz - rzekłam przygnębiona.

- Wiem. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby utrzymać go z dala od was dwóch. Ufam, Carla, że będziesz mnie informować, co się dzieje.

Potrząsnęłam głową.

Był tak poruszony, że wstał, obszedł biurko i podniósł mnie z krzesła, trzymając mocno w ramionach. Nigdy nie widziałam go tak złego, jak teraz, i zadrżałam pod jego uściskiem.

- Kochałem Brana Litchella jak brata. Byliśmy ze sobą blisko przez całe życie. Oszustwo i kradzież Nickiego złamały go. Nie ma sensu potrząsać głową, Carla. Wiesz, ile tysięcy zdefraudował Nicki?

- Nie chcę wiedzieć.

- Jego kradzież omal nie doprowadziła wytwórni do ruiny. Gdybym nie pomógł...

Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam, gardło miałam ściśnięte. Chciałam krzyknąć: dosyć! Ale Ronald nie panował nad sobą.

- Nicki jest odpowiedzialny za śmierć Brana.

- To był atak serca - wymamrotałam. Nagle wypuścił mnie.

- Przepraszam cię. Dusilem to w sobie tak długo, że teraz nie mogłem się powstrzymać. Jestem to winien Branowi - chronić Jean i ciebie. Nie płacz, dziewczynko.

Czułam, jak łzy wstydu spływają mi po policzkach.

- Przepraszam, Carla. Musiałem cię ostrzec. Zrozum, proszę.

Podszedł do szafki i drżącą ręką nalał dwie małe szklaneczki whisky.

- Wypij, moja droga. To cię uspokoi. I zapomnij o moim głupim gadaniu.

Wypiłam whisky i rzeczywiście się uspokoiłam.

- Ronald, czy ruszyli cieplarnię?

- Idź i zobacz - powiedział delikatnie - i dziś już nie wracaj.

Cieplarnia była nietknięta. Wspaniałe kiście owoców rosły jeszcze i nabierały koloru. Może dojrzeją, gdy już Stuart się wprowadzi? - pomyślałam. Podlałam winorośl i przypatrując się gęstwinie liści, stawałam oko w oko z przykrą prawdą.

Czy Jean wiedziała? Co zrobi? Jeśli to Nicki jest przyczyną wszystkich obecnych kłopotów, czy mu wybaczy? Mnie pewnie znienawidzi, bo we mnie nie było ani śladu przebaczenia.

- Carla, gdzie jesteś? - z zamyślenia wyrwał mnie głos Stuarta.

- Tutaj - zawołałam, otwierając drzwi cieplarni.

- Co tu się działo, do cholery?! Nie mogę w to uwierzyć! Jestem pewien, że wieśniacy by się do tego nie posunęli. Carla, co tu się dzieje? - poruszony, chwycił mnie mocno i przyciągnął do siebie.

- Och, Stuart - zapłakałam.

- Carla, moja droga, co się stało?

Złożyłam głowę na jego piersi i usiłowałam powstrzymać łzy, ale nie byłam w stanie. Nie wolno mi zrobić niczego, aby powstrzymać Stuarta od wprowadzenia się do "Wysokich Drzew", tylko wtedy Jean i ja będziemy bezpieczne od Nickiego.

- Sprawa jest w rękach policji. Znajdę winnego - powiedziałam pewnie. - Przepraszam, Stuart. Nie spodziewałam się tych wszystkich kłopotów. Ubezpieczenie pokryje koszty szkody. Ale to takie okropne dla ciebie.

- Przeżyję. To czyni mnie jeszcze bardziej zdeterminowanym niż kiedykolwiek, żeby doprowadzić transakcję do końca.

Z ulgą uniosłam głowę i objęłam go ramionami za szyję. Uśmiechnął się, pochylił głowę i pocałował mnie w usta. Przytuliłam się mocniej do niego, ale odsunął mnie delikatnie.

- Nie przejmuj się. Przecież to nie ma nic wspólnego z tobą.

- Ależ ma - zapewniłam z pasją.

- Nie. To sprawa między Jean a mną - powiedział ponuro.

Wyszliśmy z cieplarni. Rozejrzał się wokół.

- Cóż, nic więcej nie możemy tu zrobić. Może zjemy lunch i przejedziemy się do Cotswalds? Jest świetny dzień na wycieczkę. Nie wymawiaj się, rozmawiałem z Bridgerem, nie musisz już dzisiaj wracać do biura.

To było cudowne, że znaleźli się ktoś, kto decydował za mnie. W normalnych warunkach nie waham się długo. Ale wypadki ostatnich dni wyprowadziły mnie kompletnie z równowagi. Przyszedłem do siebie po pysznym lunchu i paru drinkach w pubie, który wciąż miał zapach minionych dni.

Wyszliśmy z chłodnego baru w gorąco letniego dnia, na błękitnym niebie prażyło lipcowe słońce.

- W taki dzień najlepiej jest w cieniu drzew. Może pojedziemy do ogrodu botanicznego w Westonburt? - zapytał. - Przeoczyliśmy co prawda czas najpiękniejszych kolorów rododendronów i azalii, ale jest tam jeszcze kilka ciekawych gatunków.

- Wiem. To moje ulubione miejsce.

Zaparkowaliśmy wóz i włączyliśmy się między drzewami, studiując ich nazwy, zachwycając się kolorami, różnorodnością i kształtami, wdzięczni za cień, które rzucały.

- Mój ojciec był świetnym ogrodnikiem - powiedział Stuart. - Mówił, że sadzenie drzew daje poczucie nieśmiertelności. Ale największą jego pasją były róże.

- Odziedziczyłeś to po nim - rzekłem.

Skinął głową.

- Po śmierci ojca jego imieniem nazwano nową odmianę. Chyba dobrze zresztą, że nie dożył czasu, gdy jego ogród został zupełnie zniszczony. Rada miejska zmusiła nas do sprzedaży domu, ponieważ miała powstać tam nowa droga. Moja matka wykopała róże i zabrała je ze sobą. Mieszka teraz z siostrą, która wyszła za walijskiego farmera. Róże uschły. Urządzą w "Wysokich Drzewach" różany ogród, żeby uczcić pamięć ojca

Byłam wzruszona.

- Czy twoja matka zamieszka z tobą? Pomoże ci przy przeprowadzce?

- To niemożliwe. Jest chora.

- Więc Tansy?

Roześmiał się.

-Widzisz Tansy w roli gospodyni? Pasuje do niej jak kwiatek do kożucha.

-Zmieni się - rzekłam z przekonaniem.

Tansy nie pozwoli Stuartowi odejść. Przeznaczyła go dla siebie.

-Miałem nadzieję, że ty pomożesz mi się wprowadzić. Chciałbym tego, Carla.

- Więc ci pomogę. Jesteś pewien?

- Oczywiście. Im więcej, tym lepiej. Jean już się zaoferowała.

Nie byłam w stanie ukryć zdumienia.

- Spytała mnie, czy nie powierzyłbym jej rozstawienia mebli. Pamiętasz te sprzęty, które kupiłaś dla niej w Random? Chce mi je pożyczyć. To miłe z jej strony, prawda?

Miłe! "Nie, Stuart - pomyślałam, - to wcale nie jest miłe." Jean nie lubiła się dzielić, więc miała coś na myśli, ale co, nie byłam pewna. Była równie skryta jak jej kuzyn i - co stwierdziłam ze smutkiem - tak jak on zdecydowana trzymać mocno to, co do niej należało.

Czy Stuart będzie dość silny, aby jej nie ulec? Chyba byłam szalona, jeśli sądziłam, że łatwo wypuści "Wysokie Drzewa" z rąk. Stuart mógł posiadać dom, ale czy przypuszczał, że Jean zaprowadzi w nim swoje porządki, że sięgnie i po dom, i po jego serce?

Byłam przerażona tymi myślami. Przecież Jean to moja przyjaciółką. Bardzo mi na niej zależało, ale widziałam z przerażającą jasnością, że nie brałam pod uwagę jej chorobliwego wręcz przywiązania do rodzinnego domu.

- Tak, oczywiście, że ci pomogę - odpowiedziałam automatycznie.

-Wiedziałem, że się zgodzisz, Carla Martwię się o Jean. Wydaje mi się, że zbyt wiele jej odbieram. Ona wciąż mówi o domu, tak jakby... - przerwał i obejrzał się. - Widziałem jej portret w galerii w Mertonbury... Jest taka piękna. Ciekaw jestem, czemu jeszcze nie wyszła za mąż.

- Miała sporo okazji.

- Pomyślałem, że jakiś szczęśliwiec pewnie rządzi jej sercem.

Miał rację. Nicki Litchell, który ją zdradził ze mną. Nigdy nie przyjęła do wiadomości, że Nicki mnie kochał i wierzył, że nasz związek zmieni bieg jego życia. I myślę, że nigdy mi nie wybaczyła, tak jak nigdy nie potępiła Nickiego i będzie mu wierna do końca życia.

- Nie - powiedziałam. Ona nie ma nikogo.

Skinał głową i uśmiechnął się, jakbym rozwiązała jego wątpliwości.

- Idziemy - powiedziałam nagle. - Obiecałam Jean, że zrobię kolację.

- Jestem zaproszony?

- Oczywiście.

Wziął mnie za rękę i poszliśmy do wozu. Żalowałam, że powiedziałam mu o kolacji, bo wiedziałam, że nie wracałby tak chętnie, gdyby nie Jean.

Jean ścinała właśnie kwiaty w ogrodzie.

Spojrzałam na nią nowymi oczami. Czy była piękna? Czy było to piękno aż tak widoczne?

- Nareszcie - powiedziała. - Szukałam cię, Stuart. Masz gościa. Szaleje, że musi tak długo czekać.

Otworzyły się drzwi frontowe i Tansy Parker podbiegła do nas.

Zignorowała mnie zupełnie i chwyciła Stuarta mocno za ramię.

- Stu, czy to nie okropne? To, co zrobili w domu. Na szczęście Jean zadzwoniła i przyjechałam. To chyba przesądziło sprawę. Nie będziesz przecież chciał mieszkać tu, gdzie jesteś tak niepożądany.

Wiedziała, że obie, Jean i Tansy przypatrują mu się uważnie, jakby chciały, żeby zaniechał transakcji. Mimo, że mówił o przeprowadzce, wyczułam w nim jakąś niepewność, jakby nie mógł uwierzyć w realność przyszłego posiadania domu.

- Jest jeszcze czas... - zaczęłam.

Potrząsnął głową.

- Ktokolwiek próbuje odwieść mnie od kupna domu, robi duży błąd. A teraz Jean, jeśli pozwolił...?

Rumieniec zniknął z jej twarzy; pociągnęła czubkiem języka po wargach. Była rozdarta na dwoje, i nagle zrozumiałam dlaczego. Ale nie ośmieliłam się mówić. Odwróciła się w moją stronę, oczyma szukając zrozumienia. Jeśli teraz się zawaha, będziemy pogrążeni, ale ja jej nie pomogę, trudno, niech ta wina ciąży na mnie.

Stuart chwycił ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie.

- Jean, jeśli są jakieś nowe przyczyny, jakieś przeszkody, przez które zmieniłaś zdanie, proszę, powiedz mi teraz.

- Nie ma - szepnęła. - Nie ma przyczyn, dla których nie można by sfinalizować transakcji.

ROZDZIAŁ VII

Podpisanie aktu sprzedaży "Wysokich Drzew" miało miejsce w połowie lipca. Stuart postanowił się przeprowadzić w końcu miesiąca. Ustalił z firmą Mertonbury termin przywozu dywanów i zasłon, które on i Jean wybrali.

Miałam nadzieję, że włączy mnie w zakupy, tak samo jak w przeprowadzkę, ale nie poprosił mnie o to.

Przekonywałam siebie, że na pewno konsultował się z Jean, ponieważ miała wyczucie koloru, a dom był przedtem jej. Natomiast mnie traktował jako kobietę interesu. Uważał, że znam się na rzeczach bardziej przyziemnych, jak umowy, prawa dziedziczenia i tym podobne.

A Jean była artystką i urządziła dom, który kochała. Zawsze też mogło się zdarzyć, że nie będę mogła pomóc Stuartowi w przeprowadzce.

Mieliśmy znowu problemy z biurem w Boumemouth. Ronald był zajęty poważną sprzedażą w Londynie, więc nie miałam wyboru, musiałam się zgodzić pojechać do Boumemouth i zostać tam przez tydzień.

Przeprosiłam Stuarta.

- W porządku, Carla. Nie martw się. Jestem pewien, że damy sobie radę z Jean.

Jean uśmiechnęła się. To był tajemniczy uśmiech, którego chyba przedtem u niej nie zauważyłam, a który był typowym uśmiechem Litchellów.

- Na pewno damy sobie radę - jej oczy błyszczały. - Będę w domu, gdy przywiozą meble Stuarta. Nie będzie problemu, którego nie mogłabym rozwiązać.

Zostałam wykluczona i zniszczona. Wyjeżdżałam do Bournemouth z ciężkim sercem, ale dobrze wiedziałam, gdzie są moje obowiązki. Byłam partnerem i kierownikiem firmy, toteż tym większą ponosiłam odpowiedzialność. Zaproponowałam jednak, aby zamiast mnie pojechał Adrian.

- To niemożliwe, kochanie - odrzekł Ronald. - Adrian jedzie do Holandii. A poza tym, mój synalek nosi głowę w chmurach i nie dałby sobie tam rady.

Rzeczywiście moje zadanie było trudne: musiałam przeprowadzić rozmowę z Cliffem Bellem, kierownikiem biura. Wymagało to taktu, a jednocześnie stanowczości, i chyba naprawdę Adrian nie dałby sobie rady.

Cliff Bell nigdy nie powinien był zostać mianowany szefem. Był być może, jedyną pomyłką Ronalda. Wojowniczy i zawadiacki, oczywiście nie mógł się pogodzić z myślą, że ma ustąpić miejsca młodej kobiecie.

- Protekcja - zasyczał. - Oto jak zaczynacie karierę!

Nie dyskutowałam z nim, i w końcu doszliśmy do porozumienia.

Wróciłam do "Redlands", małego hotelu, w którym zwykle się zatrzymywałam, kompletnie zdruzgotana.

- Były telefony do pani, panno Shaw.

Spojrzałam na numery. Rozpoznałam londyński numer Stuarta. Drugi pochodził z Mertonbury, ale nie znałam go. Zadzwoiłam do Stuarta.

- Mój Boże, Carla, masz głos osoby kompletnie wyczerpanej. Ciężko było?

- Tak.

- Jean mówiła, żebym się o ciebie nie martwił, bo jesteś twarda jak stal. To prawda?

- Nie.

- Tak też myślałem. Jutro się przeprowadzam.

- Wiem. Telefon jest już podłączony?

- -Tak.

- Dobrze. Zadzwoń do ciebie jutro. Jaki masz numer?

Podał mi numer i dodał:

- Zadzwoń przed siódmą, dobrze? Zabieram Jean na ucziwy obiad.

"Oczywiście - pomyślałam gorzko, - Jean pomaga mu w przeprowadzce, a ja siedzę w Boumemouth, skazana na tydzień nudy i samotnych wieczorów."

Zadzwoiłam pod numer w Mertonbury, ale nikt nie odpowiadał. Próbowałam jeszcze parę razy następnego dnia, potem miałam ważniejsze sprawy na głowie i zapomniałam.

Personel biura zaakceptował moje tymczasowe kierownictwo. Niepopularność Cliffa Bella spowodowała zastój w interesach. Musiałam więc zorganizować napływ nowej klienteli i asystować pracownikom przy transakcjach kupna-sprzedaży, udzielając im fachowych porad. Nowy szef biura nie został wyznaczony, więc postanowiłam wrócić tu w przyszłym tygodniu.

Zdecydowałam, że warto jechać na weekend do domu, mimo że będzie to olbrzymi wysiłek. Tak jak planowałam, wyjechałam w sobotę po lunchu.

Gdy przyjechałam do domu, samochodu Jean nie było. Oskar przywitał mnie, radośnie merdając ogonem. Na stole kuchennym znalazłam kartkę od Jean: "Przepraszam, ale wyjechałam. Jedzenie w lodówce".

Wyjechała. Dokąd? Jean rzadko wyjeżdżała. Tym bardziej teraz, gdy zaplanowała urządzenie domu, które potrwać miało co najmniej parę dni.

Przyrządziłam sobie stek, a gdy zjadłam, nakarmiłam też Oskara i wzięłam go na spacer. Instynktownie przeszłam przez pola w kierunku mostka. Gdy stałam na nim, pomyślałam, że Stuart mógłby go zbudować, w celu szpiegowania nas. Odwróciłam się i poszłam do zagajnika zwanego Laskiem Lotti. Nazwa pochodziła od imienia starej kobiety, która mieszkała w chacie, głęboko w lesie. Po jej śmierci unikano tego miejsca, mówiono bowiem, że była czarownicą. Ale Oskar uwielbiał to miejsce. Kręcił się wkoło z nosem przy ziemi i skamlał podekscytowany. Po kolejnej przebieżce wrócił z kawałkiem materiału, zwisającego z paszczy, i upuścił mi na stopy.

Podniosłam go. Była to biała, nylonowa koszula z rozdarciem na rękawie. Przyjrzałam jej się uważnie, ale nie miała żadnych cech szczególnych. Wyglądała na drogą. Zastanawiałam się, czy jej właściciel i ten osobnik, który myszkował po "Wysokich Drzewach", to jedna i ta sama osoba. Nie mogła należeć do wieśniaka - oni nie nosili takich dobrych koszul. Zwinęłam ją i zabrałam do domu.

Jean była w pracowni. Zawołałam ją i weszłam. Pochyliła się nad deską rysunkową; na dźwięk moich kroków uniosła wzrok.

Była inna. Jak mogłabym opisać jej wygląd w owym momencie? To tak, jakby ciasno zwinięty pak rozkwitł nagle, a kwiat, który się ukazał, zapierał dech w piersiach.

- Miałaś ciężki tydzień? - spytała.

- Jakoś to przeżyłam. Są jakieś problemy z przeprowadzką Stuarta?

Uśmiechnęła się.

- Och nie, idzie jak z płatka - westchnęła. - Wszystko jest już na miejscu, tak jak zawsze było.

- Stuart nie oponował?

- Dlaczego miałby oponować? On to rozumie.

- Co rozumie?

Zawahała się.

- On tak naprawdę interesuje się tylko ziemią. W poniedziałek przyjeżdża brygada mężczyzn do pracy. Tansy Parker zostaje na weekend. Zaprosiła się.

- Co myślisz o tym? - wyjęłam zawiniątko i rozpostarłam koszulę. Nie miałam wątpliwości, że w jej oczach pojawiło się przerażenie.

- Gdzie to znalazłaś? - spytała.

- Oskar znalazł to w Lasku Lotti. To ostatecznie obala teorię ducha. Teraz musimy znaleźć właściciela. Sądzisz, że powinnam zanieść to na policję?

- Nie. Nie możesz, zabraniam ci - zawahała się. - Nie potrzebujemy nowych kłopotów. I nie będzie ich, zapewniam cię.

- Jak możesz być pewna, skoro...

Podniosła koszulę i przyjrzała się jej.

- Chyba że - ciągnęłam - znasz imię właściciela.

- To niedorzeczne - wyrzuciła z siebie.

- Ronald Bridger ma pewną teorię. Uważa, że istnieje tylko jedna osoba, która naprawdę chce powstrzymać sprzedaż domu.

- Pewnie myślał, że zmienię decyzję.

- Zrobiłabyś to, gdyby cię zmuszono.

- Do czego zmierzasz, Carla?

- Wydaje mi się, że Nicki wrócił.

Patrzyła na mnie bez słowa. Zdawała się być kompletnie zdziwiona, ale mimo to byłam przekonana, że coś wiedziała.

- Jesteś w błędzie - powiedziała spokojnie. - Gdyby Nicki wrócił do domu, byłby tu z nami. To jest jego miejsce - dodała.

- Nie, nie tu, Jean. Jeżeli o mnie chodzi, nie zaprosiłabym go tutaj.

- No tak, nie wybaczyłaś mu, że odszedł od ciebie. Chyba nie wierzyłaś, że się z tobą ożeni?

- Czemu nie? Obiecał... - odpowiedziałam ze złością.

- Nie - przerwała. - On zawsze należał do mnie.

- Więc idź do niego. I pamiętaj, jeśli sprawi Stuartowi jakiś kłopot, nie zawaham się i pójde na policję.

- Więc teraz Stuart? - uśmiechnęła się wąsko i okrutnie. - Nie masz zbyt wielkich szans.

- Myślisz, że ty masz albo Tansy Parker? A może wciąż Nicki zaprzęta ci głowę?

- Ja? - skrzywiła się, jakbym ją znieważyla. - Stuart Railie nic dla mnie nie znaczy.

- Ale "Wysokie Drzewa" tak.

- Tak, to prawda. Dom jest dla mnie najważniejszy. I zrobię wszystko, żeby nic mu się nie stało - przerwała i uśmiechnęła się.

- Dlaczego my się kłócimy, Carla? Co ci się stało?

- Nic mi się nie stało - wyparłam się. - Ale jakoś tak jest, że między nas zawsze wdziiera się Nicki.

- Teraz nie może - rzekła krótko. - Nie ma go tutaj.

Czy jej wierzyłam? W każdym razie bardzo chciałam wierzyć. Wzięłam koszulę, zabrałam ją do swojego pokoju i schowałam do szuflady, mając zamiar pokazać ją Stuartowi, gdy go znów zobaczę.

Następnego ranka minął mi fatalny nastrój. Zawdzięczałam to ciężkiej pracy w ogrodzie. Wkrótce po herbacie wyjechałam do Boumemouth.

W ciągu następnego tygodnia dzwoniłam do Jean, ale za każdym razem nikt nie podnosił słuchawki. Nawet gdy zadzwoniłam do wytwórni, powiedziano mi, że jej nie ma.

Postanowiłam nie zawracać sobie głowy i nie wracać na ten weekend do domu. Miałam w biurze mnóstwo papierkowej roboty, a chciałam, żeby wszystko było w porządku, zanim Ronald mianuje nowego szefa.

We wtorek wieczorem, gdy właśnie wybierałam się na obiad, okazało się, że mam gościa. W hallu, gdzie mnie wezwano, stał Stuart.

- Stuart - serce zabiło mi żywiej. - Cóż za wspaniała niespodzianka!

Udawałam, że wierzę w to, że przyjechał mnie zobaczyć, ale wiedziałam, że coś się za tym kryje.

- Właśnie się wybierałam na obiad. Pójdiesz ze mną?
- Tutaj?
- Czemu nie. Mają całkiem dobre jedzenie.

Skinął głową, jakby dobre jedzenie nic dla niego nie znaczyło. Zaprowadziłam go do mojego stolika, kelnerka przyniosła drugie nakrycie. Poprosił o listę win, a gdy już butelka była otwarta i jedliśmy drugie danie, odezwałam się:

- Czy coś nie tak w "Wysokich Drzewach"?
- Nie. Pomyślałem, że zajrzę do ciebie. Robię tu wizję lokalną do nowej serii.

Zaczął opisywać ogrody, które miał nadzieję sfilmować i spytał mnie, czy nie wybrałabym się z nim na rozmowę z panią, która miała u niego pracować jako ogrodnik i gospodyni.

Następnego dnia uwinęłam się z robotą i po lunchu mogliśmy wyjechać.

Małżeństwo nazywało się Randall i okazało się, że nadaje się znakomicie. Mieli po trzydzieści parę lat i pracowali w tym samym charakterze u ludzi, którzy wyjechali za granicę.

Stuart umówił się z nimi, że przyjadą do "Wysokich Drzew" w końcu tygodnia.

- Dzięki, Carla, ciężar spadł mi z serca. W ciągu kilku najbliższych miesięcy będę musiał dość często wyjeżdżać.
- Weź ich referencje - przypominałam mu. - Wydaje mi się, że to dokładnie tacy ludzie, jakich potrzebujesz.
- Chodź, pójdziemy nad morze, skoro to już załatwione. Znam taką cichą, małą zatokę. Spokojną - dodał.

Był to jeden z tych rzadkich dni lipcowych, kiedy słońce świeci ostro, a niebo jest niewiarygodnie błękitne. Usadowiliśmy się na plaży, plecami oparliśmy się o skały. Morze tańczyło przed nami gawota: posuwało się to w przód, to w tył, drobnymi krokami spienionych fal. W zasięgu wzroku nie było widać nikogo.

- Cudownie - westchnęłam zadowolona. - Jak ją znalazłeś?
- To mój sekret - roześmiał się. - Jeszcze nigdy się nim z nikim nie podzieliłem.
- Dlaczego ja?

- Jesteś kimś szczególnym, Carla. Wiesz o tym.

Czyżby? Czyżbym była kimś bardziej szczególnym niż Tansy i Jean? Ważpiłam w to, chociaż bardzo chciałam wierzyć, tak bardzo, że siła tego pragnienia mnie przeraziła. Nicki też mówił, że jestem szczególna, mówił tak razem z całą masą czułych słówek. Nicki był przeszłością i tam miał pozostać.

- W czasie przyływu zatokę wypełnia woda - powiedział Stuart.

- Kiedy będzie przyływ?

- Mniej więcej za godzinę.

- Skąd wiesz?

Roześmiał się.

- Bo mnie raz złapał. Musiałem się zdobyć na wyczyn i wspiąć się w górę po skałach. Chwilami są bardzo strome. Będziemy musieli pójść sobie stąd przed przyływem.

- Szkoda, najchętniej nie ruszałabym się stąd wcale - położyłam się na plecach i zamknęłam oczy. - To niebo, prawda?

Nie odpowiedział, więc otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Wpatrywał się w morze, jego profil odcinał się ostro na jasnym tle. Pomyślałam, że pewnie nie słyszał, co powiedziałam.

- Stuart!

Odwrócił się twarzą do mnie - zaskoczyła mnie czułość widoczna w jego jasnoniebieskich oczach.

- To może być nasze niebo.

Objął mnie ramieniem i przyciągnął bliżej siebie.

- Proszę, Carla - szepnął.

Podniosłam ku niemu twarz. Przez jakiś czas zatraciłam się w ekstazie jego pocałunków. Pragnienie moje było tak samo silne jak jego, ale jednak podniosłam plecy, a on, jakby czując moją rezerwę, nie nalegał.

- Przepraszam, Carla, poniosło mnie - wstał prędko - Chodź, pójdziemy już.

Wspięliśmy się po klifie i doszliśmy do wozu. Zdawało się, że odzyskał swój normalny chłód, mnie jednak wciąż biło serce. To nic dla niego nie znaczy - myślałam, - po prostu takie miejsce i czas.

Nawet jeśli żałował, że stracił panowanie nad sobą, i tak tego nie okazywał. Wróciliśmy do Boumemouth, zaproponował wczesny obiad, zanim będzie musiał wracać z powrotem do Londynu, gdzie mieszkał u

przyjaciela. Ciekawa byłam, czy ten przyjaciel to przypadkiem nie Tansy i poczułam ukłucie zazdrości.

Siedzieliśmy nad kawą, gdy spytał:

- Co zmieniło Jean?

- A zmieniła się?

- Oczywiście, że tak. Odnoszę wrażenie, że to, co mówię, do niej nie dociera.

- Pewnie myśli o nowych wzorach. Ona miewa takie nieobecne dni.

- Nie sądzę, żeby to było to. Ona czymś się martwi. Może żałuje, że sprzedała dom?

- Zawsze będzie żałować. Nie miała wyboru.

- Czasem, w porze lunchu spaceruje po posiadłości. Pytała mnie, czy to mi nie przeszkadza, powiedziałem, że nie. Ale mam wrażenie, że na coś lub na kogoś czeka. Wiem, że to głupie, ale czasem wygląda, jakby była wprawiona w trans. Czasem żałuję, że kupiłem "Wysokie Drzewa". Och, nie patrz tak na mnie! Ja też miałem wolny wybór. To nie ma nic wspólnego z tobą, to jest tak, jakbym wszedł na czyjś teren prywatny, na miejsce, w którym nie mam prawa przebywać.

- Magia Litchellów - powiedziałam gorzko. - Gdy się ich pozna, pozostawia to jakąś rysę na duszy. I już nigdy nie można się wyrwać z ich rąk.

- Ich, Carla? Masz chyba na myśli Jean. Moim zdaniem człowiek, który wplącze się w jej życie, będzie miał trudności z wyrwaniem się, chociażby bardzo chciał.

Miał oczywiście rację. Jean i Nicki, mieli ten sam rodzaj magii: skoro wpadniesz w ich ręce, już nigdy nie uwolnisz się do końca.

Spojrzałam przez stół na Stuarta. Czy chciał być wolny? Czy magia Jean nie została wzmocniona atmosferą domu, w którym mieszkał?

"To moja wina - pomyślałam z goryczą. - Powinnam była wiedzieć."

Zostałam w Boumemouth jeszcze dwa tygodnie. Nie wracałam do domu na weekendy. Ronald Bridger znalazł człowieka, który - miał nadzieję - okaże się dobrym szefem, i poprosił mnie, żebym została i wprowadziła go do firmy.

Gdy już ostatecznie wróciłam do domu, była połowa sierpnia. I musiałam się zgodzić ze Stuartem; Jean się zmieniła. Nie była to

zmiana diametralna, a wręcz odwrotnie: tak subtelna, że zauważalna tylko przez kogoś, kto ją dobrze znał.

Tylko Oskar przywitał mnie entuzjastycznie.

- Tęsknił za tobą. Byłam bardzo zajęta i nie miałam czasu chodzić z nim na długie spacer, a on tak je lubi - powiedziała Jean.

- Miałaś tyle roboty w wytwórni? Myślałam, że sierpień to martwy sezon.

- A jednak. Wprowadzam dwie zmiany. Zdecydowałam, że zbuduję nowy budynek na biura, a w starym urządę sklep z wybrakowanym towarem. Zrobiłam mnóstwo rzeczy.

Cieszyłam się, widząc ją w stanie takiego entuzjazmu, ale było też w niej jakieś ukryte podniecenie. Nie mogłam uwierzyć, żeby jego jedynym źródłem była rozbudowa fabryki.

Ronald był zadowolony z mojej pracy w biurze w Boumemouth. Powiedział, że wyglądam na zmęczona i zaproponował tydzień urlopu. Z chęcią na to przystałam. Miałam mnóstwo pracy w ogrodzie, a poprzedni urlop w tym roku spędziłam na nartach w Szwajcarii.

Ogród strasznie ucierpiał podczas mojej nieobecności. Chłopak ze wsi skosił, co prawda, trawę kosiarką, ale wszystko było okropnie zarosnięte, a poza tym, ja również planowałam mały ogród wodny.

Jean nie interesowała się tym. Spędzała długie godziny w wytwórni, doglądając prac budowlanych. Nowe budynki rzeczywiście wyrastały szybko, szczególnie teraz, gdy robotnicy przebywali na dwutygodniowym urlopie.

Oskar chodził za mną wszędzie, jak błędny ogień. Co i rusz zmuszał mnie, patrząc błagalnie, żebym porzuciła to, co robię i poszła z nim na spacer. Podczas jednej z tych wypraw miałam dziwną przygodę.

Szliśmy przez Lasek Lotti. Oskar, jak zwykle, pobiegł do zniszczonej chaty. Miał zwyczaj okrażać ją kilka razy bez zatrzymania. Ale dzisiaj zachowywał się inaczej. Stał przy drzwiach, obwąchując szpary. Podeszłam do niego, zdjęta ciekawością. Jakież było moje zdumienie, gdy stwierdziłam, że ktoś założył zawiasy i wstawił nową klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Próbowałam zajrzeć do środka przez brudne okno, ale było zasłonięte kawałkiem ciemnego materiału. Odciągnęłam Oskara, ale odwróciłam się, żeby jeszcze raz rzucić okiem. Zasłonka poruszyła się, przez sekundę zdawało mi się,

że widzę przyciśniętą do szyby jasną twarz. Lekko podenerwowana odeszłam stamtąd szybko, stwierdzając, że chatę zamieszkali widocznie włóczędzy lub hippisi.

Byłam tego wieczora zaproszona do "Wysokich Drzew". Stuart dzwonił do mnie kilka razy, mówiąc, że zawsze jest mu miło mnie widzieć.

Drzwi otworzyła pani Randall. Zaprowadziła mnie do salonu. Stuart siedział otoczony katalogami ogrodniczymi. Odwrócił się i powitał mnie z uśmiechem.

- Nareszcie w domu, Carla. Tęskniłem za tobą.

- Myślę, że miałaś wokół siebie mnóstwo ludzi, którzy ci dotrzymywali towarzystwa.

Pokiwał głową.

- Oczywiście. Ale nie ciebie.

Przez chwilę czułam się mile polechtana.

- Jean też mnie opuściła - powiedział.

- Jest zajęta. Zmiany w fabryce.

- Wieczorami? - spytał kpiąco. - Dzwoniłem do niej kilka razy i nie było jej.

- Pewnie była w Staten Court.

- Nie sądzę. Wybrałem się tam parę dni temu. Adrian mówił, że nie widział jej od wieków.

- Stuart, byłeś ostatnio w Lasku Lotti?

Potrząsał głową.

- Znasz starą chatę, prawda? Myślę, że ktoś tam mieszka. Drzwi są wzmocnione, a w oknie wisi zasłonka. Oskar był tym bardzo zainteresowany.

- Prawdopodobnie jakiś włóczęga - rzekł obojętnie. - Czy Jean mówiła ci, że planuję przyjęcie w nowym domu?

Nie, Jean nic mi o tym nie mówiła. Odkąd wróciłam, ani razu nie wspomniała o Stuarcie, ani o "Wysokich Drzewach", toteż miałam wrażenie, że wreszcie pogodziła się z tym, że dom nie należy już do niej.

- Pewnie myślała, że mi o tym mówiłeś - powiedziałam.

Poczułam się nieco dotknięta i znowu niepotrzebna.

- Co o tym myślisz?

- To świetny pomysł.

- Jean mówi, że powinienem zawiadomić sąsiadów, a ja chciałbym zaprosić kilku przyjaciół z Londynu. Przyjdź jutro na lunch, chcę ci pokazać ulepszenia, które wprowadziłem. I weź Oskara.

Chata Lotti nie dawała mi spokoju.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, wzięłam Oskara i wyruszyłam rozwiązać zagadkę. Gdy przyszlismy, drzwi nie były już zamknięte na klucz, a na oknie nie wisiała zasłonka. Weszłam do środka. Chata była pusta, ale unosił się w niej trudny do zdefiniowania zapach świadczący, że ktoś tu mieszkał. Stwierdziłam, że ów ktoś wystraszył się mojej wczorajszej wizyty i uciekł.

Wspomniałam o tym incydencie Jean. Poszłam okrężną drogą do wytwórni i zastałam Jean rozmawiającą z budowniczymi. Zaskoczyło mnie, że prace są już tak zaawansowane, a spojrzawszy w plany, stwierdziłam, że przedsięwzięcie jest doprawdy imponujące.

- Chata Lotti? Naprawdę, Carla, czasami jesteś głupiutka. Może to kryjówka jakiegoś kryminalisty? Na miłość boską, trzymaj się z daleka! - mówiła to tak gwałtownie, że zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wie więcej, niż mówi.

Gdy wróciła, poinformowała mnie, że nie będzie jej w domu przez parę nocy. Nie powiedziała jednak, dlaczego, ani też dokąd się wybiera. To było niezwykle w jej wypadku - stała się bardzo tajemnicza.

Następnego dnia poszłam na lunch do "Wysokich Drzew".

Stuart wypatrywał nas na mostku. Oskar wyprzedził mnie i pobiął przywitać się z nim.

- Czy ty i Jean zawsze stoicie na mostku? Rozciąga się stąd piękny widok.

- Dlaczego?

- Ktoś stoi tu zawsze o zmroku. Nie podszedłem nigdy na tyle blisko, żeby zobaczyć, kto to jest.

- Na pewno nie ja. Przecież mnie tu nie było.

Nie rozwinął tematu, więc poszliśmy przez posiadłość. Zmiany były widoczne. Ziemia została już przygotowana do nasadzeń, trawniki przystrzyżone, szklarnie naprawione i czystutkie.

Randallowie już się zadomowili. Pani Randall była dobrą kucharką i świetnie dbała o dom.

- Tansy nie skłoniła cię do zderzenia boazerii - powiedziałam, gdy siedliśmy przy stole.

Skrzywił się.

- Tansy jest entuzjastką stali i szkła, twardego i jasnego. Mówi, że ten pokój ją przyciąga. Wątpię, żeby często tu przyjeżdżała.

"Pobożne życzenie, Stuart" - pomyślałam.

Tansy nie pozwoli, żeby jakiś tam kawałek dębowej boazerii zepsuł jej plany.

- A propos, kiedy cię nie było, widziałem Jean w "Błękitnej Róży". Jadła obiad z jakimś facetem, ale nie był to Adrian.

- Nie przedstawiła cię? - spytałam lekko.

- Nie - odparł szorstko. - Odwróciła się do mnie tyłem, wyraźnie dając do zrozumienia, że chce pozostać nie rozpoznana.

- Nie sadzę, żeby to był ktoś ciekawy, pewnie rozmawiali o interesach.

Moje wyjaśnienie go nie przekonało - mnie zresztą też.

- To wyglądało na bardzo intymne spotkanie - rzekł krótko.

Rysa między Jean a mną się poszerzała. Jediną przyczyną były moje szczerze słowa dotyczące Nickiego. Powinnam była trzymać język za zębami. Wierzyłam, że Nicki nas nie rozdzieli. Ale już wtedy, mimo zaprzeczeń Jean, Nicki planował powrót, którego ani ja, ani nikt inny nie był w stanie powstrzymać.

ROZDZIAŁ VIII

Jean wróciła po dwóch dniach, promieniejąca.

- Odwiedziłam starego przyjaciela - odpowiedziała mi na pytanie.

Poszła ze mną do ogrodu.

- Nic dziwnego, że ty i Stuart zgadzacie się ze sobą. Oboje macie fioła na punkcie ogrodów.

Porozmawiałyśmy o możliwości zrobienia małego wodnego ogrodu w dole, nad rzeką. Widziałam już oczyma duszy basen, lilie wodne i domek dla żab.

Siedząc na patio z filiżanką kawy, przyglądałam się ogrodowi z nieklamana przyjemnością. Od patio aż do brzegu rzeki ciągnął się długi, prosty trawnik przecięty wąską linią ścieżki. Skraj trawnika zdobiły kwitnące kolorowo krzewy, a za nimi rosły drzewa. Ogródek różany mieścił się przy domu, tak, byśmy mogły cieszyć się bogactwem jego barw i zapachów. Na obrzeżach ogrodu i na brzegu rzeki rosły drzewa.

Chciałam założyć mój ogród wodny na końcu trawnika i myślałam nawet o fontannie.

- Chyba pójde porozmawiać ze starym Willisem - powiedziałam. Jest doświadczonym kamieniarzem. Jestem pewna, że mógłby zbudować basen i ogród skalny.

Pełna zapału zeszłam na dół po High Street, żeby odnaleźć Willisa. Jego dom stał naprzeciw kościoła. Odkąd odszedł na emeryturę, zajmował się konserwacją i drobnymi naprawami grobów na przykościelnym cmentarzu.

Mój pomysł mu się spodobał, obiecał zamówić materiały i rozpocząć pracę, gdy tylko mu je przywiozą. Idąc z powrotem, zaszłam do domu towarowego i na pocztę.

Ujrzałam tam Tansy. Była ubrana w obcisłe centrowane spodnie i złoty top odsłaniający ramiona. Błyszczący materiał podkreślał jasną barwę włosów opadających luźno na plecy. Wyglądała jak egzotyczny kwiat, który nie wiadomo czemu wplątał się w bukiet stokrotek.

- Cześć Carla. Spójrz na to!

Trzymała w dłoni pocztówkę wyjętą ze stojaka.

- Ależ to starocie, prawda? Mogę się założyć, że ma co najmniej trzydzieści lat. Spójrz tylko na te sukienki.

Przed naszymi oczami rozciągał się widok na plac przed kościołem. Trzy kobiety w skrytykowanych przez Tansy sukienkach kroczyły dostojnie.

- Czy to nie perła? - głośny śmiech Tansy zwrócił uwagę spokojnych, poważnych urzędników. - Muszę ją mieć. Zbieram pocztówki.

Zapłaciła za kartkę i zaczęła, aż kupię znaczki pocztowe i herbatniki dla Oskara. Wyszliśmy razem.

Zaprosiłam ją do domu na kawę. Jean nie było. Oskar nie należał do fanów Tansy i biegł po ogrodzie zajęty własnymi sprawami.

Tansy usadowiła się na sofie na patio, a ja wyniosłam tam tacę z kawą.

- Czy tu w ogóle coś się dzieje? - spytała. - Jak ty to znosisz?

Spokojnie nalałam kawy do filiżanek i zaproponowałam herbatniki, ale odmówiła.

- Kocham to miejsce. Nie mogłabym być szczęśliwa nigdzie indziej.

Spojrzała na mnie, jakbym była nienormalna.

- Nie lubisz wsi, Tansy?

- To zależy. Nie chodzi o krajobraz, lubię wiejski krajobraz, ale nie ludzi. Oni zawsze robią wrażenie takich cnotliwych - skrzywiła się. - Weźmy na przykład starego Stu i to, co się z nim dzieje. Czy on zamierza zakopać się żywcem w tej zabitej deskami dziurze? Chwilami robi wrażenie, jakby był psem o dwóch ogonach i merdał oboma jednocześnie. Zastanawiałam się, jak długo to potrwa? Na pewno wkrótce zechce wrócić do miasta.

- Wnoszę z tego, że nie zakochałaś się w "Wysokich Drzewach".

- Czy to żart? Dom jest ponury jak trupia główka z puszczelami. Te ciemne boazerie na ścianach, staromodne meble, pani Randall, która się wszędzie kręci i ściera kurze. Brrrr, to okropne.

- Myślałam, że może ty i Stuart...

- Ha! Znowu żart. Stu wije się jak piskorz. Wykręcił się z jednego małżeństwa i teraz nie zamierza się uwięzić w drugim.

- Nic mi nie mówił na ten temat - zaczęłam.

- Och, na pewno nic ci nie powie o tej pomyłce. Nie, kochany, stary Stu! Złapał dobrą i porządną, to się ożenił.

- Nie był zakochany?

Rzuciła przesywające spojrzenie.

- Może był, może nie był, ale na pewno był zainteresowany jej obietnicami. Jej ojciec miał poważny interes, oczywiście też ogrody. Tylko, że staremu Stu nie przypadł do gustu, i został wylany z posady.

Jej cyniczny opis małżeństwa Stuarta przeraził mnie. Nie wierzyłam, że to prawda.

- Rozwiódł się z Madam trzy lata temu, ale ja znam go od wieków - jej głos pełen był tęsknoty. - Jest dobrym przyjacielem, Carla. Nigdy cię nie zawiedzie. Nie znam nikogo takiego jak on - uśmiechnęła się. - Chyba wiesz, że dużo myślę o starym Stu.

Nie powiedziałam jej oczywiście, że moje zainteresowanie Stuartem stawało się trochę obsesyjne. Tansy z pewnością nie oceniała moich szans u niego zbyt wysoko.

- Jest w dobrej komitywie z Jean - zamyśliła się. - Dostaję cholery, jak słyszę, że Jean to, czy Jean tamto. Ona jest jakaś dziwna, prawda? Jest w niej coś, co mnie irytuje. Robi wrażenie, jakby czekała na coś lub na kogoś. Przywodzi mi na myśl dziwaka, który stoi na parapecie okiennym wysoko i zastanawia się, czy ma wyskoczyć czy nie.

- Chyba nie masz racji, Tansy.

- Nigdy się nie myłę co do ludzi - utkwiała we mnie wzrok.

- Na przykład ty, Carla. Moim zdaniem masz jakąś zdrę w przeszłości. A co z tym Adrianem? Kocha się w tobie czy w Jean?

- Adrian i ja jesteśmy przyjaciółmi - powiedziałam chłodno.

- Idziesz do "Wysokich Drzew" na lunch?

- A która godzina? - spytała, podnosząc się z sofy. - Zgubiłam zegarek.

- Musisz się spieszyć, jeżeli nie chcesz się spóźnić.

- Randall zachowuje się, jakby była w wojsku. Oczekuje, że gdy przynosi jedzenie, będziemy siedzieć grzecznie przy stole. Nie wiem, jak Stu to wytrzymuje. Lubię cię, Carla. Jesteś tu jedyną osobą, z którą można porozmawiać. Dlaczego nie przyjedziesz do Londynu? Mogłabym ci pokazać, jak miło można spędzić czas.

- Chwilowo jestem bardzo zajęta, Tansy. Ale dziękuję za zaproszenie. Kiedy wracasz?

Wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna. W przyszłym tygodniu mam sesję fotograficzną.

Gdy myślałam filiżanki po kawie, weszła Jean.

- Miałaś gościa? - spytała.

- Tansy.

- Stuart mi mówił, że sama się wprosiła. Nie chce rozmawiać o przyjęciu dopóki nie wróci do Londynu.

- Dlaczego nie? - spytałam, obracając się, żeby ją widzieć. - Na pewno by się ucieszyła.

Jean wyglądała na zadowoloną z siebie.

- Och, nie. Stuart mnie prosił, żebym zrobiła listę gości. Znam wszystkich jego sąsiadów.

- Ja również, Jean. Kiedy mój ojciec praktykował, znaleźliśmy wszystkich mieszkańców Merton Malling.

- Zmartwiłam cię? Stuart pomyślał po prostu, że jesteś zbyt zajęta, żeby zwracać ci głowę przyjęciem, a ja jestem przyzwyczajona do urządzania przyjęć w " Wysokich Drzewach. " Umyć sałatę na lunch?

Próbowałam zrozumieć wywód Jean, ale to i tak nie uchroniło mnie przed poczuciem, że znowu znalazłam się na uboczu. Postanowiłam jednak nie przejmować się tym zanadto.

Po lunchu Jean wróciła do wytwórni, a ja z Oskarem wybrałam się na przechadzkę po polach. Trwały już żniwa.

Ścieżka biegła brzegiem pola, a koło mostka rozwidlała się. Oskar podjął decyzję - Lasek Lotti to było jego terytorium; pobiegł więc naprzód, a ja wlokłam się z tyłu. Mimo, że przeprowadziłam we wsi dyskretne dochodzenie na temat chaty Lotti i jej ewentualnych mieszkańców, niczego się nie dowiedziałam. Podeszłam do niej - drzwi były zamknięte. Zawahałam się, ale pchnęłam je. Pod przeciwległą ścianą leżała wiązka słomy wyglądająca jak czyjeś legowisko. W kącie stała pusta butelka po winie. Podniosłam ją, żeby obejrzeć etykietę. Jakież było moje zdumienie, gdy stwierdziłam, że to Niersteiner, ulubione wino Jean i moje.

W kominku leżały dwa tekturowe kubki i kilka papierowych toreb z firmowym znakiem cukierni w Mertonbury.

"Miejsce sekretnych schadzek - pomyślałam. - Ale kto? I dlaczego tutaj?" Mieszkałam we wsi już tak długo, że znałam wszystkie sekretne miejsca. Chata Lotti takim nie była. Pamięć o uchodzącej za czarownicę kobiecie, która mieszkała tu i umarła, nie sprzyjała romantycznym spotkaniom. Jedyne, co mogłam wywnioskować, to to, że ludzie, którzy się tu spotykają, nie dbają o stare legendy i ponure otoczenie. A jedno było niemal pewne: w Chacie Lotti nikt ich nigdy nie odkryje.

Przemyśliwałam nad tym przez całą drogę i nagle przypomniałam sobie tajemniczy telefon z Mertonbury, który mnie tak zaintrygował, gdy przebywałam w Redlands Hotel.

W następnym tygodniu znów musiałam jechać do Bournemouth, a gdy wróciłam na weekend, stwierdziłam, że przygotowania do party u Stuarta były już mocno zaawansowane. Planowano je na ostatnią sobotę sierpnia, więc w nadchodzącym tygodniu w jednym z

ekskluzywnych sklepów w Bournemouth kupiłam sobie wspaniałą zieloną suknię.

Wróciłam w sobotę późnym popołudniem. Jean nie było, na stole w kuchni znalazłam wiadomość, że jest w "Wysokich Drzewach", i że Stuart zaoferował jej na czas przyjęcia dawny pokój.

Oskar był nadąsany.

- Spacer - powiedziałam.

Błyskawicznie podniósł się z legowiska i wyruszyliśmy na pola. Rzucił się w pościg za czterema królikami, zającem i przyniósł mi zdechłego kreta, ale zmusiłam go, żeby natychmiast wyrzucił trupka.

Kiedy otworzyłam drzwi, usłyszałam dzwonek telefonu.

- Carla - powitał mnie znajomy głos Adriana. - Czy mogę odwieźć Jean i ciebie na party?

Wyjaśniłam mu, że Jean już tam jest, ale że będzie mi bardzo miło, jeśli zechce mi towarzyszyć. Ubrałam się starannie. Byłam w Bournemouth u fryzjera i miałam nową fryzurę - trzeba przyznać perfekcyjną.

- Wyglądasz cudownie, Carla - Adrian zmierzył mnie zachwyconym wzrokiem.

Aleja "Wysokich Drzew" była zastawiona parkującymi wozami, więc skierowałam Adriana na tyły. Przy garażach stały tylko dwa samochody: mini Jean i jaguar Stuarta.

Jak niegdyś - Adrian podał mi ramię, gdy wchodziliśmy po schodach. Weszliśmy przez szerokie drzwi do hallu. Dom pulsował gwarem rozmów, we wszystkich pokojach paliły się światła.

- Ostatnie duże party w tym domu to były dwudzieste pierwsze urodziny Jean - wspominał Adrian. - Nicki zrobił, co mógł, żeby je zepsuć.

Wyrzuciłam z siebie te wspomnienia, zepchnęłam głęboko w niepamięć. Przeszłe zdarzenia, które ranią, najlepiej jest zapomnieć, póki nie będzie ich można wspominać już bez bólu, zagojonych przez czas.

Przybyłych gości witał kwadratowy hall wyłożony czerwonym dywanem. Stuart i Jean stali pod migotliwym, szklanym kandelabrem, reliktem minionych dni.

Obserwowałam ich przez chwilę. Jean uśmiechała się, uświadomiłam sobie, że przecież to jest miejsce, do którego należy.

Była ubrana w prostą białą suknię, na szyi i w uszach miała rodowe klejnoty Litchellów. Jej kasztanowe włosy zdawały się płonąć, rozpalone refleksami światła. Usłyszałam pełne zachwyty westchnienie Adriana.

Stuart spostrzegł nas i ruszył naprzód, wyciągając rękę. Chwycił moją w mocnym uścisku.

- Wyglądasz ślicznie, Carla. Prawda, Adrian?

- Oczywiście - odrzekł Adrian, ale oczy miał utkwione w Jean.

Stuart podał mi ramię.

- Chodźmy do salonu. Jean ułożyła kwiaty.

Weszliśmy razem do salonu, gdzie natychmiast powitali mnie przyjaciele, których nie widziałam, odkąd moi rodzice wyjechali za granicę. Musiałam przyznać, że salon wyglądał wspaniale. Odnosiłam wrażenie, że wszystkie meble z "Wysokich Drzew" stoją na swoim miejscu. Srebra błyszcząły, kwiaty rozsiewały subtelny woń.

Stuart zaprowadził mnie do stołu z drinkami. Przy jednej ze ścian stał długi stół, nęcący wykwinutym jedzeniem. W sąsiedztwie rozsiane były mniejsze stoliki i krzesła.

- Doskonale, Stuart.

Uśmiechnął się, oczy mu zabłysły. Widać było, że rola pana domu, wobec nowych i starych przyjaciół, bardzo mu odpowiada.

Wzięłam drinka i ruszyłam, aby pogawędzić z przyjaciółmi moich rodziców. Rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu Tansy, ale nigdzie jej nie dostrzegłam. Dzwoniła do mnie w zeszłym tygodniu, zapraszała do West End na film, w którym grała niewielką rolę.

- W sobotę - powiedziała.

- Zapomniałaś, przecież jest party u Stuarta!

W słuchawce zapadła cisza, potem Tansy powiedziała: "O, tak" i odłożyła słuchawkę.

W salonie było jakieś trzydzieści osób, gawędzących w małych grupach. Nie sposób by z pewnością przeoczyć Tansy.

Jean przeszła z hallu do bufetu, zachęcając gości, aby poszli w jej ślady. Paul Randall czuwał nad drinkami; musiałam przyznać, że organizacja przyjęcia jest doskonała.

Podeszłam do Jean, wzięłam talerz i nałożyłam sobie jedzenie.

- Gdzie Tansy? Nie widzę jej.

Jean zaczerwieniła się.

- Pomyśleliśmy, że ona tu nie pasuje.
- Stuart tak pomyślał? Jestem zaskoczona.
- Czym jesteś zaskoczona, Carla? - Stuart pojawił się przy mnie.
- Szukałam Tansy. Jean mówi, że nie została zaproszona.

Jean i Stuart spojrzeli na siebie jak winowajcy.

- Jest bardzo zajęta - rzekł Stuart.

- Ale nigdy tak zajęta, by nie móc przyjść na party. Mówiła mi, że przyjęcia nadają smak życiu i dlatego je uwielbia.

Stuart był zmieszany, ale nie dbałam o to. Widziałam zbieżność naszych losów: ona też została zlekceważona i odsunięta, i nie wątpiłam, że to sprawka Jean.

- Ona nic nie wie - zaczęła Jean.

- Obawiam się, że wie. Powiedziałam jej - oboje wyglądali na przerażonych.

- Carla, jak mogłaś? - Jean była zła.

- Nie wiedziałam, że to taki sekret. Ani przez moment nie przypuszczałam, że Stuart może pominąć kogoś ze swych przyjaciół. W każdym razie - powiedziałam, patrząc w kierunku drzwi - ona po prostu stwierdziła, że nie potrzebuje zaproszenia.

Do pokoju wkroczyła Tansy. Głowy gości obróciły się w jej kierunku, rozmowy zostały przerwane w pół słowa. Zrobiła prawdziwe "wejście" i rozkoszowała się każdą jego sekundą. Miała na sobie obcisłą, czerwoną sukienkę z dużym dekoltem i wysokimi pęknięciami, ukazującymi jej długie, ubrane w czarne pończochy nogi. Podniesione do góry, opadające kosmykami i loczkami, włosy podtrzymywała czerwona aksamitna wstążka. Niosła wiązankę czerwonych róż.

- Stu - podeszła do niego, objęła go ramionami i pocałowała w usta. - Cóż za wspaniałe przyjęcie! Przepraszam, że się spóźniłam. Przyproceedziłam ze sobą przyjaciół. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Do salonu wkroczyło dumnie dwóch młodzieńców. Ośmieliłabym się stwierdzić, że Tansy ściągnęła ich z Carnaby Street. Ich postawione czuby mieniły się kolorami tęczy. Ubrani byli w obcisłe spodnie i długie marynarki. Odezwali się do Stuarta buńczucznie.

- Cześć Stu, dawnośmy się nie widzieli. Miłe, nieduże gniazdko, co?

Rozejrzałam się wokół. Goście byli oszołomieni, szczególnie ci, którzy pochodzili z naszego hrabstwa. Mężczyźni nic nie mówili, ale kobiety skupiły się razem, stuliły, jakby chciały stworzyć zapórę przeciwko wspólnemu wrogowi. Jean pałała gniewem.

- Jak śmiałaś przyjść tu nie zaproszona? - syknęła. - I jeszcze przyprowadzić te... te kreatury?!

- Czy to twoje przyjęcie? Myślałam, że Stuarta. To dom Stu, jego alkohol i jego jedzenie.

Stuart doszedł już do siebie, po jego ustach przemknął cień uśmiechu.

- Jak zwykle mocne wejście, Tansy - odwrócił się do gości. - Przedstawiam państwu: Tansy Parker. Przypuszczam, że niektórzy z państwa znają ją z filmu lub z telewizji. Ci młodzi ludzie to muzycy. Zapomniałem, jak nazywa się wasz zespół. Przynieśliście instrumenty?

- Tansy mówiła, że idziemy na przyjęcie. Ludzie, jesteśmy z grupy Bang Boys. Nazywam się Jas, jestem wokalistą, a Darren gra na gitarze.

Stuart zabrał nowo przybyłych do stołu z drinkami, a Tansy obróciła się do mnie. Roześmiała się.

- Carla, widziałas te miny? Nie sądzisz, że Stu jest na mnie wściekły? - nie czekała na moją odpowiedź. - No, no, widzę, że pani Randall przyrządziła mnóstwo smakołyków. Czuję, że zrobię skok do stołu.

Jean skinęła na mnie.

- Nie wybaczę ci tego. Naumyślnie jej powiedziałaś. Chciałaś go skompromitować przed naszymi przyjaciółmi.

- Twoimi przyjaciółmi Jean. Coś mi się wydaje, że Tansy i Bang Boys postarają się, żeby party było niezapomniane.

Ale nie miałam racji. Tansy i jej chłopcy nie byli jedynymi nieproszonymi gośćmi. Oto do salonu wkroczył mężczyzna: jego pojawienie zaskoczyło wszystkich. Po pokoju przeszedł szmer.

Spojrzałam na Jean. Uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce w powitalnym geście. Powoli podeszła do niego, on zaś chwycił jej dłonie i przyciągnął ją blisko do siebie.

Odwróciła się do Stuarta.

- To Nicki Litchell, mój kuzyn.

Czy była pewna, że Stuart przyjmie bez zastrzeżeń zaproszenie Nickiego? Nie wyglądało na to. Stuart miał ponurą minę. Zignorował wyciągniętą dłoń Nickiego i spojrzał na Jean. Na jej policzki i szyję wystąpił rumieniec.

Mówił bardzo cicho, ale przysunęłam się bliżej do niego i słyszałam każde słowo:

- Zdaje mi się, że zbyt wiele wzięłaś na siebie. Nie mówiłaś mi, że zaprosiłaś swojego kuzyna.

- Stuart, tak mi przykro. Nie wiedziałam...

Postąpiłam naprzód.

- Cześć Nicki. Wciąż krążysz wkoło, jak zły pieniądz.

- Carla - nic a nic się nie zmieniłaś. Wciąż masz cięty język. I wciąż - jak słyszę - wtrącasz się w sprawy Litchellów.

Spojrzałam na niego i ani chybi bym się odcięła, gdyby nie nagła interwencja Tansy, która się do nas przyłączyła.

- Stu czy chłopcy mogliby zagrać?

Skinał głową, a ona krzyknęła coś do nich.

- Przedstaw mnie, Jean. To do ciebie podobne - trzymać najatrakcyjniejszego faceta przy sobie.

Nicki się uśmiechnął. Serce mi drgnęło, ten uśmiech miał w sobie jakąś magię.

- Tak, Jean. Przedstaw nas - ujął Tansy za rękę. - Gdzie byłaś całe moje życie?

Tansy zachichotała, w jej oczach pojawił się błysk.

- Porozmawiajmy - powiedziała. - Myślę, że łatwo znajdziemy wspólny język.

Ruszyli z miejsca i wmieszali się w tłum. Rozległy się dźwięki muzyki Bang Boys. Wśród brzdąkania elektrycznej gitary Stuart powiedział coś do Jean, niestety, byłam zbyt daleko, by słyszeć i oboje weszli do pokoju.

Podszedł do mnie Adrian.

- Czy Jean wiedziała, że Nicki wrócił?

- Nie wiem. Nawet jeśli wiedziała, nigdy mi o tym nie wspominała. Och, Adrian, co ja mówię! Oczywiście, że wiedziała, i to na pewno ona zaprosiła go na przyjęcie.

Wydawało mi się, że mogę wskazać moment, kiedy się z nią kontaktował. Oczywiście wtedy, gdy się zastanawiałam, skąd u niej taki przyływ energii.

Było to tak, jakby odkrecono kurek jej serca, z którego trysnęła miłość, napełniając ją tajemniczym szczęściem. Szczęściem, którym z powodu przeszłości, nie podzieliła się ze mną.

Jakich kłamstw naopowiadał jej Nicki o sobie i o mnie? Czy wyparł się swoich oświadczeń, wyśmiał je przed nią, twierdząc, że były nieważne i bez znaczenia? Ona w to uwierzy, we wszystko uwierzy, byleby tylko on należał do niej.

Spojrzałam w jego kierunku. Flirtował otwarcie z Tansy, która traktowała to jako coś zupełnie normalnego. Są siebie warci, pomyślałam, i od razu się znaleźli.

- Carla. Znam prawdę - Adrian pochylił głowę i mówił cicho. - Mówię o tej pożyczce pana Litchella i faktach związanych z jego śmiercią.

- Ronald nie miał prawa...

- Jak najbardziej miał prawo - przerwał Adrian. - Pieniądze które pożyczył, to pieniądze rodziny, musiał o tym powiedzieć matce i mnie. Zgodziliśmy się.

- Więc czemu nie powiedziałaś Jean, gdy zmarł pan Litchell?

- Być może to było złe. Ale widzisz, wydawało mi się, że lepiej nie mówić takich rzeczy osobie pogrążonej w żalobie.

- A teraz?

- Umowa była w rękach naszych doradców prawnych. Jean musi się kiedyś dowiedzieć, skoro Nicki wrócił.

- Czy ty sobie wyobrażasz, Adrian, że jak pozna prawdę, to coś się w niej zmieni? Będzie załamana, że jest twoją dłużniczką. Dlaczego się zgodziłeś na tę pożyczkę?

- Myślałem, że ona nigdy tego nie odkryje. Gdyby pan Litchell nie umarł, nie dowiedziałaby się. Wszystko byłoby w porządku. Kocham ją.

- I myślałeś, że będziesz miał nad nią władzę.

- Nie - ścisnął mnie za ramię. - Carla nie możesz tak myśleć.

- Przepraszam, Adrian, nie miałam tego na myśli. Wiem, jakie nieszczęście Litchellowie przynoszą innym. Oni są skażeni...

Przerwał mi:

-Nie Jean, ona jest...

- Ofiarą - wypowiedziałam to słowo, bo ja również byłam ofiarą Nickiego, jego wdzięku, pożądlivości i bezwzględności.

- Carla, myślisz, że mam jeszcze jakieś szanse?

- Mam nadzieję, że tak. Ale będziesz musiał być cierpliwy.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Stuarta i Jean, ale wciąż ich nie było, więc poszłam ich poszukać.

Stuart był w gabinecie. Siedział przy biurku, gdy weszłam, spojrzał na mnie ufnie.

- Och, Carla!

- Zaniedbujesz gości - powiedziałam sztywno.

Zignorował moją reprimendę.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Jean ma kuzyna? Dlaczego wypiera się przede mną, że go zaprosiła?

- Spokojnie Stuart. Nie powiedziałam ci, bo byłoby to bezcelowe. Miałam nadzieję, że już nigdy nie wróci. Być może, ona go wcale nie zaprosiła. Nicki na pewno myśli, że nie potrzebuje zaproszenia do "Wysokich Drzew" - przerwałam, uświadamiając sobie, że wkraczam na niebezpieczny teren.

- Dlaczego nie? Myślałem, że Jean jest jedyną właścicielką domu.

- Tak jest. Ale Nicki mieszkał tu, zanim odszedł.

- Rozumiem. Więc dlatego mówiła, że go oszukuje.

- Stuart - powiedziałam stanowczo. - Zostaw to w spokoju. Czemu się tu ukryłeś? Czy Jean cię zmartwiła?

- Jest zła na mnie. Poprosiłem ją tylko o wyjaśnienie. Nie podobają mi się te wszystkie sekrety. Za dużo ich. Dlaczego nikt nawet o nim nie wspomniał?

- Pokłócili się z ojcem Jean, i wkrótce potem pan Litchell zmarł.

Stuart spojrzał uważnie.

- Jak do tego doszłaś?

- Nijak. Samo wyszło na jaw - skłamałam. - Gdzie Jean?

- W swoim pokoju - wstał. - Byłem chyba za bardzo porywczy. Mogłabyś ją przeprosić i poprosić, żeby zeszła? Wiesz, pokłóciliśmy się też o Tansy - uśmiechnął się i dotknął lekko palcami mojego ramienia.

- Jesteś dobrą przyjaciółką, Carla.

Poczeakałam, aż zejdzie do salonu i znów weszłam po schodach. Drzwi jej pokoju były zamknięte. Nacisnęłam klamkę i weszłam.

Siedziała skulona na starym, dużym krześle, które zawsze tu stało. Rozejrzałam się wokoło. Pokój wyglądał identycznie jak niegdyś, zanim sprzedała dom.

Pełna słusznego gniewu, siadłam na łóżku.

- Jean, u diabła, co ty knujesz? Co chcesz zrobić Stuartowi?

- Stuart, Stuart. Ty myślisz tylko o Stuarcie. Masz fioła na jego punkcie.

- Nie przesadzaj - odparłam chłodno. - Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. A ja nie pozwolę, żeby raniono moich przyjaciół. Dlaczego sprowadziłaś Nickiego?

- Nie sprowadziłam. Właśnie dopiero co się pokazał.

- A ty przywitałaś go z otwartymi ramionami. Myślę, że dowiedział się, że twój ojciec nie żyje i stwierdził, że może wrócić bezpiecznie.

- Carla, czemu mówisz takie straszne rzeczy? Jesteś strasznie nieczuła.

- Co wy oboje knujecie?

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, ale tym razem nie dałam się nabrać.

- Knujemy? Jesteś szalona, Carla. Wiedziałam, że pewnego dnia Nicki wróci. Byłam nikczemna - on teraz nie ma domu, ja go sprzedawałam - zaczęła płakać.

- Przestań - pochyliłam się nad nią i delikatnie nią potrząsnęłam. Ale po jej policzkach wciąż płynęły łzy. Znalazłam chusteczkę i otarłam jej oczy.

- Sprzedałaś "Wysokie Drzewa", bo Nicki o mały włos nie zrujnował twojego ojca. Więc weź się w garść i stań oko w oko z faktami.

- Nie mogę - zakwiliła. - Muszę pomóc Nickiem u. Tylko to jest słuszne.

- Boże, jaka ty jesteś słaba. Mów sobie, co chcesz, ja muszę mieć pewność, że tym razem nie zrobi krzywdy ani tobie, ani mnie.

- Nie, nie - z jej oczu trysnęły nowe łzy. - Proszę cię, Carla, nie rób nowych kłopotów. Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką.

- Jestem, i to udowodnię - rzekłam twardo. - A teraz umyj twarz, zrób sobie makijaż i idźmy na dół. Chcesz zepsuć Stuartowi party? A propos, nie sądzisz, że to ty powinnaś go przeprosić.

Nic nie powiedziała, starła z twarzy ślady łez, a ja zrobiłam jej makijaż i poprawiłam włosy.

- Carla, nie opuszczaj mnie.
- Pewnie, że cię nie opuszczę. Ale o tym przyjęciu jeszcze długo będzie się mówić w Merton Mallingu.

Ramię w ramię zeszyliśmy po schodach i weszliśmy do salonu. Nie było wątpliwości, że przyjęcie jest udane. Gwar rozmów zagłuszał nawet dźwięki muzyki Bang Boys. Stuart stał w centrum dużej grupy. Pan Randall roznosił drinki, a jego żona serwowała przekąski. Tansy była w swoim żywiole. Przechodziła od jednej grupy do drugiej, śmiała się, rozweselała gości. Jej tajemnicą sukcesu - pomyślałam - jest to, że daje innym część siebie. Podziwiałam ją.

Zaprowadziłam Jean do stołu z drinkami. Podeszła do nas Tansy.

- Świetne przyjęcie - spojrzała na nas zaciekawiona. - Zdaje mi się, że gdzieś zniknęłyście na chwilę. Stary Stu zawsze był gościnnie, ale nie sądziłam, że wy też macie tylu znajomych. Być może zmienię zdanie na temat życia na wsi - spojrzała na Jean. - Stu zasłużył na burę.

- Lubisz takie przyjęcia? Myślałam, że to za nudne dla ciebie - Jean miała zamiar wbić Tansy szpilę, ale nie udało jej się.

- Lubię wszystkie przyjęcia. Są tacy, co mówią: "Jedz, pij i weź sobie kobietę. Życie jest krótkie." Zgadzam się z tym całkowicie.

Podszedł do nas Adrian i ująwszy Jean za ramię, odciągnął ją. Tansy obejrzała się za nimi.

- Hej, Carla, ten gość, Nicki, co on tu robi? Nie lubi Stu i ciebie chyba też. No zobacz.

Ulotniła się, a ja napełniłam sobie kieliszek i stojąc przy stole popijałam wino.

- Unikasz mnie? - Nicki ścisnął mnie za ramię. - Chcę z tobą pomówić.

Próbowałam uwolnić się z jego uścisku, ale trzymał mocno. Wyciągnął mnie, zaprowadził do gabinetu i wepchnął do środka. Trzasnął drzwiami i puścił moje ramię.

Odstawiłam pusty kieliszek i potarłam ramię.

- Myślałam, że jestem ostatnią osobą, z którą chcesz porozmawiać. W każdym razie ja nie mam ci nic do powiedzenia.

Uśmiechnął się, jego oczy rozjaśnił złośliwy błysk.

- Carla, kochanie - przymilał się. Wciąż zła?

- Nie - odsunęłam się od niego, tak że dzieliło nas biurko. - Nie obchodzisz mnie nic a nic, ale Jean mnie obchodzi. Nie masz chyba zamiaru zniszczyć jej życia, muszę być tego pewna.

Uśmiech znikł z jego twarzy.

- To nie twoja sprawa, Carla. Mogę zrobić z Jean, co zechcę. Spójrz - otworzył dłoń, a potem powoli zwinął ją w pięść.

Zakipiał we mnie gniew. Rozpalił moje żyły, jak rozgrzany do białości metal. Próbowałam otworzyć usta, ale nie byłam w stanie nic powiedzieć.

- Uświadomisz to sobie, moja słodka Carlo, kiedy o tym pomyślisz. Zostałem pozbawiony domu i to twoja wina - przysunął się bliżej.

- Nie podchodź do mnie - krzyknęłam i chwyciłam leżący na biurku nóż do papieru.

Jego oczy zweziły się, podniósł ramiona w dzikim geście.

- Nie podchodź do mnie, bo... - wrzasnęłam z gniewu i strachu.

Otworzyły się drzwi i wszedł Stuart. Odetchnęłam z ulgą, Nicki odwrócił się do drzwi. Stuart podszedł do biurka i stanął przy mnie.

- Co się dzieje, Carla?

- Groził mi - wykrztusiłam.

Stuart objął mnie ramieniem i delikatnie wyjął mi nóż z ręki.

- Wynoś się, Litchell. Natychmiast. I jeśli kiedykolwiek złapię cię na mojej ziemi, wydam cię w ręce policji.

Twarz Nickiego pokrył ciemny rumieniec, oddychał ciężko. Zdawało się, że się szykuje do skoku. Przysunęłam się do Stuarta, który wciąż trzymał nóż: uniósł go celując w rękę Nickiego. Nicki cofnął się powoli.

- Przeprosisz mnie za to, Carla. Wiesz, że jestem zwycięzcą, i że zawsze dostaję, co chcę - przerwał. - Lepiej uważaj, Railie. Już raz była moja, teraz nie chciałbym jej nawet, gdyby mi dawali milion dolarów - otworzył drzwi i wyszedł.

Drżałam. Upadłabym, gdyby nie to, że Stuart mnie objął i podtrzymał. Łzy wypływały mi z zamkniętych powiek, jęczałam. Stuart opuścił mnie powoli na krzesło: próbowałam się uspokoić. Z pomocą przyszedł mi gniew: otarłam oczy i wyprostowałam się. Wylałam już tyle łez z powodu Nickiego, dosyć tego, ani jednej więcej!

- O czym on mówił, Carla? Czy ty i on...?!

- Tak. Jeszcze zanim on pokłócił się z panem Litchellem, byliśmy zaręczeni. Odszedł i aż do tej pory nic o nim nie słyszałam - wyzywająco podniosłam brodę i spojrzałam Stuartowi prosto w oczy.

- Czy dążenie do sprzedania domu nie było trochę twoją zemstą? - głos Stuarta był tak zimny, że zmroził mi serce.

Nie odpowiedziałam. Czy naciskałam na sprzedaż, chcąc odplacić Nickiemu za wszystkie nieszczęścia, których był przyczyną? Czy to był tylko obowiązek służbowy?

Byłam agentem majątkowym. Sprzedawałam domy. Ale czy nie dlatego radziłam Jean sprzedać dom, że chciałam, aby był poza zasięgiem Nickiego? Czy miałam na względzie dobro Jean?

- Nie odpowiadaj - Stuart usiadł i oparł głowę na rękach. - Chyba już wiem. Zaoferuję Jean, że oddam jej dom.

- Na miłość boską, nie! Proszę cię, poczekaj! Jeśli to zrobisz, Jean i jej fabryka będą zrujnowane. Czy ty nie rozumiesz, że Nicki jest mściwy, chciwy i bezwzględny? Zdepcze Jean jak robaka, który wszedł mu w drogę. Znam go.

- Obawiam się, że ci nie wierzę, Carla. Jesteś wciąż wściekła, bo on cię rzucił. Nie winię ciebie. Tak się zdarza. Ale musisz uważać.

Spojrzałam na Stuarta niewidzącym wzrokiem, moje oczy zasły mgłą. Przecież uważam. Kochałam Nickiego całą pasją pierwszej miłości, a teraz prochy tego uczucia uderzały mnie prosto w twarz.

- Stuart - wyciągnęłam rękę.

Odwrócił się.

- Idźmy stąd - powiedział i wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ IX

- Nie wiem, co robić - siedząc przy śniadaniu, rozejrzałam się po Bridgerach.

- Zjedz śniadanie, kochanie - powiedziała pani Bridger. - I ty też, Adrianie. Potem porozmawiamy.

Ronald uśmiechnął się do żony.

- Paula wierzy, że armie wygrywają bitwy z pełnym żołądkiem. I prawdopodobnie ma rację.

Mój niespodziewany przyjazd z Adrianem i Oskarem po przyjęciu u Stuarta w najmniejszym stopniu nie zakłócił spokoju i równowagi Pauli. Jej dom był tak zorganizowany, jakby piastowała w nim urząd premiera. Ronald, Adrian i trzy zamężne córki obracali się wokół niej, czerpiąc siły z jej obejmującej wszystkich miłości.

- Mam nadzieję, że Oskar nie zachowywał się źle - zaryzykowałam.

- Nie mogłam go zostawić za bramą.

- Źle zachowywał? - spytała Paula. Dlaczego taki miły i śliczny piesek miałby się źle zachowywać? Położył się razem z nami. Zastanawiałam się nad jego śniadaniem, bo chyba jednak herbatniki mu nie wystarczyły.

- Obawiam się... - zaczęłam z poczuciem winy w głosie.

- Psujesz go - stwierdziła zdecydowanie Paula.

- Wydarzenia poprzedniego wieczoru wciąż niebezpiecznie świeżo tkwiły w mojej głowie. Adrian znalazł mnie siedzącą nieruchomo w gabinecie.

- Masz kłopoty? - spytał. Skinęłam głową.

- Chodź, Carla, jedziemy do domu.

- A co z Jean?

- Nie martw się o nią. Zostaje tu na noc. Stuart się upiera.

Adrian odwiózł mnie do domu. Oskar bardzo się ucieszył naszym powrotem.

- Spakuj się - rozkazał Adrian. - Spędzisz noc w Staten Court

- Nie mogę zostawić Oskara - zaprotestowałam.

- Weź go - rzekł sucho.

Nasz przyjazd do Staten Court nie spowodował większego zamieszania. Paula - pulchna, ciepła, matczyna objęła mnie czule.

- Jak to miło cię widzieć, kochanie. Położymy ją we wschodnim pokoju, Ron. Rano jest tam słońce. Wygląda na zmęczoną, nieprawdaż? - spojrzała na Ronalda, a potem zdecydowała. - Idźcie na górę. Adrian zrobi ci gorącą kąpiel, a ja przyniosę ci potem szklanke gorącego mleka.

Jak dobrze być otoczonym tak czułą troską. Być przyjętym w rodzinie Bridgerów jako jedno z nich. Nie uświadamiałam sobie do tej chwili, jak bardzo tęskniłam za moimi rodzicami.

Niedzielne śniadania w Staten Court spożywano bez pośpiechu. Planowaliśmy dzień, rozmawialiśmy o minionym wieczorze. Paula nie

pytała o party u Stuarta, więc zgodłam, że Adrian już ze szczegółami opowiedział jego przebieg. Zamiast tego zaczęła opowiadać o obiedzie, na którym byli z Ronaldem.

- Okropne jedzenie, prawda, kochanie! Nie wiem, jakim cudem ten hotel jeszcze nie zbankrutował. Mowy były strasznie nudne, z wyjątkiem tej na cześć Rona. - Uśmiechnęła się do niego czule. - Befszyk był twardy - dodała poważnie. - My, w Yorkshire, wiemy, jak gotować, oni wcale.

- Zgadzam się, obiad był okropny - rzekł Ronald. - Porozmawiam z zarządem.

- Ty jesteś zarządem, tato. A w każdym razie jego aktywną częścią. Nie cierpię tych organizowanych obiadów. Nie rozumiem, czemu niby agenci majątkowi mieliby prowadzić wspólne życie towarzyskie.

- Ty w ogóle jesteś nietowarzyski, kochanie - Paula zwróciła się do mnie. - Słyszałam, że Randallowie to świetna para. Pan Railie miał szczęście, że ich znalazł.

Wyglądało na to, że konwersacja nigdy nie jest w stanie odbiec od "Wysokich Drzew". Czy Litchellowie zawsze musieli nas zdominować?

- Tak, bardzo mu odpowiadają. Ale... - przerwałam i rzuciłam Adrianowi rozpaczliwe spojrzenie.

- Jeśli wszyscy skończyliśmy - Ronald wstał od stołu. - Przejdźmy na taras, na słońce.

Siedzenie w wygodnym, ogrodowym krześle wcale mnie nie rozluźniło. Napięcie minionej nocy wróciło i nawet spokój ogrodu nie był w stanie go rozproszyć.

- Stuart zamierza oddać dom z powrotem Jean - powiedziałam.

Rodzina siedziała milcząc.

- Musimy go powstrzymać - rzekłam z desperacją.

- Myślę, że zrobiliśmy błąd - spokojnie powiedział Ronald. - Nie doceniliśmy Litchellów. Tak jak i ty, Carla, myślałem, że sprzedając dom, usuwając go z zasięgu Nickiego, ratujemy Jean. Ale nie byliśmy fair wobec Railie'ego, czy kogoś innego, kto kupiłby dom. Dzwoniłem do Stuarta. Myślę, że trzeba być uczciwym i powiedzieć mu wszystko. Wkrótce się tu zjawi.

Czułam, że się czerwienię. Nie mogłam się z nim spotkać, nie teraz. Jego gniewne słowa wciąż brzmiały mi w uszach. Wstałam.

- Nie macie nic przeciwko temu, że pójde z Oskarem na spacer?

- Proszę cię, usiądź Carla. Chcę, żebyś tu była. Jakikolwiek decyzje zapadną, musisz być przy tym - Ronald spojrzął na zegarek. - Będzie tu za chwilę.

Rzeczywiście, po chwili zjawił się Stuart. Wyglądał na zmęczonego. Pod oczami miał cienie. Nie mogłam na niego patrzeć.

- Usiądź, Stuart - Ronald podsunął mu krzesło. - To miłe z twojej strony, że przyjechałeś, tym bardziej po przyjęciu. Słyszałem, że powitanie było bardzo udane.

Oskar rozciągnął się na nagranych kamieniach tarasu.

- Powitanie i pożegnanie zarazem, Ronald. Zamierzam zwrócić dom Jean.

- Wiem, że niespodziewanie pojawił się kuzyn Jean - powiedział Ronald. - Czy to ma coś wspólnego z twoją decyzją?

- Oczywiście. Jeśli zostanie, Jean będzie nieszczęśliwa. A tego nie chcę. Nie mogę jej zranić, a poza tym nie czuję się tam dobrze. Litchellowie nigdy nie odeszli z tego domu.

- Mamy problem - rzekł Ronald. - Myślę, że powinieneś poznać wszystkie fakty.

Stuart spojrzął na nas po kolei, jak gdyby oceniał powagę sytuacji. Jego wzrok prześlizgnął się po mnie szybko, jakbym raziła jego oczy.

- Przykro mi, Ronald, ale nie interesują mnie ani problemy Litchellów, ani twoje. Szczerze mówiąc mam tego dosyć. Tansy ostrzegła mnie, że pożałuję kupna domu, i miała rację.

Paula pochyliła się i pogłaskała go po kolanie.

- Szkoda, że tak myślisz. Miałam nadzieję, że przywrócisz tym wspaniałym ogrodowi minioną świetność. Panna Litchell, ciotka Jean była niemal czarodziejką. To był charakterek: umyśliła sobie, że założy klinikę dla drzew - radosny uśmiech Pauli rozluźnił napięcie, które panowało między nami. - Zwykła była mawiać, że rośliny i zwierzęta kiedyś odziedziczą ziemię, a jej zadaniem jest upewnić się, które gatunki nie wyginą. Myślę, że byłaby twoją pokrewną duszą, Stuart.

Rozbawiony rzekł:

- Znalazłem jej książkę w bibliotece. Żałuję, że nie mogę jej poznać.

- Zaprosiłaby cię do domu - powiedziała Paula chytrze.

- Być może. Ale ona nie żyje, a Jean i jej kuzyn żyją. Wkroczyłem w niesmaczną scenę, którą on zrobił Carli. Odnoszę wrażenie, że jest

niebezpieczny - po raz pierwszy tego ranka jego wzrok spoczął na mnie.

Ronald skinął głową.

- Tak, on jest niebezpieczny. Nie możemy zostawić Jean bez obrony.

- On chyba nie skrzywdzi Jean? - spytał Stuart ostro.

Ronald zastanawiał się chwilę.

- Fizycznie chyba nie, wątpię. Nie, on pragnie mieć dom i wytwórnię. Widzisz, jego ojciec był najstarszym z braci, nie interesował się fabryką i wstąpił do marynarki. Osiadł ostatecznie w Nowej Zelandii, ożenił się i wysłał Nickiego do "Wysokich Drzew" do szkoły. Nicki zawsze myślał, że majątek powinien należeć do niego, pomimo, że stary pan Litchell zapisał go ojcu Jean. Majątek nie mógł być podzielony.

Stuart zamyslił się.

- Jesteś pewien, że nie zrobi jej fizycznej krzywdy? - znowu utkwiał we mnie wzrok.

Wszyscy patrzyli na mnie, musiałam więc powiedzieć prawdę.

- Nie masz racji, Ronald. Nicki jest gwałtowny i zdarzało się, że zarówno wobec Jean jak i wobec mnie używał przemocy. Prawda Adrian?

Adrian przygnębiony skinął głową.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Czy ojciec Jean wiedział?

Potrząsnęłam głową.

-Wszyscy troje baliśmy się go oskarżyć. Nicki wiedział, że cierpimy. Wynagradzał nam to, nieprawdaż? - znów zwróciłam się do Adriana.

- Robił się czarujący, gdy chciał coś osiągnąć. Kupował prezenty, przysięgał, że nie chciał... - powiedział Adrian.

-Nie mogę w to uwierzyć - odezwała się Paula. - Nicki był chodzącą słodyczą.

-Dwie twarze - przerwałam. - Ale nie o to teraz chodzi. Mogę cię zapewnić, że jeśli idzie o dom, Nicki pójdzie na całość - przerwałam i spojrzałam na Stuarta. - Nie widzę przyczyn, dla których Stuart miałby być w to wplątany. Obiecałam mu, że jeśli dom nie będzie mu odpowiadał, zrobię wszystko, żeby go sprzedać - odwróciłam się do Stuarta. - Czy rozmawiałaś z Jean na temat sprzedaży?

- Nie. Poczekam dzień lub dwa.

Odetchnęłam z ulgą.

- To bardzo szlachetne, Stuart - rzekł Ronald. - Zamierzam porozmawiać z Litchellem. - Z ponurego tonu jego głosu zgadłam, że nie będzie to dla niego miła rozmowa.

Wróciłam do domu dopiero po południu. Paula uparła się, żebym została na lunchu; Adrian chciał mnie odwiedzić, ale powiedziałam, że mam ochotę na spacer. Poszliśmy więc z Oskarem ścieżką ciągnącą się wzdłuż rzeki. Potrzebowałam spokoju, żeby spróbować uporządkować chaotyczne myśli, które zrodził powrót Nickiego.

Jean siedziała w swoim pokoju; na kolanach miała rozłożoną książkę, ale nie czytała jej, patrzyła daleko przed siebie.

- Nie mogę pracować - westchnęła. - Zostałam odcięta od źródła inspiracji. Cieszę się, że wróciłaś, obawiałam się, że może Bridgerowie zatrzymają cię na noc.

Usiadłam, Oskar przywitał się z Jean i położył się przy moich nogach. Cisza przedłużała się.

- Powinam ci była powiedzieć, że Nicki wrócił - odezwała się w końcu Jean - ale kazał mi przysiąc, że ci nie powiem, dopóki...

- Dopóki nie zrobi swojej milej niespodzianki na przyjęciu u Stuarta - przerwałam jej. - To było bardzo nie fair, Jean. To, i nie zaproszenie Tansy. A myślałam, że ci zależy, żeby party się udało.

- Ona jest taka niewrażliwa, Carla.

- Nieprawda. Ona jest zakochana.

- Ale wątpię, czy Stuart jest - czasami w Jean odzywała się złośliwość Litchellów.

- Ma inne plany.

Spuściła wzrok.

- On... on nie jest pewny - kręciła wyrażnie. - "Wysokie Drzewa" potrzebują gospodyni.

- Wystarczy mu Randallowie. Gdzie jest teraz Nicki?

- W Potters Arms - przerwała i westchnęła. Jest strasznie zły.

- Przypuszczam, że na mnie. Myśli, że to ja namówiłam cię do sprzedaży domu, mszcząc się w ten sposób za to, że mnie porzucił. Jean, ja naprawdę myślałam, że on nigdy nie wróci.

- Kilka tygodni temu dostałam od niego list. Nie odpowiedziałam mu, bo nie byłam pewna, czy powinnam go ośmielać. Wtedy

zadzwoił. Zdaje mi się, że do ciebie też dzwonił z Mertonbury, wtedy, gdy byłaś w Boumemouth.

- Więc to był ten tajemniczy telefon...

- Nie wierzył, że mogę sprzedać "Wysokie Drzewa". Dowiedział się, że mój ojciec nie żyje, więc wrócił.

- Spodziewał się powitania?

Przygnębiona skinęła głową.

- Nic się we mnie nie zmieniło, Carla. Zdaje mi się, że zawsze będę go kochać, niezależnie od tego, co się zdarzy. On chce współnictwa w wytwórni.

Spojrzałam na nią z przerażeniem.

- Jean, nie możesz tego zrobić.

- Mówiłam mu, że muszę się najpierw naradzić z tobą i Ronaldem Bridgerem.

Serce podskoczyło mi gwałtownie.

- Nie mam nikogo innego - w jej głosie zabrzmiał patos. - Nicki wpadł we wściekłość. Powiedział, że to sprawa między nim a mną. Ale to nieprawda - rzekła z naciskiem. - Ronald pomógł ojcu i zawsze dawał mu dobre rady. - A ty Carla - głos jej zmiękł, a oczy napełniły się łzami. - Ty jesteś moją przyjaciółką.

- Tak, jestem. I dobrze by było, żeby Nicki o tym pamiętał.

- Czy ty go nienawidzisz, Carla?

- Hm, powiedzmy, że im dalej jest ode mnie, tym lepiej. I na pewno nie pozwolę, żeby cię unieszczęśliwił.

Teraz widzę, że byłam pełna szlachetnych uczuć, i że całą sprawę widziałam czarno-biało, jak fotografię. Oszukiwałam samą siebie, że odgrywam rolę rycerza - obrońcy uciśnionych. Moim celem było chronić Jean przed złem. Oczywiście nie przyznawałam się, że kierują mną również mniej szlachetne pobudki. Nicki miał nade mną fizyczną przewagę i za to go nienawidziłam. Nigdy więcej nie dałabym mu się pokonać. Mój instynkt walki wziął górę, i tym razem Nicki nie miał żadnych szans na zwycięstwo.

- Nie wolno ci go nienawidzić, Carla, to nie jego wina. Mam obowiązek - nie zdążyła dokończyć zdania, bo Oskar nagle się poderwał, zjeżył się i dobył z gardła głębokie warknięcie.

Na ścieżce zadudniły czyjeś kroki. Poderwałam się, żeby otworzyć, ale nim doszłam, nie zamknięte na klucz drzwi otworzyły się

gwałtownie. Oskar rzucił się naprzód, wyszczerzył zęby i zaczął wściekle szczekać. Chwyciłam go za obrożę i stanęłam twarzą w twarz z Nickiem.

- Mniemam, że ten cholerny, wściekły pies należy do ciebie, Carla. Tylko ty możesz mieć takiego obłąkanego kundla.

Uciszyłam Oskara.

- On nie jest kundlem i należy do nas obu. Jean go przygarnęła. Twierdziła, że potrzebujemy obrony; teraz widzę, że miała rację.

Podszedł do mnie. Miałam ochotę puścić Oskara.

- Zamknij go w kuchni - krzyknęła Jean.

Weszłam za Nickiem do jej pokoju.

- Nie, Jean. Zostanie tu z nami. Być może następnym razem nasz gość zapuka do drzwi jak przystało na cywilizowanego człowieka.

Byłam gotowa iść na całość. Serce waliło mi jak młotem, czułam, że policzki mi płoną ze zdenerwowania.

- Słyszysz, Jean? - Nicki pochylił się, żeby pocałować kuzynkę w policzek. - Mam pukać do drzwi, jak jakiś obcy albo gość.

- Carla nie to ma na myśli - Jean była wzburzona.

- Czego chcesz? - spojrzałam na niego.

- Czyżbym nie miał prawa być tutaj? - spytał żałośnie.

- Nie, jeśli nie zostałeś zaproszony. Ja na pewno nie zaprosiłabym cię. A ty Jean?

Zawahała się; wiedziałam już, że jesteśmy zgubione. Miał u niej taki autorytet, że nie byłaby w stanie odmówić mu czegokolwiek.

Wciąż trzymając Oskara za obrożę, wyszłam z pokoju i trzasnęłam drzwiami.

Za parę sekund Jean przyszła do mnie.

- Carla, proszę cię, pomóż mi. On chce porozmawiać. Boję się - wzięła z kredensu szklany dzbanek i napełniła go wodą.

Byłam rozdarta między chęcią dowiedzenia się, co się dzieje, a zdrowym rozsądkiem, który mówił, że lepiej trzymać się z dala od spraw Litchellów.

Uśmiechnęła się prosząco, i jak zwykle moje współczucie wzięło górę.

- No dobrze. Ale jeśli palnie coś obraźliwego, nie wytrzymam.

Poszłam z nią do pokoju. Oskar był niezadowolony, że zostanie sam, ale musiałam go zamknąć w kuchni.

Nicki podał Jean szklankę z whisky, żeby dopełniła ją wodą. Rozsiadł się wygodnie, położył nogę na nogę, głowę oparł na oparciu krzesła. Oczy miał półprzymknięte, a brodę pochyloną w tak charakterystyczny dla siebie sposób.

Usiadłam na krześle przy oknie i spokojnie oglądałam rozciągający się na dole ogród.

Nicki wyprostował się.

- Ostrzegam cię, Carla.

I nagle znów byłam dzieckiem. Nicki zawsze mnie ostrzegał powolnym ruchem ramienia, albo bolesnym pociągnięciem mnie za włosy. Z nadzwyczajną łatwością doprowadzał mnie do łez, a gdy już wiedział, że mu się nie oprę, całował mnie na pocieszenie. O, jakież one były słodkie, te pocałunki zwycięskiego Nickiego. Ale czasy się zmieniły.

- Nie powinienes ostrzegać Carli. Ona nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała nerwowo Jean.

- Ma z tym bardzo wiele wspólnego. Przyznaj się, Jean. Ona namówiła cię aby sprzedać dom, odda go, albo...

- Przyślesz nam znowu parę anonimów? - spytałam.

Spojrzałam na Jean i wiedziałam, że dobrze trafiłam. Poczzerwieniała, w jej oczach błysnął gniew.

- Nie potrzebowałam namowy, a anonimy to tchórzostwo. Musiałam sprzedać dom. Musiałam zwrócić pieniądze, które zabrałeś Nicki.

Myślałam, że wybuchnie z zaskoczenia i wściekłości. Twarz mu pociemniała, a oczy zwęziły się jak szparki.

- Jakie pieniądze? - spytał zawiadaczko.

- Dobrze wiesz, jakie - odrzekła Jean znużonym głosem. - Pieniądze, które wzięłeś z kasy wytwórni i przeznaczyłeś na swój użytek.

- Kto ci o tym powiedział? - podskoczył, chwycił Jean za ramiona i podniósł ją. - To kłamstwo. Wziąłem tylko to, co było moje - potrząsnął nią. - Zrozum, proszę, twój ojciec mnie oszukał.

Odsunęła się od niego i stanęła za moimi plecami. Postąpił do przodu, więc wstałam.

- Spróbuj tylko dotknąć mnie albo Jean, a wezwę policję i aresztują cię za napaść.

Staliśmy twarzą w twarz.

- Zawsze miałaś charakter - przyznał. - Nie tak jak ona. Ona jest tylko szmacianą lalką.

- Nie uda ci się wystrychnąć nas na dudka. Trudno było poznać prawdę, owszem. Zdefraudowałaś parę tysięcy funtów, a gdy ojciec Jean odkrył, że to twoja sprawka, wyrzucił cię. Powinien był oddać cię w ręce policji. Pan Litchell musiał zaciągnąć pożyczkę, żeby uratować wytwórnię. Potem dostał ataku serca i zmarł.

Nicki spuścił z tonu.

- Czy to prawda, Jean?

Skinęła głową.

- To były pieniądze mojego ojca. Został oszukany przez wuja Brana.

- Myśl sobie, co chcesz - rzekłam. - Ale nie myśl, że uda ci się zastraszyć Jean i mnie. Najlepiej będzie, jeśli się stąd zmyjesz.

- Nie tak szybko, Carla, kochanie. - Jego uśmiech był jak promień słońca dobywający się zza czarnych chmur. Czułam, jak ze strachu pulsują mi skronie; magia jego uśmiechu nic nie osłabła.

- Jestem pewien, że wcale nie chcesz mnie wypędzić - pochylił się i położył mi palec na policzku. - Jeszcze zobaczysz, że potrzebujemy się nawzajem. Prawda, Jean? Nie pozwolisz chyba, żeby twój kuzyn został wyrzucony i zginął z głodu?

- Kompletna bzdura, Nicki - powiedziałam. - Jesteś o wiele za sprytny, żeby zdechnąć z głodu. Gdzie masz pieniądze, które wzięłaś?

Rzucił mi wściekle spojrzenie.

- Porozmawiamy jutro, Jean. Bez Carli. A ty pamiętaj, że jeśli osmielisz się wtrącać między Jean a mnie, pożałujesz.

Powoli wypił drinka i wyszedł.

Niepewność jest dzieckiem lęku. Przez następne parę dni prześladował mnie strach, jaki będzie następny ruch Nickiego. Jak się okazało, nie musiałam długo czekać. Tansy zadzwoniła z "Wysokich Drzew", prosząc, żebym natychmiast ją odwiedziła. Była tak poruszona i inna niż zwykle, że od razu wsiadłam do samochodu. Stała przed drzwiami i zanim zdążyłam wysiąść zbiegła w dół po schodach.

- Co się dzieje? - weszłam za nią do hallu.

- Chodź, wyjdziemy na taras. Nie mogę wytrzymać w tym domu.

Usiadłyśmy na tarasie.

- Martwię się o Stu. Mnie on nic nie powie, ale wy razem tak dobrze się zgodzacie, Carla. Myślę, że przed tobą by się otworzył.

- Wątpię, Tansy. Nie jesteśmy w tej chwili w zbyt dobrych stosunkach.

- Myślisz tak, bo przyłapał cię z tym facetem od Jean. Stu mówił, że on ci groził, a ty wymachiwałaś nożem - zachichotała. - No proszę, a ja myślałam, że na wsi nic się nie dzieje. Stu jest bardzo zmartwiony.

- Nie z mojego powodu, zapewniam cię.

Rzuciła mi dziwne spojrzenie, jej ruchliwe rysy przybrały wyraz smutku.

- Lubisz starego Stu, prawda?

Przyznałam, że myślę o nim jak o przyjacielu, ale zostawiła to bez komentarza.

- Ten kuzyn Jean próbuje przekupić Stu.

- Żartujesz, Tansy!

- Chciałabym! Zaoferował Stu za dom znacznie więcej, niż on za niego zapłacił. Mówiłam mu, żeby się zgodził. Ale Stu zamartwia się na śmierć. Nie podoba mi się to. Stu ma trochę za miękkie serce i jest bardzo przywiązany do Jean i do ciebie. Ten gość jego zdaniem narobi kłopotów. Mówiłam mu, że to wszystko tylko gadanie. Czy Jean jest nim zainteresowana? Bo wiesz, on chciał się ze mną umówić.

- Nicki i Jean są kuzynami. Są ze sobą bardzo blisko - wierzyłam w to naprawdę i nie chciałam, żeby Tansy mieszała się między nich. - Myślę, że powinnaś bardzo uważać.

Roześmiała się.

- Ależ oczywiście. Potraktuje go odpowiednio, znam się na tym. Jest przystojny i bardzo zabawny. Podoba mi się.

- Możesz się sparzyć - ostrzegłam.

- Ja? Zresztą jadę dziś do Londynu. Właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Proszę cię, miej oko na Stu. - Nie pozwól, żeby ten gość wystrychnął go na dudka.

Nie wydawało mi się, żeby Stuart przyjął zyczliwie moje mieszanie się, ale obiecałam Tansy, że zrobię co będę mogła.

Wiadomość, że Nicki zaoferował wyższą cenę za dom zmartwiła mnie. Czyżby w czasie swej niewyjaśnionej nieobecności zrobił

majątek? Czy też zaoferował mu pieniądze Jean? Czy Jean jednak mu uległa? I czy to tak naprawdę moja sprawa?

Dlaczego nie dam sobie z tym wszystkim spokoju?

Nie musiałam się długo zastanawiać nad odpowiedzią. Moje zainteresowanie w tej sprawie koncentrowało się na Stuarcie. Czułam się przerażająco odpowiedzialna. Sprzedałam mu dom, wierząc, że nie jest obciążony. Pokonywałam jego początkowy opór, toteż teraz musiałam naprawić sytuację. Ale dopóki z nim nie pomówię, jak mogę zdecydować, co robić?

Tego wieczora w towarzystwie Oskara szłam dobrze znaną ścieżką na drewniany mostek. Przeszłam szybko obok Chaty Lotti. Odkąd odkryłam, że Jean i Nicki mieli tu sekretne schadzki, było to dla mnie miejsce zakazane.

Stojąc na mostku, zauważyłam, że wygląd ogrodów się zmienił. Przez chwilę, przed oczyma duszy stanął obraz ogrodów w czasach Marie Litchell.

Ujrzałam plamy kolorów mieszających się w fantastyczną, barwną panoramę, urozmaiconą tu i ówdzie skrzącą się wodą, którą Marie Litchell tak bardzo kochała. Wszędzie małe baseniki i fontanny w kształcie delfinów. Wszystko to zostało zniszczone. A teraz Stuart naprawiał stare baseny, czyścił skamieniałe misy, do których padała woda wypłuta przez delfiny, a wkrótce urządzi wodny ogród, na którym tak bardzo mu zależy.

Lato miało się już ku końcowi; soczysta zieleń roślinności zbladła nieco, torując drogę przepychowi jesieni.

Ciągnąc nogę za nogą przeszłam przez mostek i weszłam do ogrodów przez małą furtkę na żużlowej ścieżce.

Stuart był w cieplarni. Był odwrócony plecami do drzwi.

- Miałeś dobry zbiór? - spytałam.

Odwrócił się nagle. Jego szczery uśmiech dodał mi otuchy.

- Dziękuję za opiekę. Pani Randall robi wino.

Staliśmy, patrząc na siebie nawzajem. Bałam się przerwać ciszę, która zdawała się należeć do tego minionego czasu, zanim znalazł mnie z Nickiem w gabinecie. Podszedł bliżej i wziął moje ręce w swoje silne, duże dłonie.

- Chciałem cię przeprosić, Carla. Kiedy zobaczyłem cię w gabinecie, myślałem...

- Wiem co myślałeś - rzekłam gorzko. - Myślałeś, że przerwałeś schadzkę kochanków, aż zobaczyłeś, że trzymam w ręku nóż.

- Rozumiem, że chcesz wyrównać z nim rachunki i nie dopuścić go do domu.

Wyrwałam dłonie.

- Więc tak myślisz?

- A co mam myśleć? Twój romans rozplynał się, jak dymek z papierosa.

- Romanse nigdy nie urywają się ot tak, było, nie ma, koniec. Zawsze coś się potem ciągnie. Twoje małżeństwo...

Zmarszczył twarz.

- Acha, to sprawka Tansy. Co ona ci naopowiadała?

- Nic, wspomniała tylko.

- Więc oboje leczymy złamane serce?

- Nie, ja już nie.

- Przeszłość jest zawsze częścią teraźniejszości. Pocieszmy się nieco, chodźmy do domu na drinka.

Zamknął drzwi ciepłarni, a ja zawołałam Oskara. Ściemniało się już, na zachodzie niebo było jeszcze jasne, ale pod drzewami szybko gęstniał mrok.

Gdy weszliśmy do salonu, zadrżałam. Stuart zapalił pojedynczą lampę i w jej kręgu ustawił dwa krzesła. Usiadłam i nagle poczułam, że tu są. Bran Litchell i Marie, duchy przeszłości.

Stuart postawił przy mnie drinka.

- Czujesz ich obecność'?

- Duchy nie mogą nas skrzywdzić, a żyjący tak.

- To prawda - siadł naprzeciwko mnie. - Litchellowie chcą dostać swój dom z powrotem - smutek w jego głosie był tak wielki, że ścisnął mi serce. Kuzyn Jean ubiegł mnie. - Przedstawił mi bardzo dobrą ofertę, Carla. Myślę, że ją przyjmę.

Więc Tansy mówiła prawdę. Czy Jean przeszła na drugą stronę? Ona i Nicki zawsze stali razem.

- Czy oferta przyszła również od Jean?

- Nie wiem - wzruszył ramionami. - Nie pytałem. Czy to ma znaczenie?

Dla mnie i dla Ronalda Bridgera miało, miało też pewnie dla robotników z wytwórni, którzy nie chcieli z pewnością znaleźć się na bruku z powodu Nickiego Litchella.

Nagle Stuart zmienił nastrój.

- Chciałbym ci pokazać parę znakomitych rysunków, które znalazłem w sklepie ze starzyzną.

Przyniósł je. Na wszystkich widniały kwiaty. Przyglądaliśmy się im uważnie, zastanawiając się, kto mógłby być ich autorem.

- Chciałbym, żeby były twoje, Carla.

- Czy to prezent pożegnalny? - ugięłam się pod ciężarem bezmiernego nieszczęścia.

- Nie mówiłem nic o rozstaniu.

- Ale jeśli wyjedziesz...

- Jesteś strasznie przygnębiona, Carla, kochanie moje - powiedział stanowczo. - Pojedziesz jutro ze mną na lunch do "Błękitnej Róży"?

- Przecież pracuję - rzekłam słabszym głosem.

- Jesteś szefem, pamiętaj.

- Docinasz mi.

- Ależ nie, moja droga, wcale. Pełen jestem uwielbienia dla twojej zawodowej orientacji.

"Uwielbienia - pomyślałam, - do cholery z zawodowym uwielbieniem, chcę jego miłości i chyba nigdy nie będę jej miała."

Uśmiechnęłam się.

- Dziękuję, Stuart. Bardzo chętnie zjem z tobą lunch.

ROZDZIAŁ X

Stuart zabrał mnie z biura i pojechaliśmy do "Błękitnej Róży". Podczas lunchu opowiadał o swoim nowym programie telewizyjnym planowanym na wiosnę. W tej serii Tansy nie miała brać udziału.

- Ma swoją własną pracę - rzekł Stuart. - Nowy pomysł: uprawa i układanie kwiatów, a do tego wzornictwo oparte na motywach kwiatowych. Ta dziewczyna daleko zajdzie.

Próbowałam na podstawie tonu jego głosu ocenić głębię uczuć, którymi darzył Tansy. Przyjaźń? Fascynacja? Czy odwzajemniał zaangażowanie Tansy?

- Ona się martwi o ciebie, Stuart.

- Wiem. Nienawidzi domu. Mówi, że on mnie posiadzie. Tansy boi się osiadłego, ustatkowanego życia. Jest jak egzotyczny ptak, fruwa od jednego doświadczenia do drugiego. Wątpię czy komukolwiek uda się przywiązać Tansy do domowego kieratu.

- Nawet tobie?

Uśmiechnął się.

- Mnie najmniej. Tansy jest niepoważna.

- Lubię ją.

- Ja również. Nie zabiłaby nawet muchy. I zaskakująco dobrze zna się na ogrodnictwie. Ojciec jej to robił.

- Dosłownie?

- Boże, nie! Uwielbiał córkę. Chciał, żeby dokonała wielkich rzeczy.

Z "Błękitnej Róży" pojechaliśmy do opuszczonego Belpark House. Część gruntów została sprzedana, ale na pozostałych wnuk ostatniego właściciela ponownie założył park i chciał zasięgnąć rady Stuarta. Słuchałam planów Stuarta i myślałam, że jest dla mnie jedynym mężczyzną na świecie. Ale obawiałam się, że chce we mnie mieć tylko inteligentnego towarzysza, który rozumie jego problemy. "Tak do tego jestem dobra, żeby przejmować się cudzymi sprawami", pomyślałam, gdy wróciłam do domu.

Jean była niesamowicie poruszona.

- Nie mogę tego zrobić, Carla. Nicki nie ma prawa tego ode mnie oczekiwać.

Zrozumiałam, że moja droga pełna była niebezpieczeństw. Jedno chybione słowo i zburzę cała strukturę obrony Jean. Chodziła po pokoju w tę i z powrotem. Zasłony na oknach były zasłonięte, a wszystkie drzwi pozamykane. Obie wiedziałyśmy, że mężczyzna, który śledził dom był Nicki. Ciarki przeszły mi po grzbiecie, gdy spojrzałam na jej twarz, bladą i wykrzywioną od wewnętrznego bólu.

- Musisz mi uwierzyć, że nie mam nic wspólnego z ofertą Nickiego. Jak on może myśleć, że sprzedam wytwórnię? Przecież na pewno wie, że stała się jedynym moim celem w życiu. Ojciec i ciotka

Marie zwykli byli mawiać, że otrzymałam dar od Boga, i że jest moim obowiązkiem wykorzystać go w pełni. Ale ja nie myślę o tym, jak o obowiązku. Projektuję, bo bez tego nie wyobrażam sobie życia.

Moje wątpliwości zniknęły. Byłam głupia, jeśli wyobrażałam sobie, że jej miłość do Nickiego zaślepi ja i zniekształci obraz sytuacji.

- Nicki mówi, że mogę projektować w innej wytwórni. Ale jeśli tak zrobię, utracę moją tożsamość. Moje wzory to Litchellowie, tak jak wzory mojego ojca i dziadka - twarz Jean stężała w wyrazie desperacji.

- Carla, pomóż mi. Nie opuszczaj mnie.

Czy był to krzyk z głębi serca? Czy też próbowała utwierdzić się w tym, co już postanowiła zrobić? Jeśli oprze się atakowi Nickiego, on mnie będzie za to winił, a nie miałam ochoty przypatrywać się konsekwencjom.

- Carla, nie mogę walczyć z nim sama.

- Nie jesteś sama, Jean. Jestem tutaj. Ze mną są Bridgerowie. Wszystkim nam na tobie zależy i wierzymy, że to, co robisz, jest słuszne. Myślę, że powinnaś powiedzieć Stuartowi, że nie masz zamiaru odkupywać od niego domu. Całe zamieszanie bardzo źle na niego działa. Byłaś tam ostatnio?

Potrząsnęła głową.

- Wszystko wraca do życia. Ogrody są dokładnie takie, jak za życia ciotki Marie. Skąd on to wie?

- Pokazałam mu zdjęcia, które zrobiła ciotka Marie. Powiedział, że nie mógłby ich zaprojektować lepiej - westchnęła. - Jest taki dobry, Carla, a to wszystko takie okropne.

- Wciąż się mieszasz?

- Skoro tak mówisz...

Nicki przysiadł się do mnie przy barze w Potters Arms. W jednej ręce trzymał papierosa w hebanowej lufce, a w drugiej szklanekę i whisky. O tej porze, wczesnym popołudniem, w barze było tylko parę osób. Oprócz hałaśliwej czwórki zabawiającej się grą w lotki i dwóch starych mężczyzn przyglądających się temu, byliśmy jedynymi gośćmi. Nicki ruchem ręki zaproponował mi przeniesienie się do stolika, gdzie barman nie słyszałby naszej rozmowy. Zgodziłam się.

- Czemu ze mną walczysz? Nie rozumiesz, że najlepszą dla Jean rzeczą byłoby osiąść wraz ze mną w "Wysokich Drzewach"?

- Jak zamierzasz zapłacić za dom? - spytałam.
- Och, Carla, nie wygłupiaj się. Jean na pewno przyjdzie
wyplakać ci się w rękaw, a ty bez wątpienia poradzisz jej, żeby nie
sprzedawała wytwórni.

- Oczywiście. Wytwórnia należy do Litchellów.

Przymknął oczy i dmuchnął dymem w moją stronę.

- Nie obchodzi cię, co się stanie ze mną? - uśmiechnął się, a
jego urodziwa twarz zastygła w oczekiwaniu.

- Szczerze mówiąc, nie.

- Przecież się kochamy - rzekł miękko. - Moglibyśmy się pobrać
i mieszkać w "Wysokich Drzewach" wszyscy troje.

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Jego arogancja zatkała mi
dech w piersiach.

- Wciąż czujesz to samo, prawda, Carla moje kochanie?

Z trudem się pozbierałam.

- Jesteś szalony! Nie mogę na ciebie patrzeć!

Roześmiał się.

- Mógłbym szybko to zmienić, moja piękna. Gdybyś tylko mi
pozwoliła. Należymy...

Moja wściekłość rozszalała się jak tajfun.

- Powiedzmy to sobie szczerze, Nicki. Gardzę tobą i czuję do
ciebie wyłącznie niechęć. Jedynym powodem, dla którego cię toleruję,
jest konieczność obrony Jean.

Zgasił papierosa, sięgnął przez stół, chwycił mnie za ramię i
mocno ścisnął.

- Puść, bo zawołam barmana.

Puścił.

- Jeśli jeszcze raz się wtrącisz, pożałujesz. Jean zrobi w końcu
to, czego chcę. Zawsze stawiam na swoim.

Wyszedł z pubu. Drżałam. Skończyłam drinka i zamówiłam
następnego. Mimo, że powiedziałam Nickowi wreszcie, co o nim myślę,
nie czułam satysfakcji. Bałam się. Nie sądziłam, aby jego ambicje się
zmniejszyły, a wiedziałam, że nie znieśie, aby ktokolwiek
przeciwstawiał się jego planom.

Nowy pomysł Nickiego na życie łatwe i przyjemne: trójkąt. A my z
Jean ponosiłybyśmy konsekwencje, i gdybyśmy nie tańczyły tak, jak
Nicki nam zagra, dałby nam niezłe popalić.

To była ostateczna konkluzja, a jednak gdzieś w zakamarkach mojej jaźni tliła się nieśmiała myśl, że Nicki nie jest aż tak zły, jak mówią ludzie. Był nieodpowiedzialny jak dziecko. Zbyt długo uchodziło mu to na sucho. Bagatelizowałam złą stronę jego natury, tak jakbym myślała, że gdy zgodzę się go poślubić, będę w stanie uleczyć go z zachłanności i podstępności. Teraz widzę, że brało się to mniemanie z nieznamośności natury człowieka. Byłam po prostu zauroczona jego urodą, inteligencją, biegłością w sztuce kochania, a teraz, gdy to wszystko przysło, bałam się go.

I miałam rację.

Następnego ranka Stuart zadzwonił do biura, chcąc pilnie się spotkać.

Przyjechał w pół godziny później. Serce mi się ścisnęło na widok jego ponurej twarzy.

Nalałam mu kawy i patrzyłam wyczekująco.

- Ktoś wyrwał winorośl. Nie mogę w to uwierzyć, Carla. I nic nie mogę zrobić! Korzenie są porabane na kawałki.

- Och, nie - jęknęłam. - Zgłosiłeś na policję?

Potrząsała głową.

- To nie wszystko. W jednej ze szklarni potłuczono szkło, kilka cennych roślin jest zniszczonych.

- Wandale? - spytałam.

- Nie sądzę. Nie, nie sądzę.

Mnie również nie wydawało się to prawdopodobne. Akty wandalizmu zdarzały się w Merton Mallings nader rzadko. Młodzi najczęściej stąd wyjeżdżali w poszukiwaniu pracy, a ci którzy zostali, pracowali w wytwórni albo na farmach. I chociaż na początku wieśniacy patrzyli na Stuarta podejrzliwie, teraz dochodzili do przekonania, że nie jest on osobą, która mogłaby zakłócić spokojne życie wsi.

- Rozmawiałaś z Jean? Ona nie ma nic wspólnego z ofertą kuzyna.

Stuart patrzył sceptycznie.

- Jesteś pewna? Nie byłaby zadowolona z powrotu do domu?

- Być może. Ale nie na warunkach, które Nicki chce jej narzucić.

- Jakich warunkach?

- Sprzedaż wytwórni.

- Żartujesz! Zdawało mi się, że wytwórnia jest dla niej wszystkim!

- Bo jest. Jean toczy walkę i potrzebuje wiernych przyjaciół.

- Chcę zrobić, co będzie dla niej najlepsze - odrzekł Stuart.

Czy Tansy miała rację? Czy Jean znaczyła dla niego tak wiele?

- Więc jeśli sprzedam dom Litchellom, zapłaci za niego pieniędzmi Jean ze sprzedaży wytwórni, tak?

- To plan Nickiego.

- I co wtedy?

Nie mogłam mu powiedzieć o skandalicznych i absurdalnych sugestiach Nickiego. Wzruszyłam ramionami.

- Porozmawiam z Jean - powiedział. - Pogodzę się z jej decyzją.

Jak zwykle podzieliłam się swymi troskami z Ronaldem. Był zły na mnie.

- Myślałem, że masz więcej oleju w głowie i nie będziesz się między nich wtrącać. Nie wystarcza ci lekcja, którą dostałaś? Czy ten łądak znowu cię nastraszył?

- O mnie się nie martw - odpowiedziałam.

- To dopiero początek. Chciałbym, żebyś była czujna, Carla. Pamiętam jak Bran pytał mnie o radę, gdy Nicki był małym chłopcem. Bran miał miękkie serce i był bardzo prostoduszny, na pewno pamiętasz. Poradziłem mu szkołę z internatem.

- Czy to pomogło?

- Wątpię. Nie można zmyć cętek z lamparta.

Pomyślałam, że określenie "lamparta" pasuje do Nickiego jak ulał. Gibki i piękny, jak dzikie zwierzę ukradkiem podchodził ofiarę.

Przyjechawszy do domu, znalazłam tonącą we łzach Jean.

- Och, Carla - to okropne! Robotnicy zastrajkowali. Myśla, że będą zwolnieni z pracy. Przez wszystkie lata, odkąd mój dziadek zrobił pierwszy garnek, nie było nigdy takich problemów.

Byłyśmy łatwym celem dla lamparta kryjącego się w cieniu. Lamparta, który wiedział, gdzie uderzyć, by zadać najwięcej bólu, by złamać opór ofiary.

- Powiedziałaś im chyba, że to nieprawda.

- Oczywiście - otarła oczy. - Nie mogę uwierzyć, że ktoś był zdolny wymyślić takie świństwa. Ludzie pracują tu od lat, nie są młodzi, Carla, i bardzo się boją. Dostali to.

Podawała mi napisane na maszynie zwolnienie z pracy. Zawrzałam.

- Carla, oni mi już nigdy nie zaufają. Zdaję sobie sprawę z ich wrogości. Nie rozumiem...

- Rozumiesz bardzo dobrze - wtraciłam się, zbyt wściekła, by dobrać słowa. - Wiesz dobrze, do cholery, kto się za tym kryje i musisz mu wszystko wygarnąć.

- Nie mogę - rzekła kategorycznie. - On wyjechał. To znaczy, nie ma go w Arms. Nie wiem, gdzie jest.

Kiedy powiedziałam Ronaldowi o strajku, wybuchnął gniewem. Zwołał wszystkich pracowników wytwórni i wyjaśnił im, że druki zwolnień były tylko czymś głupim żartem.

- Panna Litchell jest bardzo zmartwiona - powiedział. - Większość z was zna ją od kolebki. Wytwórnia prosperuje, księgi dobitnie o tym świadczą. Proszę, żebyście uwierzyli i wrócili do pracy.

Siła i pasja z jaką mówił, odniosły efekt, ale nawet Ronald ze swym darem perswazji nie był w stanie rozwiać chmury niepewności, która wisiała jak całun nad wsią.

Praca zaczęła się jeszcze tego samego dnia, ale wiedziałyśmy z Jean, że we wsi będą na nas patrzeć podejrzliwie.

Stary Willis i jego wnuczek wciąż pracowali przy budowie mojego basenu. Willis był idealnym barometrem nastrojów we wsi, toteż, gdy zjawił się u mnie, spytałam bez ogródek co się stało.

Wbił łopatę w ziemię, wyciągnął z kieszeni podniszczoną fajkę, zapalił ją i przez kilka chwil pociągał w milczeniu.

- Nie podoba mi się to wszystko, panno Shaw. Ojcowie pani i panienki Jean byli przyjaciółmi nas wszystkich. Pani rozumie, ja jestem niezależny. Pracuję, gdzie chcę i nic sobie nie robię z pogrózek. To dziecinada - splunął prosto do dużej dziury w ziemi.

- Pogrózek, Ted? Jakich pogrózek?

- Kartki na drzwiach i anonimy.

- Ostrzegano cię, żebyś tu nie pracował?

- No, coś w tym rodzaju.

Spojrzałam w jego błękitne oczy.

- Jestem za stary, żeby dać się wystraszyć. Byłem na wojnie, panno Shaw, stałem twarzą w twarz z wrogiem. Nie podobają mi się te podchody i nie pogodzę się z tym!

- Może lepiej, żebyśmy przerwali pracę.

- Wykluczone, panienko. Niech tylko ktoś spróbuje wmieszać się w moje sprawy!

Postawa Willisa dodała mi otuchy, ale nie powiedziałam nic Jean. Miała już i tak dosyć powodów do zmartwień. Po raz kolejny zwierzyłam się Ronaldowi.

- Muszę znaleźć Nickiego - powiedziałam.

Na zewnątrz biura świeciło słońce, niebo lśniło jesiennym błękitem. W powietrzu unosił się zapach opadających liści i nie mogłam doczekać się spaceru z Oskarem.

- Myślałem o tym - rzekł Ronald. - I zgadzam się. Poruczyłem tę sprawę prywatnemu detektywowi, będzie go szukał.

Poczułam, jak wielki ciężar spada mi z serca.

- A jeśli go znajdziemy, Carla, co zrobimy?

- Myślę - rzekłam niepewnie, - że moglibyśmy go spłacić.

Ronald przytaknął.

- Tylko... czyimi pieniędzmi? Nie twoimi i nie moimi, a Jean wciąż walczy o przetrwanie...

- Trzeba mu zagrozić, Ronald.

- Jakie mamy dowody, że popełnił czyny, które mu zarzucamy?

- Żadnych - rzekłam i przygnębiona wróciłam do swojego biura.

Nie miałam chęci do pracy. Na biurku leżała notatka z poleceniem, żeby pilnie obejrzeć dom we wsi Boswell, w głębi Cotswalds. Być może jazda samochodem rozjaśni mi umysł - pomyślałam, i w tym momencie do biura wszedł Stuart.

- Nikt przy zdrowych zmysłach - powiedział - nie kisi się w taki dzień w zamkniętym pomieszczeniu!

- Święte słowa. Właśnie wybieram się do Boswell.

- O, to inspirujące. Słyszałem, że to piękna wieś. Mieszka tam człowiek, który jest ekspertem od roślin alpejskich. Mogę ci towarzyszyć?

Pojechaliśmy do Boswell tuż przed południem.

Stuart zaproponował małe piwo i kanapkę w pubie. Usiedliśmy w ogródku, Oskar położył się nam u stóp. Właściciel dał mu miskę zimnej wody i kilka skrawków mięsa.

Stuart znalazł dom, w którym mieszkał ekspert; odprowadziłam go tam i pojechałam nieduży kawałek drogi do Boswell Manor. Brama

była otwarta. To był dom - perła, o doskonałych proporcjach i pięknych starych murach.

Gdy położyłam dłoń na kołatce, odniosłam wrażenie, że dom jest pusty. Nikt nie odpowiedział na pukanie, więc zdziwiona wróciłam do wozu, żeby raz jeszcze przeczytać notatkę.

Bez wątpienia: pani Ritchie-Wright chciałyby zobaczyć się ze mną o godzinie drugiej po południu. Spojrzałam na zegarek. Oskar zawył. Wypuściłam go z samochodu i przyczepiłam do obroży smycz. Słońce przysłonił ciemny obłok - zadrżałam. Dom nagle stał się ciemny i groźny. Po sekundzie, czy dwóch obłok zniknął, ale wrażenie ciemności pozostało.

Byłam zirytowana. Moja podróż nie była czasem zmarnowanym, bo spędziłam go w towarzystwie Stuarta, ale pani Ritchie-Wright na pewno o tym nie wiedziała.

Oskar szarpnął się na smyczy, więc puściłam go wolno, a on poprowadził mnie wokół domu. Było tam kilka zabudowań gospodarczych, łącznie ze stajnią. Oskar podbiegł do niej i obwąchał drzwi. Górna połowa była otwarta, więc zajrzałam do środka. W ostatniej przegrodzie rżał koń, szarpiąc się niespokojnie. Chciałam właśnie odciągnąć Oskara, gdy koń wierzgnął, jakby coś go bolało. Otworzyłam drzwi i trzymając blisko Oskara, podeszłam do konia. Był spętany. Gdy przysunęłam się bliżej, wyrócił oczy i parsknął. Stałam w miejscu. Jeśli koń był ranny, powinnam wrócić do wsi i poszukać weterynarza. Gdy się odwróciłam, górna połowa drzwi się zamknęła, w stajni zrobiło się ciemno. W tej samej chwili do moich uszu dobiegł przerażający śmiech. Rzuciłam się do drzwi - były zaryglowane. Poczułam, jak przechodzi mnie dreszcz; zaczęłam walić w szorstkie drewno, krzycząc głośno.

Czyżby drzwi zaryglowały się przypadkowo? Mogłabym tak pomyśleć, gdyby nie to, że mściwy, okrutny śmiech wciąż brzmiał mi w uszach. Waliłam w drzwi i krzyczałam jeszcze długo po tym, jak uświadomiłam sobie, że zostałam rozmyślnie zamknięta. Ale dlaczego? I przez kogo?

Gdy mój wzrok przyzwyczaiał się nieco do panującego tu mroku, zaczęłam szukać jakichś innych drzwi. Oczywiście nie było żadnych. Koń przestał stukać kopytem w kamienną podłogę. Może się uwolnił?

Przesunęłam się nieco w przeciwnym kierunku i wyczułam palcami barierki drugiej przegrody. Była wypełniona belami ze słomą. Ciągnąc za sobą Oskara, wspierałam się na górę. Pomyślałam, że tu będę w miarę bezpieczna, dopóki nie przybędzie pomoc. Prędzej czy później Stuart się zniecierpliwi i przyjedzie mnie szukać.

Minuty mijały powoli. Za każdym razem, gdy spoglądałam na zegarek, okazywało się, że wskazówki ledwo drgnęły. Oskar był co chwilę i przytulał się do mnie coraz bliżej. Pod nami koń stukał kopytem w ścianę przegrody. Zaschło mi w gardle, oczy mnie bolały, myśli bezowocnie krążyły wokół drogi ucieczki. Moją jedyną nadzieją był Stuart, jeśli zawiedzie...

Nagle zdałam sobie sprawę z pojawienia się nowego zapachu, silniejszego niż woń kocia, moich uszu dobiegł cichy trzask, a gardło wypełnił gryzący dym. Ogień!

Zsunęłam się ze słomy i podbiegłam do drzwi, przez które do wnętrza wpadały cienkie strużki światła. Potknęłam się o leżącą na ziemi sztabę żelaza, podniosłam ją i całej siły zaczęłam walić w górną połowę drzwi, krzycząc, wprost wrzeszcząc. Oskar szczekał wściekle, a nieszczęsny koń rżał i podskakiwał.

Nagle rygle górnej połowy drzwi otworzyły się i przez chwilę ujrzałam twarz Stuarta. Po chwili otworzył dolną część i wyciągnął mnie. Chwytał mnie tak mocno, że ledwo mogłam oddychać. Przeniósł mnie kawałek dalej. Wciąż trzymałam smycz Oskara. Byliśmy uratowani!

Odwrociłam się do tyłu i ujrzałam płomienie strzelające przez dach stajni, w miejscu, gdzie siedzieliśmy z Oskarem. Przypomniałam sobie o koniu i uwolniłam się z ramion Stuarta. Widziałam oczyma duszy przerażone zwierzęce oczy, a w uszach dźwięczało szaleńcze stukanie kopyt.

- Szybko, Stuart, daj mi nóż! - a gdy się zawahał, krzyknęłam. - Szybko! Szybko! Otwórz go!

Otworzył nóż, chwyciłam go.

- Trzymaj Oskara, nie pozwól mu iść za mną!

Siła wróciła do moich drżących nóg. Stajnia była otoczona obłokiem dymu. Usłyszałam rzenie konia i rzuciłam się do niego. Szarpał się wściekle na krótkiej uwięzi. Jedno cięcie i był wolny. Rzucił się w kierunku drzwi tak szybko, że biegnąc powalił mnie na ziemię.

Próbowałam wstać. Dusiłam się od dymu, w piersiach czułam nieznosny ból.

- Stuart! Stuart! - myślałam, że krzyczę, ale żaden dźwięk nie wyszedł z moich ust. Podniosłam ramiona i nagle poczułam, że czyjeś silne ręce chwyciły mnie i uniosły w górę.

Głos Stuarta powtarzający moje imię zdawał się dobiegać z bardzo daleka. Był ostatnią rzeczą, którą słyszałam, zanim zapadłam się w głęboką, czarną czeluść.

Krótką drogą do szpitala i to, co się tam działo jawi się jak niewyraźna, rozmazana plama, wśród której jaśnieje jeden tylko ostry punkt: obecność Stuarta, i wreszcie podróż do domu.

Jean stała w drzwiach. Stuart pomógł mi wysiąść z wozu i podtrzymując ramieniem, zaprowadził do domu.

- Wszystko w porządku, Jean - powiedziałam.

Odchodziła od zmysłów ze strachu. Nie miałam pojęcia, dlaczego.

Wyciągnęła ramiona.

- Carla, jeśli coś...

- Czuję się świetnie - powiedziałam i nagle wróciła mi ostrość widzenia. Przebyłam długą drogę, ale teraz byłam w domu, bezpieczna.

- Wszystko w porządku - odezwał się Stuart. Jest tylko zmęczona. Może napilibyśmy się mocnej herbaty, co, Jean? Wszystkim nam to dobrze zrobi.

Uwolniłam się od ich, podtrzymujących mnie, rąk i poszłam, wciąż odrobinę się chwiejąc, do swojego pokoju. Usiadłam. Potrzebowałam spokoju, tylko spokoju. Z daleka dobiegł mnie stukot glinianych naczyń i głosy Jean i Stuarta. Oskar napiwszy się wody, położył się naprzeciwko mnie.

Weszła Jean z tacą. Spojrzałam na nią i przez chwilę błysnęła mi myśl, że wiem, czemu jest taka przestraszona. Ale to była tylko chwila.

Wypiłam herbatę i odprężyłam się. Słońce rzucało na ścianę jasne, migotliwe refleksy. Śpiewały ptaki. Byłam pełna tak głębokiej wdzięczności, że czułam się, jakby rzeka miłości zmieniła bieg i pchnęła mnie na nową ścieżkę. Ujrzałam Stuarta i Jean w nowym świetle. Muśnięcie śmierci spowodowało nowe narodzenie. Stuart siedział wyciągnięty wygodnie w fotelu. Uśmiechał się, miał półprzymknięte oczy i uniesione kąciki ust. Serce przepełnił mi nieznosny ból nieodwzajemnionej miłości.

- On ocalił mi życie, Jean - powiedziałam. - Stuart ocalił mi życie.

Jean uśmiechnęła się czule i rozumiejąco. Na jej policzki wróciły kolory, ale kiedy ujęła mnie za ręce, zrozumiałam, że jej napięcie wcale się nie zmniejszyło.

- Potrzebujesz odpoczynku - powiedziała. - Dasz radę wejść po schodach?

Potrząsnęłam głową.

- Chciałabym posiedzieć w ogrodzie, sama.

- Jesteś pewna? - spytała z niepokojem.

Skinęłam głową. Musiałam pomyśleć. Uporządkować myśli i opracować strategię. Było mi bardzo dobrze, gdy tak oboje krzatali się przy mnie. Wynieśli mi fotel na patio i wyściełali go miętko. Zamknęłam oczy i powoli wracałam do siebie, a gdy je otworzyłam, naprzeciwko mnie siedział Nicki.

Wyprostowałam się, kurczowo ściskając oparcie fotela.

Siedział nieruchomo, z twarzą tak spokojną, jakby była wykuta z kamienia.

- Co ty tu robisz?! Jak śmiesz!! Po tym... - nie mogłam dokończyć. Nie mogłam dokończyć, bo jego twarz nawet nie drgnęła. Wyciągnął ku mnie ręce.

- Co ci się stało, Carla? Jesteś chora?

Zadrżałam. Jego bezczelność mnie przeraziła.

- Chciałeś mnie zabić?!

W innych okolicznościach, jego dezorientacja mogłaby być zabawna.

- O czym ty mówisz?!

- Mówię o pożarze stajni w Boswell Manor. Zamknąłeś mnie i z rozmysłem podpaliłeś. Gdyby Stuart Railie mnie nie uratował, nie żyłabym już - przerwałam, żeby zaczerpnąć powietrza. Żebra wciąż mnie bolały.

- Carla - głos miał chrapliwy. - Czy ty naprawdę sądzisz, że ja to zrobiłem? Nie wierzę! Jak możesz myśleć, że chciałem cię skrzywdzić?

- Wiem, że chciałeś. Stoję ci na drodze. Chcesz Jean i domu i nie ma dla ciebie znaczenia, jak je zdobędziesz - możesz nawet popełnić morderstwo - dodałam cicho.

Zerwał się z krzesła i upadł mi do stóp, porwał moje ręce i przycisnął je do piersi.

- Kocham cię, Carla. Zawsze o tym wiedziałaś. A ty? Nie mogłaś się zmienić. Nasz obraz wisi w twoim pokoju...

- Nie kocham cię, Nicki - próbowałam uwolnić ręce, ale trzymał je mocno. - A "Letnia słodycz" nie jest żadnym naszym obrazem. To portret mojej matki malowany przez twojego dziadka, i ty dobrze o tym wiesz.

- Nie uwierzę nigdy, że przestałaś mnie kochać.

Znużona, wzruszyłam ramionami.

- Skąd wiedziałeś, że będę w Boswell Manor?

- Nie wiedziałem. Przysięgam, nie wiedziałem. Przyjechałem tu dziś, żeby pomówić z Jean. I zobaczyłem, że tu siedzisz - pochylił głowę i zaczął całować moje palce - jeden za drugim.

- Jesteś taka blada...

Wyrwałam rękę.

- Też byłbyś blady, gdybyś się o mały włos nie spalił żywcem razem z psem i koniem. Po co kłamiesz, Nicki? Czy to ty wezwałeś mnie do Boswell Manor?

Jego twarz spurpurowiała z furii, chwycił mnie mocno za ramiona i potrząsał. Oskar warknął ostrzegawczo, więc zwolnił uścisk.

- Mogę udowodnić, że mnie tam nie było. Ten nieszkodliwy detektyw Ronalda Bridgera śledzi mnie i może potwierdzić, że nie byłem w tamtej okolicy. Przyszedłem do Jean, poprosić ją o przekazanie Bridgerowi, żeby dał sobie spokój z tym facetem, który wciąż depta mi po piętach. O, Boże, Carla, jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że ja próbowałem cię zabić!

Był bardzo przekonujący. Jasny, niewinny błękit oczu, czarujący wyraz twarzy. Zawahałam się, jak tyle razy w przeszłości. Przebaczałam mu, zawsze przebaczałam...

Ale nagle groza, którą przeżyłam tak niedawno, powróciła z całą mocą.

- Myślę, że chciałaś wykluczyć mnie z gry. I boję się o Jean i o siebie. Nie pozwolisz nam wymknąć się tak łatwo. Wszystkie te miesiące musiały planować i czekać.

- Nie. To nieprawda. Naprawdę - przerwał i odrzucił włosy z czoła charakterystycznym gestem - nie mogłem znieść dłużej mojego

wygnania. Wszędzie byłem obcy i przez cały czas myślałem o tobie, Jean i o domu.

- Łamiesz mi serce - rzekłam zimno.

- Więc co masz przeciwko mnie? - krzyknął.

- A czego ty oczekujesz? Wyobrażasz sobie, że ci przebaczę i zapomnę. Nie uwierzę, że jesteś aż taki głupi, Nicki. Oszukałeś mnie, a co gorsza, oszukałeś swojego wuja, który otaczał cię dobrocią i troską.

- Nigdy nie chciałem cię zranić, Carla. A jeśli chodzi o pieniądze, miałem dług. Wuj odmówił spłaty, więc wziąłem, co prawnie do mnie należało. Mój ojciec był najstarszym synem, to on powinien odziedziczyć dom i wytwórnię.

- Czy to ojciec wbił ci to do głowy?

- Oczywiście, że nie. Ale to, że wyemigrował, nie powinno sprawiać różnicy.

- Z punktu widzenia twojego wuja było wielkim błędem, że twój ojciec wysłał cię do Anglii...

- Powiedział tak? Czy powiedział ci kiedyś, iż żałuje, że w ogóle mnie ujrzał?

- Nie, nie powiedział - przyznałam. - Był za dobry i za troskliwy, nie chciał, żebyś czuł się niepotrzebny. A Jean i ja... - zawiesiłam głos.

- Carla - pochylił się i mnie pocałował.

Odepchnęłam go.

- To nie ma sensu, Nicki. Proszę cię, idź. Jestem bardzo zmęczona. Potrzebuję spokoju, rozumiesz? Spokoju i ciszy.

Wstał.

- Jeszcze się zobaczymy, Carla. Nigdy nie zrezygnuję.

ROZDZIAŁ XI

Następnego ranka dostałam list od matki. Jej miłość kwitła na każdej stronie. "Tak bardzo za tobą tęsknimy, kochanie." - pisała. Wyobraziłam sobie jej tęskne spojrzenie, jakim obrzuciła napisane przez siebie słowa. Spojrzenie, które Adam Litchell uwiecznił na "Letniej słodyczy" - jej portrecie z młodych lat.

Była nieszczęśliwa. Strony listu wypełniało cierpienie ludzi, którym ojciec i ona starali się pomóc. Miała za miękkie serce do takiej pracy. Nawet upór i siła ojca nie mogły jej obronić. Być może Adam Litchell rozumiał jej współczucie i dzielność, gdy ją malował.

Podaliśmy list Jean. Jeśli chodziło o moich rodziców, nie miałam przed nią tajemnic. Jean kochała moją matkę. Ale dzisiaj przeczytała list i oddała mi go bez słowa komentarza. Była za bardzo zaabsorbowana swoimi problemami, by móc się przejmować sprawami innych.

Westchnęłam. Ucieszyłam się, ujrzawszy na ścieżce Ronalda Bridgera. Wstałam, żeby mu otworzyć i wprowadziłam go do mojego pokoju.

- Moja kochana dziewczyna - uścisnęła mnie serdecznie. - Nie powinienem był cię puścić samej do Boswell. Czuję się winny.

- Nie wygłupiaj się, Ronald - uwolniłam się z jego objęć. - Siadaj, zaraz zrobię ci kawy. Nie byłam sama. Miałam Oskara, a poza tym Stuart pojechał ze mną.

- A tak, Railie - rzekł zamyślony i usiadł.

Jego jasne oczy były wilgotne.

- Dzwonili do mnie państwo Ritche-Wright. Bardzo przepraszali, ale oboje zatrzymano gdzieś w interesach. Byli przerażeni twoim okropnym wypadkiem i pełni podziwu dla twojej odwagi. Chcieliby osobiście podziękować ci za uratowanie konia.

- Nie ma potrzeby - rzekłam energicznie, smarując masłem trzeciego tosta. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy - dodałam głupio.

Ale to nie był koniec. Oczy Jean i Ronalda wyraźnie mówiły że to nie koniec.

- Rozmawiałem z inspektorem policji - powiedział Ronald. - Jak do tej pory nie złapano podpalacza. Dostanie surowy wyrok - usiłowanie morderstwa.

Jean wzięła głęboki oddech.

- Być może ten ktoś nie wiedział, że Carla jest w środku.

- Wiedział na pewno. Nigdy nie zapomnę tego okropnego śmiechu.

- Musisz wziąć parę dni wolnego - powiedział Ronald rozkazująco.

- I uważaj na siebie - ostrzegł, wstając do wyjścia. - Nie uspokoję się, dopóki nie złapią podpalacza.

Nie mogłam im powiedzieć, że zeszłego wieczora w ogrodzie widziałam się z Nickim. Czy on był tu naprawdę? Pamiętałam każde słowo naszej rozmowy, każde jego spojrzenie, każdy gest. Mimo jego zaprzeczeń, wciąż wierzyłam, że to on chciał mnie zabić. Prawdopodobnie będzie próbował raz jeszcze, pomyślałam. Niepewność sprawiała, że robiło mi się słabo.

Spojrzałam na Jean. Nie jadła jeszcze śniadania, jej twarz była biała i zaciśnięta.

Jakby czytając w moich myślach Ronald odezwał się:

- Litchell był wczoraj w Mertonbury.

Gwałtownie uniosłyśmy głowy.

- O której? - spytałam.

- Rano. Niestety, mój człowiek go zgubił. Ale dzwonił do mnie. Powiedział, że tracę czas i pieniądze na śledzenie go. Powiedział też, że ty, Jean, masz zamiar wziąć go jako współnika do wytwórni.

Wstrzymałam oddech i spojrzałam na Jean.

Robiła wrażenie, jakby się skurczyła; oczy utkwiała w podłodze, filiżankę, którą trzymała, gwałtownie postawiła na talerzyku.

- Mam nadzieję, że to nieprawda, Jean - powiedział Ronald.

- Muszę - z trudem wydusiła z siebie jedno słowa.

- Przypuszczam, że rozważyłaś konsekwencje - głos Ronalda był bezosobowy, jak głos prokuratora zadającego pytania.

- Konsekwencje? - wymamrotała Jean. - A, tak, konsekwencje.

W moim mózgu powstała straszna myśl:

- Jean, czy Nicki cię szantażuje?

Wzdrygnęła się, zarumieniła z gniewu; znów była piękna.

- Jak możesz tak myśleć? Szukasz dziury w całym, ot co. Nie możesz mu wybaczyć, że cię rzucił. Nienawidzisz go, prawda? Chciałabyś widzieć, jak cierpi. Nicki mówi, że to ty namówiłaś mnie do sprzedania naszego domu, żeby on nigdy nie mógł tu wrócić.

Grad jej gniewnych słów poraził mnie. Ronald chwycił ją za ramiona.

- Skończ z tymi bzdurami, Jean. Nie pozwolę, żebyś się tak zwracała do Carli. Ona tylko wykonała twoje życzenie. Chyba już czas, żebyśmy pomówili szczerze. Wszyscy wiemy, że Nicki to zwykły złodziej, i nic więcej. Nie zaprzeczaj, Jean. Mam dowody i nie zawaham się ich ujawnić, jeśli zajdzie tego potrzeba. Nie będę stał z boku i

patrzył, jak się rujnujesz. Twój ojciec miał nadzieję, że będę się tobą opiekował.

Robiła wrażenie nawiedzonej.

- Ronald, nie wolno ci się wtrącać. Nie widzisz, że to niebezpieczne?

- Widzę.

- Czemu nie zostawicie mnie samej? To moje życie. Czy wy nie rozumiecie, że bez Nickiego moje życie jest nic nie warte?

Umilkliśmy, przerażeni jej rozpaczliwym położeniem. Odwróciła się do mnie.

- Carla, zawsze byliśmy przyjaciółkami, prawda? Proszę cię, zrób coś, żeby Ronald zrozumiał, że jeśli nadal będzie się wtrącać, ja nie odpowiadam za konsekwencje - zerwała się od stołu i wybiegła, słyszeliśmy głośny tupot jej stóp po schodach.

- Co teraz? - spytał Ronald.

- Nie wiem. Porozmawiam z nią, gdy się uspokoi. Teraz lepiej zostawić ją samą. Jest bardzo wzburzona.

Skinął głową, pożegnał się i wyszedł.

Zebrałam naczynia, umyłam i wysuszyłam. Przez cały czas nasłuchiwałam odgłosów z jej pokoju, aż w końcu nie wytrzymałam, poszłam na górę i zapukałam do jej drzwi.

- Odejdź - powiedziała stłumionym głosem. Było jasne, że chce zostać sama.

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, poszłam do ogrodu. Trawnik wymagał znów podstrzyżenia; pomyślałam, że hałas kosiarki przypomni Jean, że jestem blisko. Wzięłam się do roboty. Rozszedł się słodki zapach świeżo skoszonej trawy, słońce przygrzewało. Oskar kręcił się w pobliżu. Zdarzenia wczorajszego dnia wytrąciły go z równowagi.

Gdy już zbliżałam się do końca i byłam zwrócona twarzą do domu, zobaczyłam Stuarta. Wchodził właśnie na patio, niosąc olbrzymi bukiet cieplarnianych róż. Zgasiłam motor.

- No tak, ładnie wyglądam - powiedział. - Wyszedłem na skończonego głupca - przyniosłem róże dla chorej.

- Róże dla mnie...?!

Czerwone róże - doskonale w kształcie i kolorze. Pochyliłam głowę, wdychając z lubością ich delikatny, piękny zapach.

- Carla - rzekł z dezaprobatą. - Powinnaś odpoczywać. Dobrze się czujesz?

- Tak. Nic mi nie jest.

Uśmiechnął się, zrobiło mi się lżej na duchu.

- Dziękuję ci, Stuart - podniosłam twarz, a on lekko się zawahał i pocałował mnie delikatnie w usta.

- Tak się bałem - wyszeptał.

Próbowałam przypomnieć sobie, co powiedział, gdy drugi raz wyciągnął mnie ze stajni. Byłam jednak wtedy w szoku, a potem wszystko okryła ta okropna, czarna plama niepamięci.

- Ja również. Biedny Oskar też. Prawda, piesku? To miło wiedzieć, że jest jednak ktoś, kto mnie lubi i się niepokoi...

- Och, Carla, jak ja się niepokoiłem!

Weszliśmy na patio.

- Usiądź tutaj, Stuart, zrobię kawę - zdecydowałam.

Poszłam do kuchni, wstawiłam różę do wody i włączyłam ekspres. Z góry nie dobiegały mnie żadne odgłosy, więc postanowiłam zajrzeć do Jean. Leżała płasko na łóżku. Miała zamknięte oczy, a jej mała, biedna twarz była ściągnięta i blada. W jednej ręce trzymała mocno kartkę papieru.

- Jean - powiedziałam cicho.

Zadrżała i otworzyła oczy.

- Chodź na dół. Stuart przyszedł. Nastawiłam kawę, chodź, musimy porozmawiać.

Nie poruszyła się. Rozluźniłam palce jej dłoni; list wypadł na łóżko. Nie pytałam, czy mogę przeczytać, rozpoznałam pismo.

- Kiedy to dostałaś, Jean?

- Wczoraj.

"Moja ukochana kuzynko - czytałam. - Tym razem ona nas już nie rozdzieli. Jesteś moim życiem. Tylko razem, ty i ja odnajdziemy szczęście. Zrób, o co proszę i uwierz mi".

Rzuciłam list z powrotem na łóżko.

- Jak on śmie? Na miłość boską, Jean, weź się w garść! Mówił to już tyle razy przedtem, tobie, mnie i innym, jestem pewna. Czy ty nie widzisz, o co mu chodzi?

- On mnie potrzebuje - wyszeptwała.

- O tak, potrzebuje cię, bo trzymasz sakiewkę z forszą. Zabierze ci wszystko, a potem rzuci się jak zgniłe jabłko. Wiesz, co mi zaproponował? - przerwałam, żeby nabrać powietrza.

Jej oczy były szeroko otwarte i tak niewinne, że nie mogłam skończyć. Wzburzenie odebrało mi głos, a poza tym lękałam się o nią.

- Mogę zgadnąć - powiedziała prosto. - I nie sprawia ci to różnicy?

- Nie, bo jeśli on kogokolwiek poślubi, to tylko mnie - ześlizgnęła się z łóżka, podeszła do toaletki i usiadła na taborecie.

Patrzyłam, jak się maluje, jak czesze swoje kasztanowe włosy.

- Przemyślałam to, Carla. Będzie lepiej dla ciebie, jeśli wyjedziesz. Pobudzasz zło tkwiące w Nickim - zawsze tak było.

- Wyjadę??! - zatkało mnie - A dokąd to miałabym wyjechać?

- Do Etiopii - powiedziała. - Twoja matka cię potrzebuje.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem. Jak mogła mi coś takiego zaproponować? Ha, oczywiście, że mogła. Była z rodziny Litchellów i miała w sobie to samo ziarno bezwzględności, co oni wszyscy. Ona i Nicki byli ludźmi tego samego rodzaju. Wyrwałam szczotkę z jej ręki, rzuciłam na toaletkę, chwyciłam ją za ramię i zmusiłam, żeby wstała i spojrzała na mnie. Była tego samego wzrostu; patrzyłam jej prosto w oczy. Nie ugięła się pod moim spojrzeniem, wytrzymała je.

- Tyle warta jest twoja przyjaźń? Kiedy nadarza się lepsza okazja, chcesz się mnie pozbyć, tak?

Zamrugła oczami.

- Nie możesz tak myśleć!

- To co mam myśleć? - odparłam.

Szarpnęła się, wyrwała z mojego uścisku i siadła. Widziałam w lustrze, jak targają nią sprzeczne uczucia. Za nią odbijały się różowe tapety, lekkie, rozdęte wiatrem zasłony i moja twarz, nieustępliwa, zacięta.

- Ogień - zaczęła. - Ogień mnie przestraszył. Będiesz bezpieczniejsza daleko stąd. Jeszcze jedno, Carla, muszę walczyć sama w tej bitwie. Rozstrzygnąć mój los.

- Więc już mnie nie potrzebujesz.

- Och, Carla potrzebuję - obróciła się, objęła mnie w talii ramionami i przytuliła mocno. - Chcę dla ciebie najlepszego - dla siebie też.

- A najlepiej dla mnie byłoby wyjechać. Etiopia, mówisz. Nie poznaję cię, wydaje mi się, że to nie twój pomysł. Nicki to wymyślił?

Nie widziałam jej twarzy, skryła ją w dłoniach i rozglądnęła się mimowolnie.

- Dlaczego zawsze się spierasz? - uniosła oczy.

Z niedowierzaniem stwierdziłam, że ona i Nicki to jedna i ta sama osoba. Jej oczy miały ten sam przebiegły wyraz, który tak często zaskakiwał mnie u niego. Chciała skłamać, ale ubiegłam ją.

- Nie mam zamiaru uciekać. Twoja sprawa, co zrobisz. A gdy Nicki złamie ci serce, nie przychodź do mnie.

Bolało mnie jej odrzucenie. Przeszłam przez korytarz do mojej sypialni. Za oknem zobaczyłam Stuarta koszącego trawę. Zupełnie zapomniałam, że jest tutaj. Zeszłam na dół i wybiegłam na dwór.

- Zabierz mnie stąd, teraz - powiedziałam, stając przed nim. Spojrzał na mnie zdziwiony.

- Dobrze. Wóz stoi przed domem - wziął mnie za rękę i ścisnął mocno. Pomógł mi wsiąść, otworzył tylne drzwiczki Oskarowi. Bez słowa pojechał do "Wysokich Drzew".

- Chodź - zaparkował wóz i dopiero wtedy się odezwał. - Myślę, że mały drink dobrze ci zrobi.

- Jest dopiero jedenasta - odparłam bez sensu.

- Leczenie szoku. Masz obłęd w oczach.

Weszliśmy do salonu; Stuart rzucił poduszkę na jeden z foteli.

- Kropla brandy - odkręcił pękatą butelkę i nalał do szklanki. - Wypij, dobrze ci zrobi.

Posłuchałam. Czułam, jak powoli napięcie ustępuje. Usiadł koło mnie, i gdy moja szklanka opustoszała, dolał mi trochę, sobie zaś otworzył butelkę piwa.

- Co się stało? - spytał.

Zawahałam się. Niektóre rzeczy wolałam zachować dla siebie, nie znosiłam poza tym mówić o swoich ranach; może dlatego właśnie się zaogniały. Może dlatego też moja namiętność do Nickiego stała się rozjątrzoną raną, którą uleczyć może tylko cięcie zimnego skalpela.

Stuart czekał. Nigdy się nie denerwował, ale świadoma byłam jego cichej siły i nadzwyczajnego postrzegania.

"Nie powinnam przeciągać struny" - pomyślałam.

- Powiedz, Carla. Jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciółmi.

Słowo, które sprowokowało perfidię Jean. W tym momencie było to słowo bez znaczenia.

- Więcej niż przyjaciółmi - poprawił się. - Powiernikami.

O, gdybyż tylko powiedział: "kochankami"!

- Jean chce, żebym wyjechała. Do Etiopii.

Roześmiał się.

- Daj spokój, Carla. Ona chyba nie mówi poważnie.

- Jak najbardziej poważnie. Chce się mnie pozbyć, bo jej przeszkadzam w realizacji planów.

- A jakie ma plany?

- Zamierza przyjąć kuzyna, jako współnika, do wytwórni.

- Czy to mądre?

- Oczywiście, że nie. On ją zrujnuje. Odnoszę wrażenie, że to ją w ogóle nie obchodzi. Tak, jakby rzucił na nią urok - zadrżałam.

- Magia Litchellów. A co po wytwórni?

- Ten dom. Ale Stuart, musisz się trzymać, nie możesz im ustąpić.

Spojrzał na mnie chłodno.

- Nie sądzę. Mam własne plany.

Czekałam, ale milczał.

- Zaczęłam nienawidzić tego domu - odezwał się w końcu. - Myślę, że od początku szukałaś ofiary, Carla. Potrzebowałaś kogoś, kto uwolniłby cię od obsesji Litchellów. Ja się trafiłem. Jean też zauważyła sposobność: urządziła ten dom, ustawiła tu meble Litchellów, żeby wszystko wyglądało jak dawniej. A ja, jak głupiec - w jego głosie brzmiała gorycz - wpadłem w to, zgadzałem się na wszystko. Myślałem, że obie macie na względzie moje dobro, gdy tymczasem chciałyście tylko przygotować dom do wielkiego powrotu!

- Ja nie, ja nie! - zaprotestowałam. - Ja naprawdę myślałam, że Nicki nigdy nie wróci. Nie miałam racji, może byłam głupia. Powinnam była domyślić się, że wróci, gdy tylko się dowie, że wuj nie żyje. Myślał, że nikt mu się nie przeciwstawi. Nie wziął pod uwagę, że ja to zrobię.

- Sprzeciwiasz mu się? Mówiono mi, że nadal na zamiar ożenić się z tobą.

Spojrzałam na niego przerażonym wzrokiem.

- Kto ci to mówił? Muszę wiedzieć. To kłamstwo.

- Nie ma znaczenia, kto mi powiedział. Może byłoby lepiej, gdybyś pojechała do rodziców. Nie sądzę, żeby Litchell poleciał za tobą tak daleko.

Jego chłód przyprawiał mnie o dreszcze. Poczułam, że błędę. Ręce mi drżały. Wpadłam w sidła, które sama zastawiłam.

- Ktokolwiek ci powiedział, że zamierzam poślubić Nickiego, jest kłamcą - zawrzałam z gniewu.

- Tansy nie kłamie - odparł.

- Tansy! Skąd mogła wiedzieć, przecież...

- Przecież rozmawiała z Litchellem. Spotkali się w Londynie, na przyjęciu.

Zdumienie zamknęło mi usta. O co chodzi Nickiemu? Czyżby myślał, że jeśli wzbudzi współczucie Tansy, pomoże mu to w jego sprawie? Czy też była to kolejna intryga, która miała mnie skłonić do wyjazdu?

Rozejrzałam się po dobrze mi znanym salonie. Nic się nie zmienił, tak jakby czas stanął w miejscu. Pomyślałam, że zaraz zobaczę pana Litchella, jak idzie usiąść na swoim ulubionym fotelu, który teraz ja właśnie zajmowałam. Instynktownie wstałam i zachwiałam się, jakby zakreśliło mi się w głowie.

- Carla! Dobrze się czujesz? - Stuart podszedł do mnie, objął ramieniem i ostrożnie posadził z powrotem.

- Czemu nie posłuchałaś Tansy? Błagała cię, żebyś nie kupował tego domu. Dlaczego to zrobiłeś?

Roześmiał się.

- Bo chciałem. To ty sprawiłaś, Carla. Nalegałaś tak bardzo, że czułem, iż kryje się za tym coś więcej niż zwykła sprzedaż. Szedłem coraz dalej, aż stało się to wyzwaniem, a ja nie potrafię oprzeć się wyzwaniom.

- To moja wina. Och, Stuart, czy możesz mi wybaczyć?

- Nie ma nic do wybaczenia. Miałem wolny wybór, czy nie tak?

Ja nie miałam wolnego wyboru. Stuart uparł się, żebyśmy została na lunchu.

- Pani Randall jest w swoim żywiole. Przygotowuje ci dietetyczny posiłek. Mówi, że potrzebujesz po wczorajszym dniu szczególnej troski. Ma nawet kość specjalnie dla Oskara.

Zgodziłam się zostać, bo nie miałam sił oponować. Chyba jednak chciałam zostać. Nie mogłam znieść myśli, że nie będzie go przy mnie.

- Obawiam się, że mój apetyt przewyższa dietetyczny posiłek - rzekłam, rzucając się na pyszną potrawkę z kurczęcia tak, jakbym nie jadła od paru dni. Stuart nalał wina.

- No, wyglądasz już trochę lepiej - skonstatował.

Pani Randall zmieniła talerze.

- Galaretką winogronowa dla pani, panno Shaw - rzekła troskliwie. - A dla pana, panie Railie, placek jabłkowy z kremem.

Spojrzałam zazdrośnie na placek jabłkowy.

- W porządku, proszę. Dla ciebie zjem nawet galaretkę winogronową.

- Jesteś kochany, Stuart. Ciasta pani Randall są po prostu nieziemskie.

W ogrodzie różanym wypiliśmy kawę, po czym Stuart spytał, czy nie mam ochoty na przejażdżkę. Chciał mi coś pokazać.

Zgodziłam się na wszystko. Byłam w siódmym niebie. Zapomniałam o podejrzeniach Stuarta, o Jean, o Nickim...

Jechaliśmy powoli drogami i drózkami, aż dojechaliśmy do ozdobnej bramy Belpark House. Była otwarta; za nią szeroka droga zwięzła się w obsadzoną bukami i dębami aleję. Zdumiałam się, ujrawszy przed nami dom. Stuart zaparkował i wysiedliśmy. Chwylił mnie pod ramię, weszliśmy po schodach.

Dwuskrzydłowy dom zbudowany był z szaro-żółtego kamienia i kryty zieloną dachówką. Spodobała mi się symetria kwadratowej bryły budynku i dużych kwadratowych okien. Stolarka była świeżo pomalowana, ale ogród zarośnięty chwastami i zaniedbany. Za ogrodzeniem rosły splecione drzewa, tworząc uroczę tło.

- Co o tym myślisz? - Stuart objął mnie ramieniem.

- Prosisz mnie o fachową opinię?

- Nie całkiem. Nie chodzi mi o rynny, ani o dziury w dachu; wszystkie te usterki mnie nie obchodzą. Chcę zobaczyć twoją reakcję, a ty doskonalsze "czujesz" domy. Czy ten, twoim zdaniem, jest szczęśliwy?

Spojrzałam na niego, sądząc, że żartuje, ale był poważny.

Jak zwykle, gdy wchodziłam do obcego domu, czułam niewytłumaczalne podekscytowanie. Stuart otworzył drzwi.

- Belpark Lodge - powiedział - zbudowano w 1850 roku dla czterech niezamężnych córek ówczesnego właściciela pałacu.

Stanełam w wyłożonym płytami hallu i rozglądałam się wokół. Kilkoro drzwi było otwartych, ale moja uwagę przyciągnęły szerokie schody wznoszące się do półpiętra i tam rozchodzące się na lewo i prawo. Delikatnie rzeźbione balustrady robiły fantastyczne wrażenie.

Obeszliśmy wszystkie puste pokoje. Ciche, z wysokimi sufitami, solidnymi dębowymi drzwiami i ramami okiennymi.

- Podoba mi się, Stuart - oświadczyłam w końcu. - Bardzo mi się podoba.

- Mnie również - rzekł Stuart z satysfakcją. - Mogę go kupić, pod warunkiem, że podejmę się restauracji ogrodu, oferując za to masę pieniędzy.

- Ale co z twoją pracą w telewizji?

- Nie ma problemu. Mam wciąż to małe mieszkanie w Londynie.

- Sprzedasz "Wysokie Drzewa"? - spytałam.

- Nigdy nie były moje. Oddam Litchellom, co do nich należy.

Czułam gorycz rozczarowania. Mimo zdrady Jean, czułam się za nią odpowiedzialna, a poza tym, muszę wyznać uczciwie, nie chciałam, żeby Nicki wygrał.

- Mógłbyś tu przenieść swoje eksperymentalne uprawy.

- Oczywiście. Tutejsze szklarnie są właśnie naprawiane.

- Stuart, czemu mnie tu przywiozłeś?

Zaśmiał się.

- Nie wiesz?

- Nie, nie wiem. Każdy inny agent majątkowy mógłby ci poradzić.

- Nie jesteś każdym agentem majątkowym, Carlo Shaw. Tym razem nie masz żadnych ukrytych motywów. Możesz spokojnie sprzedać mi ten dom. Ronald Bridger działa w imieniu właściciela.

- Nikt mi nic nie mówił - powiedziałam niemile zdziwiona tym, że coś rozegrało się za moimi plecami.

- Nie gniewaj się, Carla. Chciałem zrobić ci niespodziankę. Polegam na twojej opinii.

- Nieprawda, wcale nie. W gruncie rzeczy uważasz, że jestem do niczego w moim zawodzie, bo nawet w sprawach służbowych kieruję się emocjami.

Podeszłam do okna, otworzyłam je i wyjrzałam na rozświetlony słońcem ogród. Mienił się różnymi odcieniami zieleni, liście klonów zaś były już szkarłatne i żółte. Widok ten przywiódł mi na myśl ornament, zmieniany przez pory roku. "Takie ornamenty - pomyślałam - są tworzywem ludzkiego życia.

I właśnie w tym momencie zrozumiałam, że Stuart nie włącza mnie do swego ornamentu. Potwierdziło się to, gdy wróciliśmy do "Wysokich Drzew" i ujrzelśmy na ganku Tansy.

- Chylę czoło - zbiegła po schodach i chwyciła mnie za rękę, gdy wysiadłam z wozu. - Prawdziwa bohaterka! Cieszę się, że nic ci się nie stało, Carla - uśmiechnęła się do Stuarta. - Czekał tu już całe wieki. Pospieszcie się, mamy jeszcze trochę czasu na drinka, zanim pani Randall poda obiad.

Stuart rozlał drinki.

- Wszystko załatwione! - powiedziała Tansy. - Hollywood jest mój! No, może nie całkiem - odchrząknęła. - Na początek Nowy Jork, no a potem - cały świat!

- To cudowne, Tansy! Przecież tego chcesz, prawda?

Uśmiechnęła się, ale wyczułam w niej jakąś rezerwę.

- Tak... Może pojechałbyś ze mną, Stuart?

- Niestety, nie, Tansy. Moje życie jest tutaj.

- Kiedy jedziesz? - spytałam.

- Niedługo - odparła wymijająco.

Stuart z Tansy w Ameryce... Byłam w całkowitym dołku i nie wierzyłam, że kiedykolwiek się zeń wydobędę.

Tansy opowiadała o cudownym kontrakcie, który właśnie podpisała. Miała pozować do zdjęć i telewizyjnych reklam, jej przyszłość jawiła się jako pasmo sukcesów. Ale mimo to Tansy była niespokojna. Przysłuchawszy się bardziej uważnie,

stwierdziłam w niej niepewność, a jej częste spojrzenia w moim kierunku zaskoczyły mnie.

Stuart również był zakłopotany. Słuchał Tansy, nic nie mówiąc, i w końcu dziewczyna spytała go, co myśli.

- Brzmi to świetnie - rzekł spokojnie.

- Jeśli masz jakiś lepszy pomysł. Stu, zmienię plany - utkwiała w nim zdesperowane spojrzenie.

Uśmiechnął się smutno.

- Nie mam lepszego pomysłu, Tansy. Zawsze chciałaś zobaczyć świat. Nowy Jork jest dobrym miejscem na początek.

Radość zniknęła z jej twarzy, wyciągnęła szklanke po drugiego drinka.

- Wróć - powiedziała.

- Oczywiście, że tak - odparł aż nazbyt ochoczo.

Z niesmakiem rozejrzała się po pokoju.

- A ty wciąż walczysz w przegranej bitwie - przerwała, a jej oczy zajaśniały. - A może nie. Stu, kochanie? Wciąż nad tym pracuję.

- Tansy! - rzucił ostrzegawczo. - Mam nadzieję, że nie paprałaś się znów w astrologii.

Roześmiała się, ale było widać, że opuszczają ją siły.

- Zgadnij, co mi mówią gwiazdy! Mam spotkać cudownego, wielkiego, dojrzałego mężczyznę. Nie - poprawiła się - ja go już spotkałam. A nasze losy spleją się na zawsze.

- Jesteś niemądra, Tansy.

- Tak, Stu, jestem niemądra. I nie lubię, jak mnie ktoś nabija w butelkę. Ale ja wiem, kiedy uderzyć. Nie tak, jak inni; oni się niczego nie uczą.

Jej bystre spojrzenie spoczęło na mnie.

- Na przykład twoja przyjaciółka, Jean. To niezła naiwniaczka, prawda? Wierna jak Penelopa, czy źle, czy dobrze, zapatrzona w jednego mężczyznę - roześmiała się, jej oczy zwięzły się.

- O czym ty mówisz? - spytał Stuart z irytacją w głosie. - Nienawidzę insynuacji - przeniósł wzrok z Tansy na mnie - Jean potrzebuje pomocy.

Tansy podskoczyła i z impetem odstawiła szklanke.

- Daj sobie spokój, Stuart. Nie do tego jesteś stworzony. Możesz się nieźle przejechać.

Jej aluzje były dla mnie tajemnicze, jednak ulgą napawało mnie, że Stuart nie napomknął nic o Belpart Lodge. Mogłaby rzeczywiście zmienić plany. Z pewnością knuła jakąś intrygę, więc gdy powiedziała, że chce się odświeżyć przed obiadem, poszłam za nią na górę.

Była w sypialni Jean. Siedziała przy toalecie i wpatrywała się w lustro wzrokiem pełnym zadumy, wcale nie zajmując się poprawianiem makijażu.

- Czy to jest jej powrót? - spytała.

Wiedziała, co ma na myśli. Pokój wyglądał tak, jakby jego mieszkanka wyszła przed chwilą. Kurze były starte, a na toaletce stał wazon pełen świeżych kwiatów. Nie wiedzieć czemu, otworzyłam szafę - i ku memu zdumieniu ujrzałam rzeczy Jean.

- Wszystko przygotowane dla panny młodej - rzekła gorzko.

- Nie masz racji. Jean wraca tu tylko jako właścicielka.

- No tak. Poślubi Stu, wystarczy. Będzie miała i męża, i swój własny dom, nie płacąc ani funta.

- Nie! Nie! - krzyknęłam gwałtownie. - Stuart nie jest nią zainteresowany, a poza tym - ona jest zakochana w swoim kuzynie.

- A on jest w niej zakochany?

- Myślę, że tak. To znaczy myślę, że zależy mu na powrocie do wytwórni i do tego domu.

- Nie odpowiedziałas mi na pytanie. To ważne, powinnam znać prawdę.

- Dlaczego?

- Mam powody. Myślałam, że wytrwale smali cholewki do ciebie.

- Nicki zawsze pilnuje swoich interesów.

- Tak myślałam. No cóż, zrobię wam obu przysługę. On jedzie ze mną do Ameryki.

- Tansy! Czyś ty oszalała? Nawet go nie znasz!

- Jak sądzisz, gdzie był przez ostatnich parę tygodni? Powiem ci. Mieszkał u mnie. Liczy na to, że Jean wybuli forszę.

- Nie możesz jej tego zrobić. Proszę cię, Tansy, czy ty nic nie rozumiesz? Oni należą do siebie. Zawsze tak było - serce biło mi tak dziko, że nie mogłam złapać tchu.

- Dobiję z tobą targu, moja droga. Zostaw w spokoju Stuarta, a będziesz miała kochanka podanego na talerzu, zgoda?

Obróciła się do mnie. Jej oczy były twarde jak granit.

- Kocham tego człowieka. Był mój dopóki wy dwie nie zjawiłyście się i nie zabrałyście do dzieła.

- Stuart mnie nie chce...

- Nie bujaj, dobrze? Jest w tobie nieźle zakochany. Tylko boi się, że w drugiej rundzie nie pójdzie mu lepiej, niż w pierwszej.

Odwróciła się z powrotem do lustra i zaczęła zrećźnie robić sobie makijaż. Patrzyłam na nią i jej nienawidziłam. Czy wiedziała, czy w ogóle obchodziło ją, że zmuszała mnie do wyboru, który złamie mi

serce? Popatrzyła na moje odbicie w lustrze. Złapałam przelotne spojrzenie jej błyszczących oczu, odwróciłam się i podeszłam do okna. Przez zasłone łez widziałam cudowny melanż barw jesieni, a w liściach opadających na wietrze dostrzegłam nadchodzący smutek zimy. Smutek, z którym muszę stanąć twarzą w twarz. Życie bez Stuarta będzie tylko zwykłą egzystencją...

Czy naprawdę miałam wybór?

Byłam dzieckiem, tak jakby cofnęły się wskazówki zegara, samotna, jak tylko dziecko bez braci i siostr być może. Samowystarczalna, bawiąca się z wyimaginowanymi towarzyszami - tak było, dopóki nie wybawili mnie z samotności Litchellowie.

- Czy Jean wie?

Tansy podeszła i stanęła obok mnie.

- Nicki prawdopodobnie teraz z nią rozmawia, chociaż mówiłam mu, że byłoby lepiej, gdybyś to ty zniosła jej tę wiadomość. Ale był nieubłagany. Wierzę, że on musi się od niej uwolnić - na zawsze.

- Jak on mógł być tak okrutny? Dlaczego go nie powstrzymałaś? - czułam, że głos łamie mi się z emocji.

Położyła mi dłoń na ramieniu, ale ją strzasnęłam. Nie mogłam znieść jej dotyku.

- Dlaczego to robisz? Proszę cię, Tansy, jedź sama!

- Nie ma szans. Zastanów się, oferuję ci uczciwą wymianę: Nicki Litchell za Stu.

- Oszalałaś? Nie można manipulować ludźmi, jak szmacianymi lalkami. Nicki pójdzie tam, gdzie są pieniądze - więc pójdzie z tobą.

- A Stu?

- Pójdzie za głosem swego serca - rzekłam cicho. - Możesz tylko na koniec sprowadzić na siebie zemstę.

- Nie żartuj, Carla. Dostanę to, czego chcę. Przykro mi, że stoisz mi na drodze. Jesteś za uczciwa dla Litchellów i dla mnie. Najlepiej by było, gdybyś wyjechała.

- Do Etiopii - dodałam.

Spojrzała na mnie dziwnie.

- Dlaczego do Etiopii?

- Tam są moi rodzice.

Roześmiała się swoim perlistym śmiechem.

- Myślę, że potrzebujemy cię mieć bliżej, Carla.

- Nie mam najmniejszego zamiaru uciekać. A teraz pójde do domu, do Jean. Przeprós Stuarta, powiedz mu, co chcesz.

- Więc wybrałaś. Jesteś wciąż po stronie Litchellów.

Czy tak było? Wiedziałaam tylko, że moja przyjaźń z Jean się pogłębiła. Miałam też z Nickiem własne porachunki. Mimo to cieszyłabym się, widząc, jak odchodzi na koniec świata, gdzie - jak mówią - rośnie pieprz.

ROZDZIAŁ XII

Szłam do domu ścieżką wzdłuż rzeki. Nie było jeszcze całkiem ciemno, ale mimo to zaczęłam się bać. Oskar biegł z przodu, zatrzymując się co chwilę i czekając, aż się z nim zrównam.

Z ulgą weszłam na drogę prowadzącą do wsi. W oknach pubu i w większości domów paliły się już światła, ale w naszym domu było ciemno.

Otworzyłam drzwi frontowe i zawałam Jean. Oczywiście, nie było jej. Oskar pobiegł do kuchni do swojej miski z wodą, poszłam za nim. Wszędzie panował idealny porządek, każda rzecz leżała na swoim miejscu. Zapaliłam wszystkie światła na dole i odszukałam zapasowy klucz do pracowni. Tu również wszystko było poukładane, jakby Jean spodziewała się inspekcji wojskowej. Było to tak do niej niepodobne, że zaczęłam się niepokoić.

Wróciłam do kuchni, nakarmiłam Oskara, zrobiłam sobie kanapkę i filiżankę mocnej kawy. Nie mogłam przesadzać. Jean przecież może wychodzić na tak długo, jak chce i z kim jej się podoba. Nawet jeśli Nicki jej powiedział, że wyjeżdża z Tansy, na pewno nie zrobi nic głupiego.

Siedząc na stole, skończyłam kanapkę i zrobiłam następną filiżankę kawy. Nagle w drzwiach wejściowych dał się słyszeć szcęk przekręcanego klucza. Oskar zerwał się i zjeżył sierść.

- Jean! - zawałam. - Jestem w kuchni!

Oskar warcząc pobiegł do drzwi. Wiedziałaam, że to nie Jean, i gdy wstałam, po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Chwyciłam wielki nóż do chleba.

- Zamknij się! - rozległ się szorstki głos Nickiego i odgłosy szamotaniny. - Czemu nie pilnujesz tego cholernego psa?! - w drzwiach pojawił się Nicki.

- Nie jest przyzwyczajony do obcych, wkradających się do domu. To pies obronny.

- Obcy! Ja jestem obcy? Od kiedy?

- Od zawsze - położyłam nóż w zasięgu dłoni i nalałam mu kawy. Nie zapomniałam jeszcze, że lubi mocną, ze śmietanką i dwiema łyżeczkami cukru.

Usiadł na taborecie naprzeciwko mnie.

- Gdzie Jean? Muszę z nią pomówić.

- Nie wiem.

- Nie baw się ze mną - skinął głową, dziękując za kawę i gwałtownym, szybkim ruchem wymieszał cukier w filiżance.

- Nie mam nastroju do zabawy. Dopiero co wróciłam, nie było mnie w domu cały dzień. Nie mam pojęcia, gdzie jest Jean.

- Zostawiła coś dla mnie?

- Co niby?

- List - rzekł niecierpliwie.

- Nie. Wiedziała, że przyjdiesz? Może dlatego właśnie wyszła. Może nie chciała się z tobą widzieć - powiedziałam złośliwie. - Nawiasem mówiąc, oddaj klucz od drzwi frontowych. Będę się czuła bezpieczniej.

Rzucił go na stół.

- Nie będę go więcej potrzebował.

- To prawda. W Nowym Jorku raczej ci się nie przyda.

Gwałtownym ruchem ręki chwycił mnie za przegub dłoni.

Zręcznie ją uwolniłam.

- Tansy obwieściła mi tę wiadomość. Uważaj, chłopcze, gotowa jest w każdej chwili pozbyć się ciebie, jak tylko trafi się jej coś lepszego.

- Wciąż zazdrosna? - drwił.

Zignorowałam go.

- Tansy mówiła coś, że Jean finansuje twoją małą wycieczkę za granicę. To znaczy, do chwili, gdy Tansy zacznie pracę i posypią się dolary. To prawda?

Wstał i jał przechadzać się po kuchni. Oskar obserwował go bacznie.

- Mogę nie jechać. To zależy od Jean. Obiecała mi połowę pieniędzy ze sprzedaży wytwórni. Prawnie mi się należą.

- Masz już swoją działkę. Sam ją sobie wzięłeś, nie pamiętasz?

- Dał mi to mój wuj.

- Jeśli myślisz, że ci uwierzę, to się mylisz. Twój wuj dostał ataku serca, gdy odkrył, że napchałeś sobie kieszenie jego pieniędzmi. Jesteś w dużej części odpowiedzialny za jego śmierć.

Nagle pochylił się nad stołem i sięgnął po nóż. Byłam szybsza.

- To kłamstwo. Jean w to nie wierzy. Mówi, że to nie była moja wina.

- Nie będę się z tobą kłócić, Nicki. Ale teraz bądź rozsądny i idź, zanim wróci Jean. Tansy czeka na ciebie w "Wysokich Drzewach".

- Tego byś chciała, tak? Chcesz rozdzielić Jean i mnie, tak jak przedtem? Żałuję, że w ogóle się poznaliśmy.

- Zaczynam czuć to samo. Ale bądźmy rozsądni, skończmy z tą głupią gadką.

- Nie udawaj, Carla. Następnym razem, gdy będziemy chcieli się ciebie pozbyć, żadna pomyłka się nie zdarzy.

- My - zarechotałam.

- Jean i ja nie pozwolimy, aby ktokolwiek wszedł między nas.

- Więc mówisz, że ty i Jean zamierzacie...?

- Nie jestem na tyle głupi, żeby mówić ci cokolwiek. Ostrzegam cię tylko...

Zadrżałam, mimo że w kuchni było ciepło. Jego oczy błyszcząły, a policzki pokrył rumieniec podekscytowania. Odrzucił głowę do tyłu i jego kasztanowe włosy płonęły w świetle głębokim odcieniem czerwieni. Serce mi drgnęło. Było w nim coś dziwnego, jakiś magnetyzm, który ciągnął mnie w jego sieć.

Wzdrygnęłam się, przypominając sobie, że przez całą młodość ulegałam jego czarowi. "Teraz jestem wolna - pomyślałam triumfalnie, - liczy się tylko Stuart." Przyrzekłam sobie solennie, że będę o niego walczyć. Litchellowie niech się zajmą sami sobą.

W otaczającą nas ciszę wdarł się warkot motoru.

- Nie ruszaj się - syknął Nicki.

Klucz obrócił się w zamku, rozległy się głosy i Jean wbiegła do kuchni. Na sekundę przed tym Nicki wśliznął się do spiżarni.

- Carla! Jesteś w domu! Jakże się cieszę - objęła mnie ramionami. - Wybacz mi wszystkie głupie rzeczy, które ci powiedziałam. Adrian - odwróciła się do drzwi. - Carla jest w domu.

Wszedł do kuchni.

- Nie tak łatwo się mnie pozbyć - powiedziałam. - Gdzie byliście?

- To był cudowny dzień, prawda, Adrian? W Salisbury jest wystawa ceramiki współczesnej.

- Nic nie mogło się równać z twoimi modelami, kochanie - rzekł Adrian. - Wiedziałaś, że Jean też wystawia?

Potrząsnęłam głową. Czyżbyśmy odsunęły się od siebie tak daleko, w tak krótkim czasie? Czy też może, przez wypadki ostatnich dni, ta sprawa wyleciała mi z głowy?

Wzrok Jean padł na dwie filiżanki kawy stojące na stole, a jej spojrzenie stwardniało.

- Przeszkodziłam w czymś? Ktoś tu jest?

- Tak. Nicki. Schował się w spiżarni. Możesz wyjść - zawołałam.

- To nie Tansy z rewolwerem.

Nicki wyłonił się ze spiżarni, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Dlaczego myślałaś, że to Tansy? O co ci chodziło? - głos Jean brzmiał twardo. - Gdzie byłeś przez te parę tygodni?

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że Jean pała gniewnym rumieńcem i ściska mocno oparcie krzesła. Miała władzę, o którą nigdy bym jej nie posadzała. Czy moja wiara w ich jedność była tylko imaginacją? Czy Jean zawsze była tak silna, nawet w czasach dzieciństwa?

- Więc nie opłacisz Nickiemu podróży do Nowego Jorku? - spytałam.

- Nie wygłupiaj się, Carla. W końcu odzyskałam zdrowy rozsądek. To, co ci zrobił Nicki, jest niewybaczalne. Gdybyś zginęła... - przerwała. - Biorę współnika do wytwórni, Adriana. Mamy wspaniałe plany. Ronald zgadza się ze mną, że Adrian powinien wykorzystać swój talent artystyczny. Wszystko jest umówione i załatwione.

Adrian patrzył wokół niespokojnie.

- Jean, muszę ci coś powiedzieć. To nie Nicki podłożył ogień w stajni. Policja złapała podpalacza. Uciekł ze szpitala dla umysłowo

chorych i miał jakieś żale do pani Ritchie-Wright. Myślał, że Carla to ona.

Nicki odetchnął głęboko.

- Widzisz, Jean. Nic się nie zmieniło.

- Myślałem, że wiesz - Adrian patrzył niepewnie. - Może chcesz zmienić decyzję?

Jean oddychała szybko. Nicki patrzył na nią. Jego błyszczące oczy były pełne błagania, usta rozciągnęły się w udawanym uśmiechu.

- Ale miałeś taki zamiar - powiedziała. - Tej nocy, w Chacie Lotti, mówiłeś, że dopóki Carla jest tutaj, między nami będą wieczne nieporozumienia. Myślałam, że uważasz, że byłoby lepiej, gdyby wyjechała, ale teraz widzę, że jedyną rzeczą, która cię obchodzi, są pieniądze.

- To nie fair, Jean - podszedł do niej. - Zawsze cię kochałem.

- Carłę też kochałeś, prawda? A ile innych? - odparła.

Nie zdążył się obronić, gdyż u drzwi frontowych rozległ się dzwonek. Oskar zaszczekał, a Adrian poszedł otworzyć.

- To Stuart i Tansy - obwieścił po chwili. Wprowadziłem ich do twojego pokoju, Jean.

Nicki skierował się nagle do tylnych drzwi, ale Jean była szybsza. Wyjęła klucz z zamka i rzuciła do mnie. Ruszyłam przodem, prowadząc pozostałych do pokoju.

Stuart stał przy oknie, Tansy zaś siedziała wyciągnięta w fotelu. Nawet teraz jej elegancja była bezbłędna.

- Wypiłabym drinka, Jean - odezwała się. - Stu przygnał mnie tu, kiedy zdradziłam mu sekret.

- Jaki sekret? - spytała Jean, zabierając się za nalewanie ginu i toniku.

- Nicki ci nie mówił?

Usiadła na oparciu fotela Jean, obejmując go ramionami.

- Nicki planował ucieczkę do Ameryki z Tansy - odezwałam się.

- Przy twojej pomocy finansowej. Ale teraz chyba już nic z tego nie będzie.

Tansy zeszczywniała.

- Co masz na myśli?

- Jean inaczej użyje swoich pieniędzy. Więc jeśli chcesz wziąć swojego absztyfikanta ze sobą, będziesz musiała prawdopodobnie opłacić mu przejazd.

Tansy spurpurowiała, po czym nagle wybuchnęła śmiechem.

- Sprytna jesteś, Carlo Shaw.

- Cieszę się, że tak myślisz - rzekłam sztywno.

Przecież jeśli idzie o spryt, przerosła mnie o głowę.

Nicki podszedł do Jean, stanął u jej boku i chwycił ją za ramię.

- To nieprawda. Wiesz przecież, że nigdy bym cię nie opuścił.

Strzasnęła jego dłoń, Nicki odsunął się do tyłu.

- Skoro zmieniłeś zdanie, Nicki - rzekła słodko Tansy.

- Myślę, że odłożę nieco wyjazd do Nowego Jorku. Masz coś przeciwko temu, że zostanę jeszcze parę dni z tobą, Stu?

Chwyciła Stuarta pod ramię i spojrzała na mnie twardo i nieustępliwie.

- Myślę, że byłoby cudownie, gdybyś wydał dla mnie przyjęcie pożegnalne. Nieprawdaż, Carla?

Nie odpowiedziałam, więc kontynuowała:

- Zapraszam wszystkich. Wszystkich moich przyjaciół, żeby życzyli mi powodzenia.

Przez następny tydzień nie zbliżałam się do "Wysokich Drzew". Stuart również nie przyszedł nas odwiedzić. W biurze byłam wyjątkowo zajęta. Adrian ostatecznie postanowił zrezygnować z pracy u ojca.

Ronald był zadowolony.

- To najlepsza rzecz, jaka mogła mu się zdarzyć. Nie miał odrobiny serca do handlu nieruchomościami. W przeciwieństwie do ciebie, moja droga. Jesteś moją prawą ręką.

Rzeczywiście tak było. Ronald zwałił mi na głowę mnóstwo roboty, ale ja się tym nie martwiłam. Otworzyliśmy dział prawny, a biuro w Boumemouth sprawiało nam mnóstwo kłopotów. Pracowałam niemal co wieczór i cieszyłam się, że nie mam czasu myśleć o Tansy w "Wysokich Drzewach".

Przyszła do biura wręczyć mi pisemne zaproszenie na przyjęcie. Ubrana była w olśniewający, czarny kostium i jedwabna bluzkę koloru

fuksji. W jej towarzystwie czułam się zgrzebnie. Jak zwykle umazana atramentem, ubrana w spokojny kostium pamiętający zeszły sezon.

Wręczyła mi zaproszenie.

- Zaprosiłam już Jean i Adriana. Szkoda, że nie będzie Nickiego. Pożyczyłam mu moje mieszkanie w Londynie na czas, gdy będzie szukał pracy. Chciałby zostać modelem - zachichotała. - Byłby w tym dobry.

Nie spytałam o Stuarta, a ona nawet o nim nie napomknęła. Ze zdziwieniem rozejrzała się po biurze.

- Jak możesz znosić zamknięcie w czymś takim przez cały dzień?

- Nie siedzę tu cały dzień. Ojej, właśnie muszę lecieć, Tansy. Za parę minut mam spotkanie.

- Umiesz przegrywać, Carla, kochanie.

- Nie przegrałam. Nasza transakcja okazała się być niewypałem.

Nie ma wymiany, żadna nie chce Nickiego.

Zmarszczyła brwi.

- Szkoda twojego czasu.

- Uzbroiłam się w cierpliwość

Przyjęcie zajmowało chyba wszystkie myśli Tansy i większość czasu. Mnie natomiast wcale, toteż z przerażeniem skonstatowałam któregoś poranka, że ten dzień nadszedł, a ja jestem absolutnie nieprzygotowana.

W soboty biuro jest otwarte do trzeciej po południu. Jean zadzwoniła tuż po lunchu.

- Wracaj do domu, Carla - zarządziła. - Nie mam zamiaru opuścić tego przyjęcia. Uczeszę ci włosy, jeśli chcesz - zaoferowała.

Pojechałam więc do domu. Jean wzięła się za układanie fryzury. Cichy szmer suszarki działał kojąco na moje rozdygotane nerwy. Zamknęłam oczy i przygotowywałam się psychicznie na ten wieczór, który - jak sądziłam - będzie finałem bitwy między Tansy a mną.

Miała przewagę. Tydzień ze Stuartem dał jej z pewnością dużo okazji, aby przeciągnąć go na swoją stronę. I jeśli będzie miała sposobność, aby mnie upokorzyć, bez wątpienia ją wykorzysta.

- Jean, idź na przyjęcie beze mnie. Spojrzała na mnie z pogardą.

- Naprawdę, Carla, zadziwiasz mnie. Jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś uciekła, choćby nie wiem jak źle szło - przerwała i ujęła grzebieniem pasmo włosów. - Jeśli kochasz Stuarta - walcz.

- Oczywiście, że bym walczyła, gdybym wiedziała, że on mnie kocha. A nie zapominaj - Tansy jest na miejscu.

Podeszła do szafy i otworzyła drzwi.

- Czy nie lepiej, żebyś dowiedziała się, czy cię kocha, zanim będzie za późno? - wyciągnęła krótką, piękną sukienkę z wełnianego dżerseju. Suknia była biała, z przodu miała okrągłe, małe wycięcie, z tyłu zaś duży dekolt w kształcie litery V. Na ramionach ozdobiona była jedwabnymi frędzlami. - Jest w sam raz na dzisiejszy wieczór. Subtelna i pociągająca.

- Nie jestem ani subtelna, ani pociągająca, Jean.

- To jest śliczna suknia, proszę cię, ubierz ją.

Gdy byliśmy już gotowe, zadzwonił Adrian. Oskar wyglądał na głęboko nieszcześliwego - nie cierpiał zostawać sam. Postanowiłam więc go zabrać i zadekować w mieszkaniu Randallów. Uwielbiali go do szaleństwa.

- Czy ja nie mam za dużo szczęścia? Dwie damy! - ale zachwycone spojrzenie Adriana spoczywało na Jean. Jej jedwabna suknia w odcieniach zieleni i brązów podkreślała wspaniałą, głęboką kasztan jej włosów.

Przyjęcie było już w toku. Od razu dało się zauważyć, kto je urządza. Muzyka pulsowała, dywany w salonie były zwinięte, a parkiet wypastowany. Tansy sprawiała wrażenie rajskiego ptaka: krążyła wśród gości, rozmawiała, śmiała się, nadając tempo całemu przyjęciu.

Stuart wziął mnie za rękę i uściśnął mocno.

- Cieszę się, że jesteś - rozejrzał się wokół zdeorientowanym wzrokiem. - Nie sądziłem, że Tansy ma na myśli takie przyjęcie. Ciesz się popularnością - rzekł oschle.

Nie puszczając mojej dłoni, poprowadził mnie do bufetu ustawionego pod ścianą salonu. Na stole obok stały butelki z alkoholem.

Po chwili dołączyli do nas Jean i Adrian. Byli tak samo oszołomieni.

Stuart zrobił wszystkim drinki; sacyliśmy je, gawędząc, w spokojnym kątku. Ale nieustanne pulsowanie muzyki spowodowało, że rozboleła mnie głowa, a w dodatku zrobiło mi się strasznie duszno. Te przypadłości zdarzały się od pożaru, ale lekarz zapewnił mnie, że z czasem ustąpią.

Podeszła do nas Tansy.

- Późnym wieczorem będziemy mieli pokaz fajerwerków - rzekła, obejmując ramieniem Stuarta za szyję. - Kocham przyjęcia. Kiedy byłam dzieckiem, nie pozwalano mi na nie. Kosztuję cię mnóstwo pieniędzy, co Stu?

Spojrzałam na niego, czując, że jest zły, ale on uśmiechnął się tylko uprzejmie. Przytuliła się do niego.

- Czy będziesz bardzo zmartwiony, jeśli zmienię swoje plany co do Nowego Jorku? Za bardzo bym za tobą tęskniła, Stu - obrzuciła mnie wzrokiem.

- Jaka śliczna suknia, Carla. Ale czy aby na pewno twoja?

Udało jej się wyrwać mnie z okropnego letargu, z którym walczyłam od pożaru.

- Uwielbiam tańczyć, Stuart - powiedziałam. - Robi się tu trochę ciasno.

Podskoczył i ująwszy mnie za ramię, poprowadził na parkiet.

- Czy było to bardzo niegrzeczne z mojej strony? - spojrzałam na niego. Uśmiechał się szeroko.

- Tansy czasami działa przytłaczająco. Nawiasem mówiąc, wyglądasz ślicznie - pieśczośliwie zniżył głos.

Przysunęłam się bliżej, ciesząc się, że jestem w jego ramionach.

Robiło się coraz goręcej, tancerzy przybywało. Waliło mi w skroniach, zachwiałam się z powodu nagłego zawrotu głowy.

- Stuart, nie mogę oddychać.

Roztrzącał tancerzy, torując nam drogę do wyjścia. W hallu wziął mnie na ręce i wyniósł na zewnątrz. Zaczęłam oddychać głęboko chłodnym, nocnym powietrzem. Ból głowy osłabł nieco, a niebo przestało wirować.

- Przepraszam - wysapałam. - Nie powinnam była przychodzić. Od czasu pożaru nie znoszę zamkniętych pomieszczeń. Lekarz twierdzi, że to naturalna reakcja i minie.

- Czemu mi nie powiedziałaś? - w jego głosie brzmiał wyrzut.

- To nic takiego, naprawdę, Stuart. Ale chciałabym wrócić do domu. Nie chcę ci się naprzykrzać, czy mógłbyś mnie odwieźć? Przyjechałam z Jean i Adrianem.

- Zostań tu - zakomenderował. - Skoczę po wóz i po twój płaszcz.

Wrócił po chwili; na drodze czekał już jego jaguar.

- To straszne, że zabieram cię z przyjęcia. Tansy będzie wściekła.

- Więc niech będzie - roześmiał się, pomógł mi włożyć płaszcz i wsiąść do samochodu. Tam okrył mnie delikatnie pledem.

Wyjechał za bramę i skręcił na drogę, ale nie w kierunku wsi.

- Czujesz się dość dobrze na dłuższą przejażdżkę? - zwołnił, przyglądając mi się uważnie.

Wtuliłam się głębiej w siedzenie.

- Zrobi mi to doskonale.

Jaguar cicho nabierał prędkości. Mknęliśmy, mijając ciemne pola. Nie pytałam, dokąd jedziemy, bo wiedziałam. Stuart skoncentrował się na prowadzeniu wozu, a ja zamknęłam oczy i po chwili zapadłam w drzemkę.

Obudził mnie pocałunkiem w czoło.

- Jesteśmy na miejscu. Belpark Lodge w świetle księżyca - musimy to zobaczyć.

Była pełnia, księżyc wisiał wysoko, otoczony gwiazdami migotającymi w mroźnym powietrzu. Wysiedliśmy z wozu i wolno podeszliśmy do domu. Łagodne światło zabarwiło go na ciepły, kremowy kolor, a w każdym z okien odbijał się księżyc.

- To szczęśliwy dom - rzekł Stuart. - Wiedziałem, że będzie dobry dla nas, od pierwszej chwili, gdy go ujrzałem - przerwał i przyciągnął mnie do siebie. Jego usta dotknęły moich, ramionami przycisnął mnie do siebie tak mocno, że ledwo mogłam oddychać.

- Co powiesz, Carla, kochanie moje?

Kręciło mi się w głowie, ale tym razem ze szczęścia.

- Jesteś pewny? Druga runda? - spytałam.

- Tak. A ty? Twoja pierwsza miłość - zapomniana?

- Zapomniana i pogrzebana - podniosłam głowę.

- Kocham cię - szepnął. - Chcę, żeby to był nasz dom.

Chciałam tego tak bardzo, że nie mogłam wymówić słowa.

- Musimy spędzić tu Boże Narodzenie. Pobierzemy się jak najszybciej - rzekł.

Wróciliśmy do samochodu, ale zanim doń wsiedliśmy, odwróciliśmy się, żeby raz jeszcze spojrzeć na dom. Wyobrażam go sobie z rozświetlonymi oknami, z choinką, z kolorowymi migoczącymi lampkami. A wokół nagie gałęzie drzew otaczają drogocenną miłość, czekając na ożywcze tchnienie wiosny.